

WALERY PRZYBOROWSKI

OLSZYNKA GROCHOWSKA

STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTOW

POWIEŚĆ OSNUTA NA TLE 1831 ROKU

z 6 rycinami

z przedmową prof. Henryka Mościckiego

Biblioteka

2 BACONU KOMANDOSZOW ZMOT.

Nr. 104

Nakładem Wyd. „PRZEZ LĄDY I MORZA” na Wschodzie

1944

L. B. ZWIERZCHOWSKI,
4, HAMMOND DRIVE,
BIRMINGHAM, B23 6PH.
Tel: 021-373 3607

Komputer



212268

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW
w Białymstoku



FUW0031719

D-102/92

Drukarnia „Sefer”, Tel-Aviv, ul. Tschlenov 2.

PRZEDMOWA.

STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW

Olszynka grochowska! Na sam dźwięk tej nazwy staje przed naszą wyobraźnią jeden z najwspanialszych obrazów bohaterskiego wysiłku polskiego oręża. Oto na zdobycie Warszawy płyną niezliczone mrowia moskali, wiedzie ich Dybicz, otoczony dział trzema stami. Polacy z największym wysiłkiem zdołali zgromadzić pod murami stolicy około sześćdziesięciu tysięcy. Aby zejść drogę zbliżającym się wojskom rosyjskim generał Józef Dwernicki w sześć tysięcy ludzi uderzył pod Stoczkiem na jazdę nieprzyjacielską, rozbił ją w brawurowym ataku, wziął jedenaście armat i kilkuset jeńców. To pierwsze nad wrogiem zwycięstwo miało podniosły wpływ moralny. Jednakże moskale nacierali dalej; armja polska, ustępując ku Warszawie, staczała z nimi zacięte walki pod Dobrem, Kałuszynem, Mińskiem Mazowieckim, Okuniewem, Miłosną, wreszcie pod Wawrem, gdzie dywizje polskie walczyły z nieprównanym męstwem przeciwko dwukrotnie silniejszemu nieprzyjacielowi.

Nastąpił dzień walnej bitwy pod Grochowem, 25 lutego 1831 r. Kluczem polskich pozycji była słynna Olszynka,

broniona przez pułk czwarty piechoty i dwie baterje artylerji. Rankiem zaczął się atak. Pierwsze uderzenie na Olszynkę zostało odparte; trzykrotnie załamywały się szturmy wojsk Dybicza, który pchał dywizję za dywizją. Przy czwartym uderzeniu, ugodzony kulą armatnią, padł generał Żymirski. W szeregach polskich popłoch. Chwieją się, ustępują. Wtedy wódz naczelny rzuca w bój dywizję Skrzyneckiego. Idą sławne „czwartaki” pod wodzą Bogusławskiego. Działa rosyjskie zasypują ich deszczem ognia i żelaza. Lecz oni idą naprzód bez lęku, docierają aż do nieprzyjacielskich pozycji. Drży Olszyna od huku dział, od kul świstu, od jęku rannych i konających. Łamią się szeregi rosyjskie, miejsce ich zajmuje broczący krwią, śmiertelnie znudzony żołnierz polski. Nowe dywizje nieprzyjacielskie idą do ataku. Chłopicki stoi niewzruszony, spokojny, obudził w sobie wśród dział grzmotu dawne męstwo i wolę zwycięstwa. Urasta w oczach żołnierzy. Wpatrzeni w szarą postać wodza, pędzą po pędzi zdobywając lasek olszowy. Coraz donioślej brzmi pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła!” Wtem granat zabija konia pod Chłopickim, a jego samego ciężko rani w nogi.

Znów zachwiały się szeregi. Dybicz wyteża wszystkie siły, już pewny jest wygranej. Lecz grenadierzy Skrzyneckiego powstrzymują szalony napór wroga; rosyjski pułk kirasjerów zniesiony zostaje doszczętnie. Warszawa była ocalona!

A chociaż bitwa grochowska, prócz wielkiej krwi rozlew, nie miała dla żadnej strony stanowczych skutków,

niemniej znaczenie jej było doniosłe. Okazała siłę przywiązania do ojczystych znaków ze strony młodego, nieprawionego przeważnie do boju wojska. Odżyły dawne tradycje, odżyła sława jazdy polskiej; „chłopi stali w ogniu, jak stara gwardja francuska”, i Chłopicki miał słuszość, kiedy, leżąc ranny w łóżku, mówił, że z takim żołnierzem „można było wszystko pobić!”

Ze sławnej Olszynki śladu dziś nie zostało, lecz pamięć o krwawych jej dziejach na wieki przechowują serca polskie, i nie zapomną też o młodocianych rycerzykach, co jak bohater tej powieści, z zapalem, „mierząc siły na zamiary” szli radośnie w bój dla chwały i szczęścia Ojczyzny.

Henryk Mościcki.

I.

Władek Jasiński siedział wśród niewielkiego lasu, na pniu zrąbanej sosny, oparty na dwururnej strzelbie, z miną bardzo niezadowoloną. Nie uważał na to, że zimno było dokuczliwe, że wiatr mroźny świszczął wśród drzew, że nogi jego deptały śnieg z błotem zmieszany. Wpatrzony w ziemię, pograżył się w niewesołe jakieś dумы. Wyszedł niby na polowanie, a przy jego torbie myśliwskiej nie wisiała żadna zdobycz. Owszem, nad głową jego, gdzieś wśród igieł dużej sosny, ptaki rozgłośnie świergotały, a gdyby był podniósł oczy, ujrzałby, jak zając wśród gąszczu powolnymi skokami przemyka się swobodnie, jakby drwił sobie z zadumanego myśliwca. Pod wieczór się już miało, w głębi boru posępne cienie zapadały, a Władek siedział i myślał i głośno wzdychał, jakby mu jakiś ciężar leżał na sercu.

I miał czego myśleć i wzdychać. Dokoła niego huczała w kraju wielka burza, rozpoczynała się śmiertelna walka o Polskę, którą on tak kochał gorąco; rankami i wieczorami po ziemi grzmiał daleki odgłos dział, zwiastujący, że bój o niepodległość już się toczy; mówiono powszechnie, że Dybicz na czele stu przeszło tysięcy ludzi i trzystu dział

wkroczył do kraju i że wszystko, co żyło, biegło do szere-
gów by bronić ojczyzny, a on, Władek Jasiński, młodzie-
niec ośmnastoletni, zawołany jeździec i strzelec, siedzi jak
baba w domu, włóczy się beczynnie po lesie i zamiast nie-
przyjaciół, niewinne ptaki i tchórzliwe zające zabija!
Wszyscy jego koledzy uniwersyteccy, wszyscy znajomi,
już oddawna zaciągnęli się do szeregów, a on gnuśnie i
beczynnie czas przepędza, kiedy ojczyzna woła wielkim
głosem swych synów, by szli za nią heroicznie umierać.

Na myśl o tem, gorący, kroplisty pot oblewał mu czoło,
choć wiatr był coraz mroźniejszy, coraz żałośliwiej wył po
lesie, jakgdyby chciał wtórować jęklivemu żalowi duszy
młodzieńca.

Ale cóż on mógł na to poradzić? Nie był pełnoletni, nie
zależał od siebie. Ledwie wieść o wypadkach 29 Listopada
dobiegła tu, pod Mińsk Mazowiecki, a już babka Władka,
jedyna jego opiekunka, co żywo przybiegła do Warszawy
i prawie gwałtem wnuka na wieś zabrała. A z babką to nie
było żartów. Pani Wilhelmina Schulz, pomimo swych sie-
demdziesięciu lat, była kobietą energiczną i despotyczną
nadzwyczajnie. Sama zarządzała majątkiem i wszystkich
trzymała, nie wyłączając wnuka jedyne, w żelaznych
rękach. Gdy się ukazała na ganku dworu w Brzozówce (tak
się nazywała wioska należąca do pani Schulz) jej duża,
siwa głowa, w wielkim staroświeckim czepcu, z gorąco żół-
temi wstążkami, gdy się rozległ, jej głos donośny, prawie
męski, wszystko drżało. Drżał i Władek, bo wychowany
od dzieciństwa przez babkę, nauczył się jej obawiać i słu-

chać. Ojciec jego, ułan z pułku lansjerów Księstwa Włocławskiego, należał do tych kilkudziesięciu zuchów, którzy z Jerzmanowskim podążyli za Napoleonem I na wysiedlenie na Elbę i powrócili z nim do Francji. W bitwie pod Waterloo poległ śmiercią bohaterską w sławnej szarży na czworoboki angielskie. Matka, a córka pani Wilhelminy Schulz odumarała syna w dzieciństwie, więc babka wzięła go na wychowanie do siebie i obchodziła się z chłopcem surowo, choć niewątpliwie kochała go po swojemu. Urodził się gdzieś koło Magdeburga, była Niemką nie tylko z krętu, ale i z przekonań. Przybywszy z mężem Fryderykiem do Polski, pomimo kilkudziesięcioletniego pobytu w kraju, nauczyła się nawet mówić dobrze po polsku, a nadewszystko kochać tej ziemi, która ją żywiła i dała jej majątek. Mąż jej, stary Fryderyk Schulz, przywędrował do Polki za rządów pruskich; ciężką pracą dorobił się fortuny, ale umarł przed kilkunastu laty. Władek przypominał go sobie jak przez mgłę; rysował on się w jego wyobraźni zawieszony z krótką fajeczką w ustach, z twarzą starannie wygoloną, otoczoną dokoła siwym zarostem, jak siadywał pod wieżą na ganku w Brzozówce i głosem grubym wołał na parobków pojmających konie przy studni, na środku dziedzińca będącego

— No, ty Wojtek, paskudna Polak, ty nie wyczyszcisz siwa konia. Ja tobie *verfluchte Polak* baty każę dać, czy ty słuchasz Wojtek?

Takie było otoczenie Władka, takie warunki, w których się wychował. Teraz z babką był na złej stopie, bo siwa i dusza rwała mu się do szeregów ojczystych, a ba-

nic na świecie pozwolić na to nie chciała. Przytem Władka jeszcze jedna okoliczność, która stosunek wzajemny między nią a babką oziębła ostatecznie, a mianowicie to, że pani Wilhelmina parokrotnie bardzo źle wyraziła się o jego ojcu. O ojcu tym przez długi czas nic prawie nie wiedział, babka nigdy o nim nie mówiła, jakgdyby nie istniał nigdy na świecie. Ale przed kilku miesiącami, Władek przyjeżdżając w czerwcu na wakacje do Brzozówki i przypadkiem, włócząc się ze strzelbą po lasach, zapoznał się ze starym leśnikiem Mateuszem Rozwora, niegdyś żołnierzem, który podobno był i w legjonach i na wyspie San Domingo, i w Hiszpanji i w Moskwie nawet. Mateusz polubił Władka, a choć mruk był zawołany, jednakże, z młodym paniczem z Brzozówki rozgadał się powoli i dziwnie powiadał o wojnach i przygodach swego życia. Ileż to razy Polak już zapadła, w boru ciemności były nieprzejrzone, oni obaj siedząc gdzieś na pniach, ze strzelbami w rękach, rozmawiali długo i serdecznie, a właściwie, stary Mateusz rozmawiał, a Władek tylko słuchał, wchłaniał w duszę wszystkie bohaterskie dzieje, tak niedawne, a tak mu obce. Pewnego razu, Mateusz opowiadając szeroko o gerylasach hiszpańskich i o jenerale Chłopickim, którego Władek pamiętał z widzenia w Warszawie, nagle rzekł:

— Ale mi dziwne, że panicz o tem wszystkiem nie słyszał, boć przecie ojciec panicza, pan rotmistrz Jasiński, był też w Hiszpanji i służył w sławnym pułku lansjerów rotmistrza Konopki.

— Mój ojciec? — zawołał zdumiony Władek — mój

ojciec był w Hiszpanii, służył w wojsku polskiem?

— A tak! to panicz o tem nie wiedzą?

— A nie wiem.

— Hm! — mruknął Mateusz — pewnie, że to tak. Bo skądżeby panicz mogli o tem wiedzieć? W szkołach o tem nie uczą, a pan rotmistrz Jasiński, gadali ludzie, bo ja to już tam nie byłem, zginął podobno pod Waterloo w bitwie z Angielczykami, a panicz wtedy miał może rok, a może i mniej, to skądżeby o tem wiedzieli?

Władek siedział jak na rozżarzonych węglach, a w duszy jego wszystko zdawało się rwać i szarpać bólem nieokreślonym, dumą i radością nadzwyczajną. Więc jego ojciec był żołnierzem, jednym z tych bohaterów, którzy zwycięską stopą zdeptali całą Europę, więc zginął pod Waterloo? A on nic o tem nie wiedział! Nigdy nie wspomniano mu o ojcu, nie myślał o nim, zdawało mu się, że nie miał wcale ojca! A teraz, nagle, gdzieś z ciemnej dali dawno minionej przeszłości, wstaje przed nim cień tego ojca nieznanego, tego bohaterskiego rotmistrza sławnych lansjerów Konopki, tego żołnierza, ginącego w heroicznej szarży na karabataljony angielskie. Dla czego on, syn rodzony, nic o tem dotąd nie wiedział? Dla czego mu nie powiedziano, że miał takiego wielkiego ojca? Z bijącym sercem, z duszą wyrywającą się do tej nieznannej przeszłości, zwrócił się do Mateusza i pytał gorączkowo:

— Więc znaliście mego ojca?

— Znać go nie znałem, boć ja służyłem w piechocie, a pan rotmistrz Jasiński w lansjerach pana pułkownika



Siedząc gdzieś na pniach, ze strzelbami w rękach, gwarzyli długo i serdecznie...

Konopki, ale widziałem go nieraz.

— Widzieliście go? i gdzie, kiedy?

— Hm! widziało go się nie raz i nie dwa, choć to ta te lansjery pojedynkiem chodzili i rzadko się spotykaliśmy. Ale pamiętam w Hiszpanji w bitwie pod miastem Ocana, staliśmy se z pułkiem w gaju oliwnym, a tu nagle nasze lansjery lecą do szarży. To ja wysunąłem się na brzeg lasku, żeby lepiej na nich popatrzeć i widzę jak szwadron idzie za szwadronem, a tak sprawnie, że pewnikiem wszyscy święci w niebie się radowali, a Angielczykowie sypią z dział kartaczami aż świszczy w powietrzu, a oni nic, jeno idą kłusem, a chorągiewki furkają, aż dusza rośnie.

— I cóż? mój ojciec?

— Ojciec panicza? ano, zaraz... Tedy patrzę ja, a tu idzie trzeci szwadron, a mój kapitan pan Stokowski, co go te dzikie kozacy zakłuli pod Możajskiem, też sobie wyskoczył na skraj gaju i peda do mnie: Rozwora, widzisz ty tego rotmistrza lansjerów? A widzę, mówię. Więc kapitan Stokowski rzeknie: Nie znasz go? — Nie znam. Et! peda kapitan, gapa jesteś, toż on z naszych stron, z pod Mińska. — Z pod Mińska? mówię, a któż to taki? Pan Jasiński z Brzozówki, peda kapitan. To był panicza ojciec i dobrze mu się wtedy przypatrzyłem.

— I cóż?

— Ano, pan rotmistrz Jasiński, jakbym teraz na niego patrzył, jechał na skarogniadym koniu przed szwadronem, z gołą szablą w garści i jeno się ciągle oglądał na swoich

lansjerów i gdy którego kartacz obalił, to zaraz krzyczał: szlusuj! trzymaj szereg! O! dzielny to był oficer, gdyby to teraz nasi takich mieli! Byłem ci ja łońskiego roku w Warszawie i widziałem na Saskim dziedzińcu terażniejsze wojsko. Ani słowa, pięknie maszeruje, ale na wojnie, czego Boże broń, to nie wiem jak to będzie.

— Ale cóż mój ojciec? — przerwał te uwagi Władek.

— A! ojciec... pan rotmistrz Jasiński jechał przed szwadronem, a kiedy byli już niedaleko Angielczyków, to podniósł pałasz w górę i skomenderował: do ataku broń, marsz! marsz! He! he! panie, to i przeżegnać się nie było czasu, kiedy już karabatalion Angielczyków leżał pokotem na ziemi, a nasi kłuli ich lancami jak z przeproszeniem wieprzków. Tak! tak! znałem ja ojca pańskiego, mężny był oficer i miał krzyż polski za waleczność.

Umilkł na chwilę, wpatrzył się maleńkimi oczkami we Władka i dodał:

— Ale mi to dziwne, że panicz nic o tem nie wiedzieli. Ano z przeproszeniem panicza, ale w Brzozówce dziedziczka Miemka, a Miemcy zawsze byli na naszych zawzięci, to i nie dziwno, że panicz nic o swym godnym rodzicu nie wiedzieli.

To tłumaczenie jednak Władkowi nie wydawało się słusznem i biegnąc do domu z głową gorejącą, z sercem pełnem dumy i żalu, postanowił spytać się babki, dla czego mu nigdy nic o ojcu nie mówiła. Skorzystał z chwili gdy byli sami, gdy po kolacji babka zasiadła w wielkim, staroświeckim fotelu i na poły drzemiąc, na poły czuwając,

robiła szybko nigdy nie kończącą się pończochę. Na pytanie Władka nie od razu odpowiedziała. Podniosła bystro głowę, jak zawsze, przystrojoną w wielki czepiec z żółtymi wstążkami, swe duże, czarne, pomimo starości zawsze jeszcze żywe, przenikliwe i groźne oczy wlepiła we Władka i rzekła po niemiecku, bo do wnuka zawsze po niemiecku się odzywała:

— Twój ojciec? dla czego nigdy i nic nie mówiłam ci o twoim ojcu? chcesz wiedzieć dla czego?

— Tak babciu — odpowiedział Władek po polsku, bo on znowu w tym języku przemawiał do babki, co ją widocznie gniewało mocno.

Umilkła na chwilę, jakgdyby zastanawiała się nad tem, co ma powiedzieć, a może myślą biegła w dawną przeszłość i nakoniec zawołała tonem surowym i ostrym:

— A więc dobrze, powiem ci, skoro tego chcesz. Dla tego nic ci o twym ojcu nigdy nie mówiłam, że twój ojciec był polskim półgłówkiem.

Wszystka krew uderzyła chłopcu do głowy. Tego bohatera, co na czele swych szwadronów rozbijał czworoboki angielskie, tego walecznego oficera, o którym stary Mateusz Rozwora z taką czcią się odzywał, jego ojca nakoniec, babka śmie głośno i wyraźnie nazywać półgłówkiem polskim! Zerwał się z krzesła i już chciał wybuchnąć gniewnymi słowami, gdy groźny wzrok babki, zamknął mu usta.

— Tak — mówiła — słusznie go nazywam polskim półgłówkiem. Nie chciałam za niego wydać mej jedynej

córki, dobrej, ale głupiutkiej jak gęś Liny, ale cóż?... przyjeżdżał tutaj, brząkał szabelką i ostrogami, a to zawsze niemądrym dziewczętom głowę zawraca. Twój ojciec ożenił się z Liną, a potem rzucił wszystko, żonę, majątek i poleciał karku nadstawiać za rozbójnika Napoleona. Oto jakim był twój ojciec. Zawsze mu się po pustej głowie roiła jakaś Polska, jakaś ojczyzna, ciągle szukał guza, to też znalazł go: zabili go tam gdzieś w obcych krajach. Zasłużył na to, i Pan Bóg wie co robi. Nie mówiłam ci o nim, bo ci to zaszczytu nie przynosi, że miałeś takiego ojca.

— Babciu! — zawołał oburzony Władek.

— Tak, powtarzam, zaszczytu ci to nie przynosi. Wychowałam cię i wychowuję nie na warjata, ale na człowieka pracy, na takiego, co głupich marzeń o jakiejś Polsce, dawno przepadłej, nie roi. Ty nie jesteś Polakiem, ale Niemcem, bo twoja matka, ja, twoja babka i nieboszczyk twój dziad byli Niemcami i nie bawili się próżniackimi marzeniami o Polsce. Rozumiesz to? Gdybym mogła zmienić twoje przekłete polskie nazwisko na uczciwe niemieckie, tobym to była dawno zrobiła, ale nie mogłam. Tu w tym kraju są głupie prawa i najmniejsza rzecz dużo kosztuje.

Nie słuchał dalej, wszystka krew w nim wrzała i nie chcąc wybuchnąć, zabrał się i wyszedł z pokoju. Ale odtąd żywą do babki uczuł niechęć, która ciągle rosła i którą pani Schulz nieustannie podsycala. W parę dni potem zapytał się babki, czy nie ma jakich pamiątek po ojcu.

— Pamiątek? — zawołała gniewnie — może myślisz, że

ja po tym półgłówku chowałabym pamiątki? A niechże mię Bóg strzeże. Ta gęś, Lina, a twoja matka, gdy twego ojca, a jej męża наконец pocziwa kula niemiecka sprzątnęła z tego świata, pozbierała wielkim kosztem jakieś tam po nim rupiecie, ale gdzie to jest, nie wiem. Zdaje mi się, że na strych kazałam wyrzucić, gdzie zapewne mole i myszy dawno to zjadły.

Spojrzała gniewnie na wnuka i dodała:

— Wybij sobie raz z głowy myśl o twoim ojcu. Powiadam ci, to był polski półgłówek, nowy don Kichot. Między tobą a nim niema nic wspólnego. On był Polakiem, a ty jesteś Niemcem, rozumiesz? Niemcem jesteś!

— Przepraszam babunię, ale ja nie jestem Niemcem, tylko Polakiem — ośmielił się nakoniec zauważyć Władek.

Burzyło się w nim wszystko, ale najprzód bał się swej babki, a potem była ona matką jego matki, jego wychowawczynią, i czuł, że nie powinien, nie może jej gniewać ani też obrażać. Mimo to, jego słowa, że nie jest Niemcem tylko Polakiem, wywołały w babce niepohamowany wybuch gniewu. Kazała mu milczeć, zabroniła mu najsurowiej z czemś podobnem się odzywać, zagroziła mu swoją niełaską i uspokoiwszy się nieco, wypaliła mu długie kazanie o wielkości jego ojczyzny niemieckiej. Władek wysłuchał tego w milczeniu, ale nazajutrz wybrał się na strych, by odszukać wyrzucone tam pamiątki po ojcu, które pocziwa matka, z wielkim kosztem, według słów babki, miała pozbierać po poległym na obczyźnie mężu.

Było to zadanie bardzo trudne. Na strychu leżały całe

stosy różnych rupieci, połamanych sprzętów, potłuczonych garnków, na nic nieprzydatnego żelastwa, na pół zbutwiałych książek polskich, które pani Schulz, nieprzyjaciółka wszystkiego co polskie, kazała na górę wyrzucić. Władek grzebiąc się w tem przez pół dnia, połykając całe chmury kurzu, odnalazł nakoniec w samym kącie stary kufer, nie zamknięty wcale, w którym, na wielką swą radość, ujrzał swe zebrane przez matkę, pamiątki po ojcu. Z jakimże obzwożeniem wydobył z kufra na pół zjedzony przez chole, mundur ułański ojca, granatowy, z żółtymi rabatami, na nim przypięty krzyż zasługi wojskowej, krzyż polski! Boże! wołał, to po moim ojcu, po bohaterze! on ten mundur posił na sobie, może na nim ślady krwi się znajdują! Ale mundur był taki zniszczony, tak zbutwiał, że ledwie trzymał się w całości i żadnych śladów dopatrzyć się nie można było. W kufrze znajdowała się jeszcze wcale dobrze zachowana czapka ułańska, z kitką biało-amarantową, złify srebrne oficerskie, ostrogi, szabla kawalerska, wreszcie gruba paczka listów pisanych przez ojca do matki z różnych miast Europy, paczka na pół zbutwiała, związana niegdyś różową, dziś zupełnie spłowiałą wstążką. Wszystkie te drogie pamiątki Władek zebrał i ostrożnie, a potajemnie przed babką, przeniósł do swego pokoju, oczyścił i starannie pochował. Rozczytując się w listach, przekonał się jak bohaterską, jak gorącą i podniosłą duszę posiadał jego ojciec. Nieraz łzami zlał te listy, z poza grobu przemawiające do niego i coraz bardziej kochał tego nieznanego ojca, coraz większą cził się dla niego prze-



mował i przysięgał sobie, że naśladować go będzie, że gdy przyjdzie potrzeba i on gotów życie dać za ojczyznę.

I oto nadeszła taka chwila, a on siedzi gnuśnie w Brzozówce i przysłuchuje się dalekiemu grzmotowi dział, olbrzymiej burzy, która huczy nad jego ojczyzną. Wszyscy już poszli, by walczyć; nawet stary Mateusz Rozwora zarzucił na plecy dubeltówkę, torbę borsuczą przypasał i pewnego dnia zniknął bez śladu, a Władek, syn oficera polskiego, poległego za ojczyznę, siedzi na wsi jak piecuch, jak niedołęga jaki i nie może się zdobyć na męski czyn, na krok godny Polaka. Kilkakrotnie odzywał się z tem do babki, zaklinał ją by mu pozwoliła zaciągnąć się do szeregów, ale ona nawet mówić sobie o tem nie dała.

— Co? — wołała w gniewnem uniesieniu — może chcesz naśladować twego półgłówka ojca? bić się za Polskę, buntować się przeciw prawej władzy? Nic z tego! dopóki ja żyję, musisz mię słuchać. Przeklełabym cię, wydziedziczyłabym cię, gdybyś to zrobił. On za Polskę chce się bić? Panie Boże zmiłuj się. Ty nie jesteś Polakiem i ciebie Polska nie powinna obchodzić. Wojsko polskie! to są buntownicy. Kara Boża ich spotka, że porwali się do broni przeciw prawnemu monarsze. Dość tego! zabraniam ci mówić nawet o tem.

Więc nie mówił, ale gryzł się straszliwie i toczył ze sobą głuchą walkę. Już dawno ojcowską szablę oczyścił i naostrzył, zaopatrzył się w zapas prochu i kul, a mimo to, nie śmiał uczynić kroku stanowczego, przełamać zakazu babki, która bądź co bądź była dla niego przedstawi-

cielką władzy rodzicielskiej.

I oto teraz, w ciemny, posępny wieczór lutowy, wracał smutny, zgnębiony boczną drożyną do domu. Wicher wyje przeraźliwie po pustych polach, jęczy żałośliwie i do smutnej, zropanzonej duszy Władka, wlewa nowy zasób smutku i rozpacz.

II

Kiedy Władek wyszedł z lasu, na polach jeszcze było widnawo od czerwonej zorzy zachodzącego słońca, ale za to wiatr mroźny, przenikający do kości, niczem niepowstrzymany, hulał tu swobodnie. Młodzieniec przyspieszył więc kroku, żeby jak najprędzej dostać się pod dach, tym więcej, że babka nie lubiła, gdy późno wracał i gdy na niego musiano czekać z wieczerzą.

Gdy zbliżał się do domu, w którego oknach już się świeciło, nagle do jego uszów wiatr przyniósł jakieś zmieszane, rozpaczliwe okrzyki, jakąś wrzawę, tętent koni, a nawet zdawało mu się, że słyszy donośny głos swej babki. Zaniepokoiło go mocno, tymbardziej, że dostrzegł jak po pokojach dworu ktoś szybko biegał ze światłem, które raz w tem, to znowu w innem oknie się ukazywało. Rzecz to była niezwykła, gdyż o tej porze, w jednym tylko stołowym pokoju światło zawsze gorzało, babka bowiem, przez iście niemiecką oszczędność, nie pozwalała nigdzie więcej świec zapalać.

Wszystko to dało Władkowi do myślenia, że coś nadzwyczajnego dzieje się we dworze i coś niedobrego. Biegł więc szybko, nadsluchując coraz bardziej wzrastających krzyków, przeważnie kobiecych i kiedy wpadł nagle na dziedziniec domu, oto co ujrzał:

Trzech kozaków, uzbrojonych w długie dzidy, uwijało się po obszernem podwórzu dworskiem. Dwu z nich na koniach goniło dziewczki i parobków dworskich, okładając ich niemilosiernie batogami, a jeden spieszony, gołą szablą rąbał kury i kaczki, i właśnie gdy Władek się zjawił, zarzywał wieprzka, który kwiczał przeraźliwie. Babka stała na ganku i załamując ręce, wołała głosem rozpaczliwym: — *O Herr Je!*

To jej krzyki zapewne zwróciły uwagę jednego z kozaków konnych, bo pochyliwszy dzidę jak do ataku, pędem leciał ku babce z wraskiem i dzikiem wyciem. Niewątpliwie miał zamiar ją przebić i biednej kobiecie groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

Wobec tego, Władek niewiele myśląc, zerwał strzelbę z ramion, odwiódł kurek, zmierzył i wypalił do pędzącego ku pani Schulz kozaka. Co prawda, nie bardzo mógł mu zaszkodzić, bo obie lufy jego dwururki nabite były drobnym śrutem na ptaki, tak zwanym dąstem. Jednakże, gdy się dym rozszedł, ujrzał, jak kozak nagle zawrócił i klnąc głośno, zmykał sadząc przez płot, a po twarzy krew mu strumieniem ciekła. Widocznie strzał Władka haniebnie popstrzył głowę rabusia.

Huk strzału, widok umykającego z krzykiem i prze-

kleństwami towarzysza, piorunujące zrobił wrażenie na dwu pozostałych. Ten, co na koniu uganiał się z batogiem w rękę za parobkami i dziewczkami, nagle zatrzymał się, przez chwilę stał jakby skamieniały, a potem silnie smagnawszy bizunem konia, pognął za pierwszym. Pozostał na podwórzu tylko ten, co zarzynał kwiczącego wciąż przeraźliwie wieprzka, ale widząc co się święci, cisnął swą ofiarę i począł szybko gramolić się na kręcącego się i zaniepokojonego mocno konia.

Ale Władek postanowił ukarać rabusia. W chwili, gdy ten zwrócił się do młodzieńca tyłem i nachylony wdrapywał się gwałtownie na kulbakę, Władek zmierzył i cały nabój dąstu wpakował mu poniżej pleców. Kozak wrzasnął strasznym głosem, jednym skokiem znalazł się na kulbace i okładając niemiłosiernie bizunem szkapę, drapnął za przykładem swych towarzyszy, sadząc przez płoty i zniknął w ciemnościach nocy.

Tym sposobem Władek został panem pobojuwiska.

Wszystko stało się tak szybko, niebezpieczeństwo było tak groźne, że młodzieniec nie miał poprostu czasu zastanowić się nad możliwymi następstwami swego czynu. Niejako instynktownie, widząc co się dzieje, zerwał z ramion strzelbę i palił do kozaków. Ale teraz, gdy został zwycięzcą, rozejrzał się dokoła.

Niedaleko od niego leżała na ziemi jedna z dziewczek dworskich, którą widocznie skropił rabus batogiem, bo choć kozaków już niebyło, ona nie przestawała krzyczeć w niebogłosy:

— Laboga! ludzie ratujta! rety rety!

Temu jej krzykowi towarzyszył przeraźliwy pisk wieprzka, którego kozak nie zdążył zarznąć zupełnie, a który z rozplataną do połowy szyją biegał po podwórzu, brocząc obficie posoką. Na ganku babka przerażona, z ciecphem przekręconym fantastycznie na głowie, na pół siedziała, na pół leżała na ławce, z rękoma bezwładnie na dół opuszczonemi i wzdychając głośno, co chwilę jęklwym głosem wołała:

— *O Herr Je! o Herr Je!*

Władek przedewszystkiem nabił swą dwururkę, tym razem grankulkami, spokojnie i metodycznie nasypał na panewkę prochu, obejrzał się dokoła i wytężył słuch, czy nie dojdzie go jaki głos oddalony, a podejrzany. Nie zdawało mu się bowiem, aby do Brzozówki tylko trzech kozaków wpadło, przypuszczał, że gdzieś w pobliżu musi ich być więcej. Wieś leżała o jakie ćwierć mili w bok od szosy bitej, prowadzącej z Siedlec do Warszawy, a już dziś rano mówili ludzie, że Dybicz zajął Siedlce i że generał polski, Żymirski, który stał w Mińsku, oddalonym od Brzozówki o parę mil, otrzymał rozkaz opuszczenia tego miasteczka. Kombinując to wszystko, Władek przypuszczał, że na szosie musi maszerować jakiś znaczniejszy oddział nieprzyjacielski, a kozacy, którzy tyle wrzawy narobili we dworze w Brzozówce, muszą być boczną strażą i zapewne gdzieś w pobliżu znajduje ich się większa liczba, i gdy się tam dowiedzą co spotkało ich towarzyszy, niewątpliwie w znaczniejszej sile powrócą i strasznie, po kozacku się pomszczą.

Ale prócz krzyku dziewczki, wciąż leżącej na ziemi i powtarzającej swe: „reta! reta!”, prócz nieznośnego pisku wieprzka, który nakoniec padł i szamocząc się w przedśmiertnej agonji, charczał straszliwie, nic więcej słyhać nie było. Władek, któremu krzyk dziewczki przeszkadzał słuchać, pobiegł do niej i zawołał:

— Magda, czego się drzesz?

— Ale! — odrzekła dziewczka, podnosząc się i patrząc przerażonemi oczami na Władka — czego się drzesz?

— Już kozaków niema.

— Ale, niema — powiedziała z niedowierzaniem, ogłędając się dokoła trwożliwie.

— Już uciekli! Nie drzyj się do kroćset!

— Ale nie drzyj się!... dobrze paniczowi mówić. Żeby panicza ten zbój tak... zdzielił batem, z przeproszeniem, bez plecy, toby panicz darł się nikięj ten oto wieprzak.

— Wstań i idź do izby czeladnej; żywo! — wołał Władek, nie zważając na dość niewybredne porównanie go z nieszczęsnym wieprzakiem, który sam jeden padł ofiarą tego niespodziewanego napadu.

Tymczasem młodzieniec pozostawiając stękającą i leniwie podnoszącą się z ziemi Magdę jej własnemu losowi, pobiegł do babki, która wciąż na pół zemdlona siedziała na ławce, od czasu do czasu wydając jęgliwe westchnienia:

— O Herr Je!

— Babciu! — zawołał — już kozaków niema!

Słowa te na panią Schulz oddziaływały orzeźwiająco. W jednej chwili podniosła się, wyprostowała, przekrzy-

viony szkaradnie czepiec znalazł się na właściwym miejscu, i cała figura przybrała dawną dumną i groźną postawę. Przez chwilę milczała, wreszcie rzekła po niemiecku:

— Słyszałam strzały. Kto strzelał?

— Ja, babciu.

— Do kozaków?

— Tak.

— Czy zabiłeś którego?

— Nie! miałem strzelbę nabitą dąsem, a tem się nio-
go nie zabija. Uciekli, może trochę pokaleczeni, ale żywi.

Pani Schulz przez chwilę milczała, jakby się nad czem
astanawiała, wreszcie rzekła głosem łagodniejszym, cich-
zym:

— Władek, ocaliłeś mi życie.

— Przypuszczam, że ów kozak raczej chciał nastraszyć
babcię aniżeli krzywdę jej jaką zrobić. Zresztą jeden skok
lo sieni i zatrzaśnięcie drzwi wystarczało, by dzidy kozac-
kiej uniknąć.

— Tak... ale widzisz... przyznam ci się, tak struchlałam,
e nogi wprost odmówiły mi posłuszeństwa.

— Bądź co bądź niema o czem mówić.

— Przeciwnie, trzeba o tem mówić. Tak, ocaliłeś mi
hłopcze życie. Pójdź, niech cię uściskam!

Było to coś tak nadzwyczajnego, tak niezwykłego w po-
tępowaniu pani Schulz, zawsze chłodnem i surowem, że
Władek zrazu nie mógł tego zrozumieć i stał jakby skamie-
niały, nie myśląc wcale rzucać się w wyciągnięte ku niemu
ramiona babki. Ale nakoniec oprzytomniał i z uczuciem

rozczulenia oddał za uścisk, uścisk gorący, bo choć by rozżalony na panią Schulz za to, że źle mówiła o jego ojcu i za to, że nieprzełamany stawiała opór jego pragnieniom to przecież teraz zapomniał o wszystkim.

Władek dobrze zdawał sobie z tego sprawę co może się stać, jeżeli kozacy wrócą, to też postanowił natychmias działać i udawszy się do stajni nakazał:

— Wojtek, okulbacz wałacha!

— Wałacha?

— Tak.

— A la czego?

— Co się pytasz, niezdaro! rób co ci każą, a żywo!

— Ano... kiej okulbaczyć, to okulbaczyć, po nocy uuu! bodajże cię wciurności!

— Na kogo tak wymyślasz?

— Na kogo... niby to panicz nie wiedzą.

— A nie wiem. Może kozak cię zdzielił bizunem?

— A jeno... żeby go sufragana, bezskurcją połamał I żeby mu był krzyw choć krzynę, toby nie żał, ale ja mu winien, że mię sprął?

Tak gadając i stękając wyprowadził na środek wałacha, ślicznego kasztanka z łabędzią szyją, nogami ze strzałką białą na czole i takimiż pęcunami.

— Gdzie kulbaka i czaprak? — pytał Władek.

— Ano... są. To panicz, niby na ten przykład, za jadą?

— Zaraz.

— Po nocy?

— A po nocy, bo dnia nie mogę czekać.

— Bez cóż tak?

— Ty się nie pytaj, tylko się śpiesz.

Wojtek podrapał się po kudłatej głowie, przez chwilę milczał, wreszcie rzekł:

— To panicz przed tymi kozakami pewnikiem smyr-gają.

A gdy Władek, zajęty koniem, nic na tę uwagę nie od-powiadał, Wojtek dalej ciągnął:

— Juścić mądrze panicz robią, ani słowa. Bo ino pa-trzeć jak te bezskurcje wrócą i narobią tu galimatji, niech pan Jezus broni! I panicz sami jadą?

— Sam. Z kimżeby?

Wojtek zamilkł znowu, westchnął głęboko parę razy i zakładając kulbakę gadał:

— Zawdy by było lepiej i raźniej, żeby panicz samo-wtór pojechali.

Władek zajęty kulbaczeniem konia, nie bardzo uważał na to, co Wojtek mówił, więc i ostatnią uwagę puścił mi-mo uszów, Wojtek też na chwilę umilkł, drapał się po gło-wie, wzdychał ciężko, wreszcie zawołał:

— Paniczu!

— Czego chcesz?

— Ano... bo to widzą panicz... mnie się tak coś ocha-pia, że, niby na ten przykład, zawdy by było lepiej we dwóch jechać na tę wojenkę.

— A skądże ty wiesz, że ja na wojenkę jadę.

— Hi! hi! hi! — zaśmiał się Wojtek — panicz myśli, że Wojtek głupi i nie ma nijakiej kalkulacji we łbie. Ehe! Wojtek z przeproszeniem nie taki głupi, żeby nie wiedział co się święci. No! wałach gotowy jeno siadać!

Nachylił się, żeby to i owo jeszcze koło kulbaki poprawić i nagle prostując się i patrząc prosto w oczy Władka, rzekł:

— Paniczu, i ja też jadę z paniczem.

— Władek przez chwilę zastanowił się i zawołał:

— Zuch z ciebie Wojtek. Dobrze, jedź ze mną!

— Jeno czy dziedziczka pozwoli... a jak nie pozwoli, to ja też pojadę! — dodał z determinacją.

— Ja z babką zaraz o tem pomówię i sędzę, że nie będzie się sprzeciwiała. Ale na czemże ty pojedziesz?

— Na czem? a na siwku.

— Taki brzydki.

— Co ma być brzydki? Koń jak się patrzy, a że ta łbisko ma okrutne, nikiem z przeproszeniem, świnia, to i cóż?

— A siodło masz?

— Mam starą terlicę, ale jeszcze godna.

— Gotuj się więc do drogi, ja do babki lecę.

Pani Schulz trochę co do Wojtka robiła trudności, ale wreszcie z uwagi, że Władek będzie miał w nim pomoc i służącego, zgodziła się, tylko nalegała, dręczona nerwowym niepokojem, aby obaj chłopcy jak najspieszniej wyjechali. Władek przypasał ojcowski pałasz do boku, zabrał proch i kule, drugą strzelbę, pojedynek kazał Wojtko-

wi wziąć i ruszył pożegnać się z babką.

Żegnała go z niezwykłą czułością i kilkakrotnie obejmowała go drżącymi rękami i całowała go po głowie i twarzy, szepcząc jakieś słowa, zapewne wyrazy błogosławieństwa, a z oczów łzy jej ciekły ciurkiem. Wsunęła mu w rękę woreczek jedwabny i dość ciężki, mówiąc:

— Tu jest sto dukatów, więcej w tej chwili w domu nie mam, bądź więc oszczędny i ostrożny w wydatkach. Później, przy okazji przyślę więcej. Gdyby ci coś zbrakło, idź do mojego starego znajomego w Warszawie Heliglasa, mieszka na Starem Mieście ulica Dunaj Szeroki, on ci dopomoże. Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko, niech cię ma zawsze w swej opiece. Do wojska jeszcze raz jak najśroćniej zabraniam ci wstępować. Pamiętaj chłopcze, że ich sprawa nie jest naszą niemiecką sprawą. Czy przyrzekasz mi to?

— Dobrze babciu — odrzekł Władek, wzruszony tem pożegnaniem — ale jeżeli mię siłą wezmą, co jest bardzo możliwe, to co mam robić?

— Ha! jeżeli cię siłą wezmą, to co innego, ale staraj się uniknąć tego. No! niech cię Bóg prowadzi. Jedź już, bo obawiam się, że kozacy mogą lada chwila powrócić. Jedź już! jedź!

Wojtek tymczasem nabił grankulkami swą pojedynekę, starannie na panewkę prochu nasypał i trzymając na podwórze okulbaczone konie, niecierpliwił się mocno tem przydługiem nieco pożegnaniem. Nakoniec siedli obaj na koń i żegnani błogosławieństwem babki i służby dworskiej, ruszyli kłusem tą samą boczną drogą, którą przed godzi-

na Władek wracał ze swej samotnej wycieczki do lasu. Do lasu tego było niedaleko, może z ćwierć mili: na drodze gruda, bo pod wieczór mroźny wiatr północny osuszył pola i błota.

Noc była bardzo ciemna, niebo pokryte chmurami. Władek, który miał wzrok doskonały, mógł zaledwie w tej ciemności dostrzec łeb swego kasztana. Ale że drogę znali obaj chłopcy wybornie, więc pędzili dobrym kłusem śmiało. Gdy już dojeżdżali do lasu, nagle Wojtek zawołał:

— Paniczu, stać!

— Co takiego?

— Panicz nie słyszą?

W rzeczy samej wiatr od gościńca przynosił głucho dudnienie i tętent koni, jakby szły wielkie jakieś wojska. Niewątpliwe był to nieprzyjaciół.

— No — mówił Wojtek — w Brzozówce będzie gali-matja. Ale dziedziczka da sobie radę. Mądra to niewiasta, chociaż Miemka.

Ale nie ujechali lasem i ćwierć mili, gdy nagle ujrzeni za sobą łunę wielkiego pożaru, ponuro odbijającego się na czarnych chmurach.

— Ani chybi, to dwór w Brzozówce się pali! — mówił Wojtek, wpatrzony w ten odblask krwawy na niebie.

III.

Widok łuny czerwonej, ponurą plamą odbijającej się na chmurnem niebie nocnem silnie wstrząsnął Władkiem. Zatrzymał konia, patrzył długo w posępnem milczeniu, wreszcie rzekł:

— Chyba się wróćmy!

— Po co? — spytał Wojtek.

— Przecież nie można pozwolić, by ci zbóje bezkarnie pastwili się nad babką. Bóg wie co się tam dzieje!

— A niby, cóż my pomożemy? Niech no panicz da spokój. Jest tam we dworze dziedziczka, a chociaż Miemka i też ciężka na ludzi, ale niewiasta mądra, o! mądra. Już ona, niby ta dziedziczka, poradzi sobie i z kozuniami. Jedźwa, bo nuż one, te zbóje, za nami się puszczą. Daliby nam łupnia, niech ręka Boska broni!

Władek wahał się długo, oczami pożerał coraz silniej krwawiącą się łunę, serce mu się krajało, ale czuł, że nic na to poradzić nie jest w stanie. Jeżeli kozacy powtórnie napadli na dwór w Brzozówce, to z pewnością nie we trzech, ale z taką siłą, że on z Wojtkiem, nawet przy nagłym, niespodziewanym ataku na nich, nicby poradzić nie mogli, owszem życieby oddali i katastrofę tylko zwiększyli. Zresztą liczyć trochę należało na rozum i przebiegłość babki, która wyraźnie mu na odjeźdźnym powiedziała, żeby się o nią nie troszczył, ale o sobie tylko myślał. Przytem Wojtek, który trwożliwie nadśłuchiwał, nalegał, by jechano dalej.

— Niema nijakiej pewności — mówił — czy kozacy, jak psy gończe, dowiedziawszy się o nas w Brzozówce, nie polecą za nami. Paniczu, uciekajmy i koniec.

Władek nic nie odrzekł, zapatrzony ciągle na łunę, co widząc Wojtek, chwycił kasztanka za cugle, nawrócił go i ruszył z nim jak mógł najszybciej. Las był bardzo gęsty,

ciemności w nim panowały nieprzejrzone i prawdę mówiąc, gdyby nawet nastąpił pościg kozacki, to niebezpieczeństwa nie było żadnego. Uskoczenie w bok, w gęstwinę leśną, chroniło obu zbiegów lepiej i pewniej, niż najsilniejsza twierdza. Ale Wojtek był trochę tchórzem podszyty i o-
trzymane niedawno batogi kozackie, których ciężość czuł dotąd na plecach, takim go natchnęły respektem dla Doń-
ców, że za nic w świecie nie chciał się więcej z nimi spot-
kać. Jadąc, usilnie starał się przekonać milczącego ponuro
Władka, że powrót do Brzozówki nie tylko nie przyniosłby
żadnego pożytku, ale owszem szkodę. Był bardzo wymowny
i choć uchodził za głupkowatego, jednakże w tem co mó-
wił, okazywał wiele, co prawda, nieco samolubnego ro-
zumu. Co jakiś czas zatrzymywał się i pilnie nadśluchiwał,
czy jaki podejrzaný głos nie dojdzie do niego. Ale w boru
tylko wiatr szumiał i drżały owe senne, tajemnicze szepty
natury, znamionujące posępne noce zimowe.

Jechano, o ile można było, bardzo prędko. Na szczę-
ście droga po niedawnych odwilżach, nagle obeschła i sto-
sunkowo była niezła, ale wśród ciemności, Wojtek, który
przodem jechał, smagany był nieraz nielitościwie przez
gałęzie drzewa. Podróż ta trwała już z półtorej godziny i
łuna na niebie zgasła, czy też zakryta lasem widzieć się nie
dawała.

— Czy my tylko dobrze jedziemy? — spytał Władek
— bo w tej ciemności nic nie widać, zresztą ja tych stron
nie znam.

— Byliśmy się do Cyganki dostali — odrzekł Woj-

tek — mam tam pod borem wujka gajowego, to do niego zajedziemy z wszelakiem bezpieczeństwem. Ale może zwolnić, bo tu, te bezskurcje kozunie ju nas nie zna: a gałęzie smagają po licu, nikiej batogi kozackie. Uf! mi lepiej na wewnątrz, takem się bał.

— Widzę, że z ciebie niewielka będzie pociecha w wasku — odezwał się Władek — kiedy się tak boisz kozacki

— Jak będziwa w kupie, to obaczy panicz, jakiego tym zbójnikom zadam łupnia. Popamiętają hycle Wojtka Lisa ruski miesiąc. Ale tera we dwóch, z tą fuzyjką, my poradzimy? Żeby to ja miał, jak panicz, taki szcysty pałasz, to...

Nie skończył, bo nagle od ich strony lewej, wiatr przniósł donośny huk dział, tysiącnym echem rozlegający po lesie. Obaj jeźdźcy, jakgdyby na rozkaz jednocześnie zatrzymali konie i w milczeniu, z bijącym sercem, wchiwali się w rosnący coraz bardziej huk armatni, które niebawem towarzyszyć zaczął grzechot ognia karabinowego.

— Panie Jezu miej nas w swej opiece! — zawołał Wojtek dygoczącym głosem.

— Gdzieś się widocznie biją — szepnął Władek — gdzie? Wojtek, czy ty nie wiesz gdzie my jesteśmy i gdzie to mogą się bić?

— Nie wiem paniczu, nie wiem. O laboga, uciekaj! Co za straszny huk, o mój Jezu, Jezusieńku!

I dzwoniąc głośno zębami, począł głosem drżącym, płaczącym szeptać:

— Zdrowaś Marja, łaskiś pełna, Pan z Tobą, bł

sławionaś Ty między niewiastami...

Ale ta tchórzliwość Wojtka, oburzyła młodzieńca.

— Cicho byś był, do kroćset! Jeżeli do tego stopnia jesteś tchórzem podszyty, że cię daleki huk dział drzączki nabawia, to po kiego licha jedziesz ze mną? Trzeba było zostać w domu.

— Ale... zostać w domu, żeby mnie kozaki batami sprali! Dobrze paniczowi gadać, kiej go nikt batem nie skropił...

— Więc czegoż chcesz? Nie gniewaj mnie, bo dalibóg, ja cię skropię za tchórzostwo!

— O laboga! laboga! jaki też panicz przekorny. Nawet człekowi chwilkę pomodlić się nie dadzą!

Władek już nic nie odrzekł, tylko dalej wsłuchiwał się we wzmagający się coraz bardziej huk armatni, który wiatr, wiejący od południa, wyraźnie przyniósł.

— Gdzie my jesteśmy, gdzie my jesteśmy? — powtarzał — i gdzie to się biją?

— Pewnikiem to w Mińsku się biją! — zauważył Wojtek.

— Może masz i rację — zawołał Władek — tylko kto z kim? Dziś rano mówiono w Brzozówce, że generał Żymirski Mińsk opuścił. Z kimże więc nieprzyjaciel się bije?

— Hm! — mruknął Wojtek — z kim się bije, to się bije, a my tu nie mamy czego czekać, tylko w drogę, bo jeno patrzeć jak nas kozunie napadną, a wtedy będzie kiepsko z nami, Jazda!

Ruszył koniem naprzód, a Władek ciągle rozmyślający

nad tem gdzie się biją, pociągnął za nim. Tak wlekli się wolno, bo las był coraz gęstszy i mgła wilgotna spadła, zwiększając i tak już nieprzejrane ciemności, przytem konie, widocznie zmęczone, niechętnie posuwały się naprzód. Może godzinę, może i więcej ów huk jakiegoś dalekiego boju dawał się słyszeć, potem nagle ustał. Wojtek, który dotąd milczał, teraz, gdy uczuł się niejako bezpieczniejszym, rzekł:

— Powinniśmy już być w Cygance, ale w takiej ćmie to i pobłądzić łatwo. Możemy też i pobłądzili? Brr! zimno.

— Wiec nie wiesz gdzie jesteśmy? — spytał Władek.

— Bogiem a prawdą, paniczu, nie wiem. I widzi mi się, że najlepiej będzie zatrzymać się i wytchnąć sobie i koniom. Śkapy się zmachały okrutecznie po takiej grudzie.

— Możemy to zrobić, choć zdaje mi się, że nie jest to zbyt bezpiecznie. Bitwa toczy się gdzieś blisko i jaki podjazd nieprzyjacielski mógłby nas zagarnąć. Najlepiej będzie puścić konie, one nas same może do jakiej wsi zaprowadzą. Zimno robi się przenikliwe i jeść mi się też chce bardzo.

— A bo bez te bezskurcje kozaki, to człek nawet nie wieczerał. I mnie też żywot dopomina się o strawę.

— Mój kochany, kto się na wojaczkę wybiera, to powinien się przygotować do niewywczasu, zimna i głodu.

— Ja to wiem, ale zawdy...

— Muszę ci też Wojtek powiedzieć, że skoro raz postanowiłeś wstąpić do wojska i bić się za ojczyznę, to ci tchórzyć nie wolno, a ty tchórzysz haniebnie. Żołnierz polski zawsze i wszędzie powinien śmiało i odważnie stawić

czło nieprzyjacielowi i za ojczyznę życie oddać, gdy się tego okaże potrzeba.

— Juścić panicz mądrze gadają, ani słowa. I ja też nie jestem nijaki tchórz, jeno tak samowtór, to się też na sercu ckliwo robi, jak se człek pomyśli, że to zbóje mogą hurmem na nas napaść. Ale obaczy panicz, że niechno nas będzie więcej, to Wojtek Lis będzie prał, że wióry jeno polecą. Ha! ha!

— Obaczymy, a tymczasem pamiętaj Wojtek, żeś Polak, żeś syn tej nieszczęśliwej ojczyzny i że zawsze winienes dumnie i górnies nosić miano Polaka.

Wojtek może nie bardzo zrozumiał co do niego mówił Władek, zwłaszcza, że z chłodu i głodu szczękał zębami i wzdychał żałośliwie. Konie, puszczone samopas, żwawiej ruszyły naprzód i nagle skrzyły w bok i wyciągniętym stępem puściły się boczną, wąską drożyną.

— Konie czują ludzi, bo rażno idą — zauważył Wojtek — żeby tylko nie natknąć się na kozuniów.

— Tobie tylko kozunie na myśli. A choćbyśmy się i na nich natknęli, to co? Damy ognia, a potem z szablą w garści uderzymy.

— Ba! panicz mają szablisko jak się patrzy, a ja co? Ale widzi mi się dym czuć i smołę. Ani chybi, tu są gdzieś w lesie smolarze.

— To i dobrze, w każdym razie znajdziemy jakiś dach, a może i co jeść dostaniemy. W rzeczy samej czuć smołę.

Jakoż ujechali jeszcze gąszczem leśnym z pół ćwierci mili, nie kierując wcale końmi, gdy ujrzeli czerwieniejące

się od wewnętrznego ognia kopce, ze skwarzącą się wewnątrz smołą. Duszący dym rozchodził się dokoła, a zaledwie wjechali na niewielkie karczowisko, dokoła zresztą otoczone lasem, gdy skądś wypadły dwa ogromne brytany i zawzięcie ujadać i rzucać się na konie poczęły. Niebawem też z budy, a raczej dołu w ziemi wykopanego i nakrytego dachem ze słomy i gałęzi, wylazł jakiś człowiek w kozuchu i głośno zawołał :

— Kto tam ?

— Swój! — odrzekł Władek.

— Co za swój? tu tyż każdy jest swój.

I szedł ciężkim krokiem, zgarbiony, we wściekłej czapie na głowie, z olbrzymią pałką w ręku, ku jeźdźcom, którzy stali nieruchomo, opędzając się tylko od psów, które nie przestawały zawzięcie ujadać i rzucać się gwałtownie.

— Hej, przyjacielu! — zawołał Władek — odpędź te psy, bo im w łby postrzelam.

— A cóżeś ty za jeden, co chcesz moim psom w łby strzelać?

— Jestem wojak polski i szukam schronienia.

— A zkądżeś się tu wziął?

— Zkądem się wziął, tom się wziął. Poblądziłem w nocy i koniec.

W czasie tej rozmowy smolarz zbliżył się do koni i choć, z powodu ciemności niewiele mógł zapewne zobaczyć, przypatrywał się pilnie przybyłym i począł uspakajać brytanów.

— Zabój i Liszka do nogi! cicho pieski, cicho!

— Mój bracie — odezwał się Władek — czy nie wiesz, jak daleko do Cyganki?

— A! to wy do Cyganki jedzieta? Hm! tam stoją Polaki, piechota i hułany.

— To też my do nich jedziemy. Daleko ztąd?

— Co ma być daleko, będzie milka; ale to tędy droga nie idzie.

— Poblądziliśmy.

— Jać to widzę. Czegóż trzeba?

— Spocząć trochę i posilić się. Masz bracie co do zjedzenia? zapłacimy chętnie.

Smolarz przekręcił wściekłą czapę na bakier, podrapał się po kudłatej głowie i rzekł:

— A możeśta wy zbóje? Bo i oto nie trudno tu w boru.

— To ci głupi chłop — odezwał się na to Wojtek — gadamy ci, że do Polaków jedziewa a on o zbójach prawi.

— Głupi, nie głupi — odrzekł smolarz — i nie jednego mądrego rozumu by nauczył. A kiedyśta tacy mądrzy, to jedźta sobie z Bogiem, a mnie po próżnicy głowy nie zawracajta. Człek się cały dzień nikiem woły w jarzmie naharuje, to się też nocką chce wywczasować.

To rzekłszy i mrucząc coś po nosem, poszedł ku swej budzie, wołając:

— Zabój, Liszka, chodźta pieski!

— Czekažno przyjacielu! — rzekł Władek — nic ci przecie złego nie zrobimy, czego uciekasz?

— Ja nie uciekam i was się nie boję. Jedźta swoją drogą i koniec, kiedyśta tacy mądrale.

— Mój bracie — mówił Władek — to nie po katolicku podróżnego nie przyjąć i odpędzać jak psa.

— Pewnikiem, że nie po katolicku, ale kiej ja jestem głupi, to coś za radę mogę dać mądremu?

— Nie gniewaj no się, przyjacielu, to się mojemu towarzyszowi niechcący wyrwało. Młody jest, to i pstro w głowie.

— Jać to widzę, że musi być ten twój towarzysz gołowąs, skoro człeka uszanować nie potrafi! No! zleźta z koni i do budy. Nie ma tu u mnie nic, jeno chleb i sól, ale dla głodnego są to delicje.

Zeszli z koni, przywiązali je do chojaków i Władek rozkazywał:

— Wojtek, popuść im popręgów, ale kulbak nie zdejmuj. Niewiadomo co może wypaść i trzeba być na pogotowiu.

— Hm! — odezwał się na to smolarz — bać się nie mata czego. Przespieczeństwo tu w boru jest wszelakie. Wczoraj to tu jeno dziesięciu hułanów zajechało z jakimś starszym, i gadali co są z Cyganki i pytali się o kozaków.

— A kozaków tu nie było? — spytał Wojtek.

— Nie, jeszczeż żadnego nie widział, choć tu dziś na odwieczerz łuna była wielka na niebie i słyhać było, jak się biją.

— I gdzie to mogli się bić?

— Czy ja wiem? może kole Mińska, a może gdzieindziej. Zkądże ja mam wiedzieć? ja tam nie byłem, to i nie wiem.

— A łuna? gdzie się to mogło palić? — spytał Władek.

— Nie wiem. Może w Kałuszynie, a może i nie. Widzi mi się, że to najpewniej Jakóbów, albo Brzozówka gorzała. Ale to w tem niema nijakiej pewności.

Przypuszczenie smolarza, że to Brzozówka się paliła, jakby sztyletem przeszło serce Władka. I on, kiedy wieczorem ujrzał łunę, sądził, że nic innego, tylko dwór jego babki goreje, ale pocieszał się tem, że się może myli. Teraz jednak słowa smolarza potwierdzały niejako jego przypuszczenia i było mu bardzo ciężko, bardzo gorzko na sercu. Bo ostatecznie nikt inny, tylko on był powodem tej katastrofy. Gdyby był nie strzelał do kozaków, to nie byłiby wrócili w znacznie większej sile i nie mścili się na jego babce.

Smutny więc i zgryziony wsunął się za smolarzem do budy, gdzie był zaduch mocny, ale ciepło, choć ciemno. Stanął więc i czekał, bo smolarz mówił:

— Zaraz skrzeszę ognia i łuczywo zapalę.

Jakoż słysząc było w ciemności jak się kręcił po budzie, a wkrótce krzesać zaczął i iskry się sypnęły i hubka się zatliła. Smolarz dmuchnął na nią raz i drugi, przytknął łuczywo i niebawem czerwone, ruchliwe światło zalało budę. Przy tem świetle Władek ujrzał niską i kręłą postać swego gospodarza, o szerokich barkach i ciężkich ruchach. Na głowie miał ogromną, zniszczoną mocno, strzępiącą się na wszystkie strony wściekłą czapę, która mu nadawała wygląd dziki i groźny. Po jego twarzy, zakopconej i brudnej, zarośniętej mocno, na pół ukrytej w cieniu,

ślizgały się ruchliwe blaski łuczywa i czyniły ją jeszcze groźniejszą. Podniósł on łuczywo do góry, tak, żeby oświetlić nim Władka i przypatrywał mu się ciekawie przez chwilę i widać, że ten przegląd wypadł pomyślnie, bo wetknął smolną drzazgę w ziemię i rzekł:

— To niby do Polaków jedzieta?

— Tak.

— A zkądęśta przyjechali?

— Z Brzozówki.

Smolarz podniósł głowę, popatrzył chwilę i rzekł:

— Może panicz z Brzozówki?

— Tak.

— I na wojaczkę panicz jadą?

— Tak.

— Do Polaków chcą przystać?

— Mój bracie, jedna mi rzecz jest dziwna — odezwał się Władek — boć przecie i ty jesteś Polak. Czy nie tak?

— Ano... juści tak.

— A nazywasz naszych Polakami, jakbyś należał do innego narodu.

— Ja jestem chłop.

— Alboż to chłop nie jest Polakiem?

— Ano, niby tak. Ale cóż to mnie chłopu, do tego? Mnie kazali być smolarzem, smołę palić to i palę, a co ta panowie robią, to co chłopu do tego?

Umilkł i po chwili dodał:

— Nie mam ja tu panicza czem przyjąć. Chleb mam tylko i sól. Nie wiem czy panicz będą jedli.

— Już się o to bracie nie troszcz. Dawaj tylko.

Zagłębił się w kąt budy i niebawem wyszedł na światło, niosąc w ręku pół bochenka czarnego chleba, krajanke zeschniętego sera i sól w króbcie z kory brzozy. Wszystko to położył na stole, a raczej ławie, z prostych, ledwie ociosanych desek, opartych na dwóch palach, wbitych w ziemię. Władek zabrał się chciwie do tej skromnej uczty bo był głodny, a tymczasem Wojtek ukazał się w budzie.

— Zdałoby się koniom dać co jeść, bo głodne i zmachały się niebożęta! — mówił Wojtek.

— Nie masz bracie owsa albo siana? — spytał Władek.

— A skądżeby tu u mnie był owies? — odrzekł smolarz. — Kóni nie mam, to po co mi owies? Mam trochę siana, to im dam.

Wyciągnął z kąta parę wiązek siana i gdy Wojtek wyszedł, by je rzucić pod konie, smolarz się spytał:

— A ten parobek czyj?

— Mój.

— Niby też z Brzozówki?

— Tak.

— Strasznie chłop głupi. I on na wojaczkę jadzie?

— Tak.

— Co tam po chłopie, przez chłopą się tam obejdzie. Ślachta, słyszę, wszyčka poszła, ale chłopcy!

— Mój bracie — ozwał się na to Władek tonem uroczystym — już po raz drugi słyszę, że ty chłopów uważasz za jakiś odrębny naród. Czyż to chłopci nie są Polakami? czyż ich i szlachtę nie ta sama święta ziemia

polską wykarmiła i karmi? czyż nie mówią jednym językiem i nie jednakową wiarę wyznawają? czyż nie jest obowiązkiem wszystkich bronić tej ziemi, matki naszej rodzonej, gdy ją noga najeźdźcy depta?

— Hm! — odrzekł smolarz — wszystko to prawda, co panicz gadają. I po sprawiedliwości, to i ja bym też poszedł na tę wojaczkę, jenom stary już strasznie. Latoś skończyłem siedemdziesiąt roków, to gdzie mi ta wojować z takim okrutnem wojskiem, jakie są moskale. To ta, powiadają ludzie, jest tego jak mrowia, a strasznie zażarte na Polaków. I dadzą im to radę?

— Przy Bożej pomocy, mam nadzieję, że damy radę. Nie taki djabeł straszny, jak go malują. I nas też jest nie mało, a jak się wszyscy ruszymy, toć przecie nas będzie więcej, jak ich.

W tej chwili wszedł Wojtek i przypiął się do chleba, i soli i rozmowa ucichła. Byli przytem obadwaj bardzo zmęczeni przygodami i podróżą tej nocy, więc posiliwszy się jako tako, prosili smolarza by im wskazał miejsce, gdzie mogą chwilkę się przespać. Milcząc wsunął on się znowu w ciemny kąt izby i stamtąd wyniósł pęk siana, które rozesał na ziemi i mówił, by spoczęli z Bogiem. Władek z rozkoszą wyciągnął się na sianie i rzekł:

— Mój bracie, jutro jak świt obudź nas i może będziesz nam przewodniczył w drodze do Cyganki.

— Pokażę paniczowi drogę, to ona sama was zaprowadzi do Cyganki. Ja stąd ruszyć się nie mogę, boby mi się smoła spaliła.

Jakoż nazajutrz o chmurnym świcie dnia lutowego, smolarz wywiódł obu młodzieńców z boru na niewielką boczną drogę i rzekł kłaniając się nisko, obdarzony przez Władka kilku złotówkami.

— Niech panicz jadą tą drogą, a ona zawiedzie do Cyganki. Jedźta z Bogiem!

Konie wypoczęły, a choć tylko siano jadły, jednakże żwawo ruszyły naprzód. Droga ciągle biegła lasem, była szeroka i niezła. Nad ranem chwycił przymrozek i ściał błoto, tak że puszczono się szybko i z tą radosną nadzieją, że w Cygance przyłączą się do naszych, którzy, jak twierdził smolarz, wieś tę mieli zajmować.

IV

Był już dość późny poranek, może koło godziny 10-tej, dnia 18 lutego, gdy Władek z Wojtkiem jadąc ciągle boczną drogą wśród lasu, nagle zatrzymać się byli zmuszeni. Wśród ciszy bowiem panującej dokoła, niespodzianie gdzieś w pobliżu, po swej prawej, usłyszeli wyraźnie ciężkie dudnienie, jakgdyby armaty jechały, tętent koni, a nawet głośno wypowiedziany rozkaz:

— *Prawoje pleczo wpierod!*

Wojtek usłyszawszy to, skamieniał. Wstrzymał nagle konia i tak stał nieruchomy, z oczami szeroko rozwartemi, z wyrazem niewypowiedzianej trwogi na twarzy. Gdy

wreszcie owe głosy zdawały się rósć i coraz bardziej zbliżać, zawołał zwracając w tył konia:

— Paniczu uciekajmy!

Ale Władek, zdejmując z pleców strzelbę, odrzekł tonem surowym i rozkazującym:

— Ani mi się waź!

— I w tejże chwili rzucając dokoła siebie spojrzenie szybkie i przenikliwe, zwrócił konia w lewo i zawołał:

— Za mną!

Po lewej stronie wśród lasu zarosłego starodrzewem, a więc przejrzystego daleko, wznosiło się wysokie, stożkowate wzgórze, prawdopodobnie ze względu na swą formę, jakieś grodzisko przedhistoryczne, pokryte bujną, gęstą roślinnością, choiną, leszczyną i świerkami. Wśród tego gąszczu łatwo się było ukryć, a co ważniejsze można było stamtąd znaczną przestrzeń objąć wejrzeniem. To położenie korzystne odrazu wpadło Władowi w oko i nie namyślając się wiele, zwłaszcza, że na to czasu nie było i niebezpieczeństwo było groźne i bliskie, puścił się kłusem ku owemu wzgórzcu. Oddalone ono było od drogi, którą dotąd jechali, o parę stajni zaledwie, to też w kilka minut znaleźli się na jego szczycie. Rosła tu ogromna sosna, otoczona dokoła nieprzejrzanym gąszczem, tak, że z trudnością, nie bez szkody dla swego ubrania, przedrzeć się przezeń mogli. Sosna ta, obszerną swą szpilkowatą koroną panowała nad całą okolicą.

Gdy się już pod nią znaleźli, Władek zakomenderował:

— Z konia!

Gdy to rozporządzenie wykonane zostało, Władek oddając strzelbę dygocącemu ze strachu Wojtkowi, rzekł:

— Trzymaj konie. Obie strzelby opatrz, czy proch na panewce się znajduje. Ja wdrapię się na sosnę i zobaczę co się dzieje.

— Paniczu! Paniczu! — zawołał nagle Wojtek — niech no panicz patrzą!

W rzeczy samej nie potrzeba było wcale wdzierać się na sosnę, gdyż z samego wzgórza całą okolicę, na jaką milę w promieniu, widać było jak na dłoni. Otóż przedewszystkiem, w odległości paru tysięcy kroków od wzgórza, w dolinie nad bystrym strumykiem, leżała, otulona w mgłę poranną, wieś Cyganka, pełna ruchu i życia. Ciągnęła się ona wzdłuż szerokiej drogi, na której stały konie okulbaczane a przy nich ułani, po żółtych czapkach i takichże rabatach i chorągiewkach, należeli, jak poznał Władek, do trzeciego pułku. Mogło ich być ze dwa szwadrony. Na obszernym dziedzińcu dworskim rozłożyła się piechota z pułku strzelców pieszych, coś około batalionu, mająca broń w kozły ustawioną. Wszystko zatem świadczyło, że nie wiedziano nic o zbliżaniu się nieprzyjaciela, który obchodząc na prawo i lewo wieś skrajem lasów, dokoła ją otaczających, miał zamiar garść naszych zupełnie okrążyć i wziąć do niewoli. Władek, ze wzgórza, na którym się znajdował, widział doskonale, że ten nieprzyjaciel był o wiele silniejszy. Głównym gościńcem ciągnęły masy czarne piechoty, ułani, karabinierzy, armaty, ciągnęły i bocznymi drożynami, a

garść naszych najspokojniej spoczywała sobie we wsi i we dworze Cygańskim.

— Boże! — zawołał Władek — co robić? jak im dać znać?

Właśnie w tej chwili, tuż pod wzgórzem, na którym Władek z Wojtkiem, byli ukryci przemykali się z możliwą ostrożnością pomiędzy drzewami karabinierzy długim, ciemnym, jak zwoje węża ruchliwym szeregiem. Na ich hełmach złocistych, nikły blask zimowego poranku kładł się świetlistemi plamami, błyszczały dobyte miecze, czasem zabrzęczała ostroga. Szli w milczeniu i ciszy, niby chmura ciężarna gromami, gotowi lada chwila spaść, jak piorun, na tę garść naszych, spokojnie odpoczywającą na wsi. Na czele karabinierów, na karym, wielkim koniu, jechał ich wódz, w hełmie złocistym, z nagim, prostym mieczem w dłoni, ciągle spinający się na kulbace i niespokojnie na wieś spoglądający. Wszyscy zresztą mieli twarze ku wsi zwrócone, nie widzieli zatem Władka i Wojtka, ukrytych dobrze w gęstwinie wzgórza. W naturze leżała senna cisza, tylko wietrzyk lekki szumiał wśród nagich krzaków bezlistnych i ta cisza dźwigała w sobie, niestety! pioruny.

Władek w jednej chwili zdecydował się.

— Dawaj strzelbę! — syknął do Wojtka — trzymaj konie jak wypalę do tego oficera raz po raz, to potem ty wal w kupę z twej pojedynki. Potem na koń i z pałaszem w garści spadniemy na nich jak orły, stratujemy kogo spotkamy i przerzniemy się do naszych. Rozumiesz?

— Rozumiem, co nie mam rozumieć? — odrzekł dygo-

czący ze strachu Wojtek — ale panicz ma pałasz, a ja co?

— Kolbą wal po łbach!

— Ale kolbą... dobrze paniczowi...

Nie dokończył, bo już Władek oparł swą dwururkę o wystającą gałąź młodego dębczaka i począł mierzyć. Odległość od niego do jadącego na przedzie oficera karabinierów, mogła wynosić około trzydziestu kroków, strzał był więc prawie pewny, a Władek był strzelcem zawołanym. Serce mu biło jak młotem i ręce drżały, tak, że kilkakrotnie zatrzymywał się z pociągnięciem cyngla, by się uspokoić. Nakoniec opanował się, wymierzył starannie i dał ognia.

Rozległ się donośny huk, tysięcznem echem przez las powtórzony, a Wojtek, z oczami iskrzącymi, potrząsając swą pojedynką, wołał:

— Spadł ze śkapy! spadł ze śkapy!

W rzeczy samej oficer karabinierów leżał na ziemi z rotrząskaną głową, a koń jego w szalonych szczupakach, rżąc głośno, pędził przez pola ku wsi. Wrażenie, jakie wywarł ten niespodziewany strzał na wszystkich, było niesłychane. Karabinierzy stanęli nagle jak wryci, a w każdej kolumnie nieprzyjacielskiej, skradającej się brzegami lasów, zakotłowało się jak w garnku. Niemniej wśród naszych, dotąd spokojnie obozujących we wsi, zawrzało. Na ganek dworu wypadło kilkunastu oficerów, zaturkotały bębny, zagrały trąbki, rozlegały się rozkazy:

— Do broni! do koni!

A Władek tymczasem znowu oparł strzelbę o gałąź, znów zmierzył i znowu garść grankulek posłał w zbitą ma-

sę karabinierów i znowu jeden z jeźdźców, z głośnym okrzykiem runął na ziemię, powodując w szeregach straszliwy popłoch.

— Na ciebie kolej, Wojtek! — zawołał Władek — wal w kupę i na koń!

Nie trzeba było tego dwa razy powtarzać Wojtkowi. Strzały, zapach prochu, widok zamieszania w szeregach nieprzyjaciela, rozgrzał w nim starą krew piastowską. Oczy mu się świeciły, jak dwa rozżarzone węgle, nozdrza rozwarły szeroko jak u szlachetnej krwi konia, policzki zaczerwieniły, potrząsał strzelbą i syczał przez zęby z pewną zaciekłością:

— Dam ja wam, bezkurcyje jakieś!

Zaraz też huknął strzał i nowy jeździec runął na ziemię. Noga mu pozostała w strzemieniu i oszalały koń wyrwał się z szeregu i gnał przez pola ku wsi, wlokąc za sobą krwawego trupa. Ten widok, te strzały niespodziewane, padające jeden za drugim i za każdym razem wyrrywające z szeregów nową ofiarę, spowodowały, że karabinierzy przez chwilę zbili się w niesforną gromadę, starali się powstrzymać rwące się na wszystkie strony konie, wreszcie, z początku pojedynczo, potem całą masą zawrócili i pędem uciekając, znikli w głębi leśnej, tak że między dwoma młodzieńcami a wsią i garścią polską, nie było już żadnej przeszkody i zapory żadnej.

— He! he! paniczu — śmiał się Wojtek, cały rozpromieniony — a tośmy im zadali bobu! Jazda paniczu, bo trzeba te śkapy, co se tam hulają po polu, schycić i tyż

obejrzeć tego oficjera, co se tam leży, nikiej kłoda. Pewnikiem ma w trzosie nie mało grosiwa i pałasinę też galantą.

— Władek już siedział na koniu i mówił:

— Broń zabrać możesz, ale o pieniądzach ani się waz myśleć. No! naprzód, póki czas!

Zjechali ze wzgórza, przez chwilę zatrzymali się przy leżącym na ziemi oficerze. Wszystkie grankulki dostał w głowę i mózg, pomieszany z krwią, rozprysł się dokoła. Hełm spadł mu z głowy, a w ściśniętej konwulsyjnie dłoni, dzierzył jeszcze swój wielki, prosty miecz, błyszczący ostrą stalą. Niemało trudu miał Wojtek, nim z tej dłoni, już kostniejącej, wydobyl ten miecz, a odpasawszy od trupa pochwę, przypiął ją do swego boku i z dumą wołał:

— No, tera prac będę co się zmieści.

Władek nalegał, by się śpieszył, ale on i po hełm pobiegł i rzuciwszy na ziemię swą mocno zniszczoną magierkę, nadział rycerski przybór na głowę.

— Siadaj na koń! — wołał Władek, niespokojnie oglądając się dokoła.

Jakoż czas już był wielki uciekać, bo nieprzyjaciel, nie słysząc więcej strzałów, opamiętał się ze swego popłochu, zawracał i ze wszystkich stron gęstemi kolumnami począł wysuwać się z lasu na pola. Nasi też pospiesznie opuszczali wieś, w której tylko została jeszcze garstka ułanów i kilku oficerów, których stosowane kapelusze widać było zdaleka. Do nich to przypadli Władek i Wojtek i nagle zatrzymali się na rozkaz jakiegoś wyższego oficera z wielkimi sumiastemi wąsami i szlifami pułkownikowskimi.

- Stój! co wy za jedni?
- Jesteśmy ochotnicy — odrzekł Władek — jedziemy do naszych, żeby się zaciągnąć do szeregów!
- To wy strzelaliście?
- My.
- Jak się nazywasz?
- Władysław Jasiński.
- Skąd?
- Z Brzozówki... ale panie pułkowniku, muszę powiedzieć, że nieprzyjaciel ze wszystkich stron otacza wieś, ma piechotę, i jazdę, i armaty.
- Skąd wiesz o tem?
- Widziałem własnymi oczami z tego oto wzgórza.
- Czy prawdę mówisz?
- Miałbym kłamać, gdy moim rodakom grozi niebezpieczeństwo.
- Pułkownik Wolski (bo później dowiedział się Władek, że takie nazwisko nosił dowódca tego niewielkiego, około tysiąca bagnetów i lanc wynoszącego oddziału, wysłanego na rekonesans przez generała Skrzyneckiego) zmarszczył brwi i widocznie zaniepokoił się mocno.
- Dużo ich może być?
- Tego nie wiem, ale sędzę, że kilka tysięcy, bo ciągną wszystkimi drogami i jak powiadam, ze wszech stron wieś otaczają.
- W tejże chwili przypadł do pułkownika adiutant, zdyszany mocno i zawołał:
- Pułkowniku! nieprzyjaciel od czoła debuszuje z lasu!

— Milionset kul i kartaczy! — zaklął pułkownik i odwracając się do otaczających go oficerów, zawołał:

— Panowie, teraz trzeba pokazać, że mamy duszę polską. Hej! czy niema tu kogo, coby dobrze znał te strony?

— Ja, panie jenerale! zawołał nagle Wojtek.

— Znasz te strony?

— A znam, co nie mam znać? Mało to razy byłem tu u mojego wujka, co oto hen pod lasem, ma chałupę.

— Coś ty za jeden?

— To mój ordynans, panie pułkowniku — wtrącił Władek.

— Dobrze, zostańcie przy mnie. A teraz w drogę!

Pędem wypadli na pole za wieś, gdzie już batalion strzelców polskich rozwinął się w długą linię, a przed nim z lasu wysuwały się czarne szeregi piechoty nieprzyjacielskiej, wyjeżdżały armaty i zawracając pędem, ośmiu śpiżowemi paszczami zwracały się ku garstce polskiej. Z prawego i lewego boku, z lasu kłusem wybiegli ułani i karabinierzy nieprzyjacielscy, a z tyłu ze wsi dochodziły krzyki mieszkańców, przeciągłe, dzikie wycie kozaków i wrzaski, kłęby dymu, unoszące się nad domami, dawały znać, że nieprzyjaciel zaczyna gospodarować po swojemu.

Pułkownik obejrzał się dokoła i mruknął:

— Do kroćset, jesteście otoczeni. Hej, panie rotmistrzu Wiśniewski, a weźno mi na lance tych śmiałków, bo zanadto się zbliżają.

A obracając się do swej piechoty, w milczeniu groźnem, z bronią u nogi stojącej na nagiem polu, głosem grzmią-

cym i donośnym zakomenderował:

— Według czwartej i piątej kompanji, formuj kara — batalion, na prawo i na lewo marsz!

W cichości złamała się linja, spokojnie, sfornie, jak na paradzie na Saskim placu, poczęły krokiem miarowym zachodzić kompanja za kompanją i w parę sekund utworzył się czworobok najeżony bagnetami.

W tejże chwili z licznej gromady błyszczących jeźdźców, stojących przed frontem kolumn nieprzyjacielskich, wysunęło się dwóch konnych, z których jeden niósł na lancy białą chorągiewkę. Zaraz też ozwała się trąbka.

— Parlamentarz! — zawołał pułkownik — adjutant Skalski wyjedzie naprzeciw niego i przyprowadzi mi go tutaj.

Adjutant Skalski, młody człowiek w mundurze z akselbantami, wypadł w zgrabnych szczupakach naprzeciw parlamentarza, powitał go przyłożeniem ręki do czapki i wolnym truchtem przywiódł wraz z trębaczem przed pułkownika Wolskiego. Ten stał nieruchomy na koniu, wyprostowany, groźny, surowy i iskrzącem okiem mierzył przybywającego.

— Co waćpań chcesz? zapytał po francusku.

Parlamentarz, młody, strojny, wytworny w obejściu, ze szlifami porucznikowskimi oficerem, skłonił się po wojskowemu z wielką gracją, i odrzekł w tymże języku:

— Mój pułkowniku, jestem tu przystany od jenerała Sackena.

— Co chce odemnie pan jenerał Sacken?

— Jenerał Sacken ma honor uwiadomić cię, mój pułko-

wniku, że jesteś dokoła otoczony.

— Wiem o tem i niepotrzebnie pan generał Sacken trzodził waćpana.

— Tak, ale zapewnie nie wiesz o tem, panie pułkowniku, że generał Sacken posiada pięć batalionów grenadierów, pułk ułanów, pułk karabinierów, pułk kozaków i baterję dział, że zatem jest o wiele od ciebie silniejszy i że cię otoczył dokoła.

— Hm! do kroćset! więc cóż chce generał Sacken?

— Generał Sacken uważa, mój pułkowniku, że wobec tak znacznej przewagi liczebnej i wobec doszczętnego otoczenia, wszelki opór byłby próżnym rozlewem krwi i ze szkodą życia tylu walecznych.

Pułkownik Wolski zaklął pod nosem i głośno spytał:

— Ostatecznie, czegoż chce pański generał?

— Generał Sacken proponuje ci, mój pułkowniku, poddanie się zupełne. Ze swej strony zapewnia, że wszyscy oficerowie zatrzymają szpady, a żołnierze będą traktowani, jak na to waleczni zasługują.

— Więc chce, żebym się bez walki poddał?

— Tak!

Pułkownik Wolski umilkł, przez chwilę mierzył okiem stojącego przed nim młodziutkiego oficera nieprzyjacielskiego, potem spojrzał na jeźdźcy się bagnietami czworobok swej piechoty, cichy i groźny, na uszykowanych po skrzydłach ułanów i milczał. Przez jakiś czas wzrok jego, nagle zamglony, jakgdyby dusza jego gdzieś unosiła się po dawnych pobojowiskach, po wspomnieniach bohaterskich błą-

dził po polach, po dymach kłębiących się nad wsią gorejącą, po sinych pasach lasów, po błyszczących paszczach armatnich, wymierzonych na niego i ciągle milczał. Nad tłumami rycerstwa, gotowego rzucić się na siebie, zionąc ogniem i śmiercią, drżała ranna cisza dnia zimowego. Wszyscy, zdawało się, wstrzymali w sobie oddech i czekali z biciem serca na ostateczne rozwiązanie tej posępnej tragedji.

Młodziutki parlamentarz wyjął zegarek złocisty i rzekł:

— Jakąż odpowiedź mam zanieść memu generałowi? Otrzymałem rozkaz, by tylko pięć minut czasu dać ci mój pułkownikowi, do namysłu.

— A potem? — spytał nagle Wolski.

Oficer zwrócił się bokiem i wskazując ręką na baterję dział, przy których, widać było doskonale, stali kanonierowie z zapalonymi lontami, rzekł, zawsze tym samym uprzejmym tonem i z tym samym uśmiechem grzecznym na ustach:

— Widzisz pułkowniku te działa? Dość będzie, bym skinął, a rzygną one na was ulewą kartaczów i wszystko zmiotą przed sobą. Dobiją was bagnety naszych grenadierów i lance naszych ułanów. Zastanów się, pułkowniku, jeszcze raz pytam: czyż nie szkoda życia tylu walecznych?

Spojrzał na zegarek i dodał:

— Masz jeszcze trzy minuty czasu.

Na te słowa zaiskrzyły się oczy pułkownika, twarz, dotąd blada, pokryła się nagle ciemnym rumieńcem, wargi ust drżeć poczęły jak w febrze, a ręka mimowoli sięgnęła do szabli. Przez chwilę stał wyprostowany, dumny, straszny i widocznie w uniesieniu, w obejmującym go gniewie, nie

mógł słowa wymówić. Wreszcie opanował się i głosem dygoczącym od gniewu, hamując się, wymawiając wolno, ale donośnie każdy wyraz, zawołał po polsku:

— I to do mnie, do starego żołnierza, przysłano pana z taką propozycją? Milionset siarczystych kul i kartaczy! Idź waćpan i powiedz swemu generałowi, że dla polskich bagnatów droga wszędzie otwarta!

Zaledwie przebrzmiały te słowa, wypowiedziane wolno, donośnie, jakby wyrąbywane siekierą, gdy nagle zadrżały szeregi czworoboku, zabrzęczały bagnety i rozległo się grzmiące:

— Niech żyje Polska! niech żyje nasz pułkownik!

I okrzyk ten od czworoboku pieszego przeniósł się do szeregów ułańskich, huczał po polu, odbił się o sine lasy, tysięcznem echem powtórzony niósł się pod chmurne niebo tej Polski, Polski kochanej i jedynej, za którą ta garść bohaterów jej synów umrzeć była gotowa.

Młody parlamentarzysta nieprzyjacielski, ciągle z uśmiechem uprzejmym na ustach, spojrzał na te szeregi polskie, potrząsające groźnie bagnetami i witające radośnie grożącą im śmierć, jak gladiatorzy rzymscy, Cezara, i spytał:

— I to ostatnie twoje słowo, pułkowniku?

— Ostatnie słowo, dopowiem wam lancą i bagnetem.

Oficer skłonił się grzecznie po wojskowemu, przykładając rękę do czapki, zawrócił konia i galopem pognął do swoich.

Pukownik dobył szabli i głosem grzmiącym rozkazywał wskazując na armaty nieprzyjacielskie.

— Rotmistrz Wiśniewski zamknijcie im gębę, tym pukawkom. Piechota, według czwartej i piątej kompanji formuj kolumnę do ataku! Biegiem, marsz!

I pędząc cwałem przed frontem tworzącej się kolumny, potrząsając nagą szablą, wołał głosem donośnym:

— Zdmuchnąć proch z panewek! kolbą i bagnetem, wiara!

A wiara, przejęta zapalą, huczała jak pszczoły w ulu i po tych polach szerokich, po tych lasach sinych brzmiało głośnie:

— Niech żyje Polska!

Zaraz też muzyka batalionowa zagrała nieśmiertelnego mazurka o nieginącej Polsce, zawarczały bębny i kolumna jak lawina runęła z pochylonemi bagnetami na wroga. Poprzeciżyła ją jazda, która w całym pędzie rzuciła się na armaty, które zaledwie raz jeden zdołały dać ognia kartażami, gdyż już na karkach kanonierów siedzieli ułani. Zrobił się straszliwy zamęt i piechota polska parła naprzód, kłuła bagnetem, waliła kolbami, usiłując przelamać grenadierów nieprzyjacielskich. W tejże chwili z boku i z tyłu dopadli karabinierzy rosyjscy, z którymi pułkownik Wolski wręcz się startł, ale opadnięty przez kilku naraz, byłby zapewne uległ, gdyby nie Władek i Wojtek, którzy znajdując się ciągle przy nim, pobiegli mu na pomoc. Władek jednym cięciem ojcowskiego pałasza powalił nieprzyjacielskiego karabiniera, który z tyłu pułkownika zajeżdżał; Wojtek nie wierząc w miecz, zdobyty na oficerze tam pod wzgórzem, wołał schwycić swą pojedynek i kolbą, jak



Rozległ się potężny huk, tysięcznem echem przez las powtórzony...

młotem walił po łbach kozackich, a gdzie uderzył, tam jeździec z rozbitą czaszką padał jak kłoda na ziemię.

— Ocaliłeś mi życie! — wołał pułkownik do Władka — nie zapomnę o tem!

To mówiąc, rzucił się naprzód ku swej piechocie, która po krótkim, ale krwawem starciu, złamała grenadierów, przedarła się przez nich i weszła do lasu. Wyswobodzono się więc, choć z ciężką stratą stu kilkunastu walecznych, ale z ocalonym honorem.

Wieczorem oddział okrwawiony mocno, znużony śmiertelnie, dotarł do Grochowa, gdzie już cała armja polska się znajdowała.

V.

Nazajutrz pułkownik Wolski złożył swemu zwierzchnikowi bezpośredniemu, generałowi Skrzyneckiemu, o heroicznej walce pod Cyganką raport szczegółowy, w którym wysoko podniósł czyny ochotników: Władysława Jasińskiego i Wojciecha Lisa. W raporcie tym pisał, że nikt inny tylko oni ocalili od śmierci i niewoli nieliczny oddział polski, otoczony dokoła podstępnie przez sześćkroć mocniejszego nieprzyjaciela, i zalecał ich do nagrody.

W odpowiedzi na to, w parę dni później w rozkazie dziennym naczelnego wodza, księcia Michała Radziwiłła, opowiedziane było starcie pod Cyganką i zaznaczone zasługi obu młodzieńców, których w nagrodę za to mianowano:

Władysława Jasińskiego podporucznikiem i adjutantem pułkownika Wolskiego, Wojciecha zaś Lisa, podoficerem. Zaraz też pułkownik wezwał ich do siebie i udzielił im tej nowiny, która Władka wprowadziła w trudną do opisanie radość, a Wojtek rozbeczał się głośno i ściskając pięście, gadał:

— No, dopiero to teraz będę prał moskali, Jezu, Jezu-sieńku!

Pułkownik Wolski mówił:

— Cieszę się, że wódz naczelny tak was wynagrodził. Do kroćset! mam nadzieję, że dalej tak samo sprawować się będziecie. Podoficerze Lisie, udasz się do adjutanta Skalskiego, a on ci wyda palet, z którym pójdiesz do Warszawy, do intendatury, tam ci dadzą mundur i uzbrojenie. Podporuczniku Jasiński, czy chcesz by cię ubrano i uzbrojono kosztem skarbu, czy też sam się wyekwipujesz?

— Sam.

— Maszże pieniądze?

— Mam, panie pułkowniku.

— Skoro tak, to daję wam urlop na dwa dni. Zdaje się, że przez ten czas nic tu ważniejszego nie zajdzie. Jedźcie do Warszawy, a za dwa dni stawcie się przedemną umundurowani i ubrojeni jak należy. Do zobaczenia zatem!

Pojechali więc obaj do Warszawy i stanęli w zajeździe pod Białym Orłem na Tłumackiem. Władek zaraz zajął się sprawieniem sobie munduru adjutanckiego, czapra-ku, kulbaki, ostróg i t. p. rzeczy. Wojtek zaś chodził za nim z miną dumną, nic nie robił, tylko się gapił i z góry poglą-

dał na cywilusów, lub nucił sobie pod nosem piosenkę, której się nauczył od żołnierzy:

„Idzie Dybicz, idzie,
Dwukroć z sobą wiedzie,
Nie bój się Dybiczu,
Nie twoje to będzie”.

— Dlaczego nie idziesz do intendatury? — pyta Władek.

— Nie wiem. Panicz znają Pietrzka Rosolika?

— Nie znam żadnego Pietrzka Rosolika. Cóż on za jeden?

— A ón przecie z Brzozówki.

— Wiem, że w Brzozówce są gospodarze Rosoliki. Więc cóż?

— Ano i to prawda... skądżeby panicz miał znać Pietrzka, kiej on jeszcze, ot takim małym pędrakiem, poszedł do Warszawy do terminu. Ale ja go znam, bom zawdy, kiej mię dziedziczka wysyłali na Pragę z wieprzkami i cielętami, zachodził do niego. On mieszka na Szulcu. Majster to go prał pocieglem aż strach, a majstrowa kazali mu niańczyć szewieckie bachory, ale teraz to on sam je majstrem jak się patrzy i przezwiał się Pietrzem Rosolskim, jak ciarach jaki. Ho! ho! majster z niego jak się patrzy, jeno je kuternoga i tyż garb ma wielgaśny, ale człek porządny i szewiec warszawski.

— Co mnie to wszystko obchodzi? ruszaj do intendatury i umunduruj się jak należy, bo w tym kubraku głupio wyglądasz.

— Ho! ho! głupio, nie głupio, a zawdy jestem podoficerem i prałem też pod Cyganką dziegciarzy, aż wióry leciały. A o Pietrzkę Rosoliku to wedle tego gadam, że on jest majster szewiecki porządny i nasz z Brzozówki, to on mi da buty galante, nie takie jak w tej tam tantandurze. Widziałem ja żołnierzy w butach, co im dała ta tantandura, to, panie, jeno dziurami świeciły i skóra ladajaka. A Pietrzek Rosolik jak robi buty, to rok i sześć niedziel wytrzymają, żebym tak skisł, jak łgam.

— Więc cóż chcesz?

— Ano, niech panicz dadzą mi pozwolenie skoczyć do Pietrka na Szulec.

— Dobrze, idź, ale wracaj zaraz. A trafisz na Tłumackie?

— Co nie mam trafić, albom to pierwszy raz w Warszawie, czy co? Znam ja Warszawę lepiej od Brzozówki. No, kłaniam się pięknie paniczowi i lecę na Szulec. Ho! ho! Pietrzek mi da buty, jakich nikt w całym pułku nie ma.

Ale jak Wojtek poszedł, tak zginął. Nie było go cały dzień i całą noc następną, tak, że Władek poczał się niepokoić co się z nim stało, raz dlatego, że przywiązywał się już do chłopaka, który mimo swej pozornej głupoty okazywał wiele sprytu i przebiegłości, a choć był zrazu tchórzem podszyty, powoli jednak, gdy krew w nim zagrała, stawał się aż do zuchwalstwa walecznym i bitnym; potem dlatego, że mógł mieć w pułku ambaras, gdyby z podoficerem Lisem nie wrócił w oznaczonym terminie. Zakłopotany nie wiedział co robić i już miał udać się do policji, gdy na-

gle zjawił się Wojtek zgrzany, zmęczony, zabłocony szkaradnie.

— Co się z tobą, gamoniu jakiś, dzieje? — krzyknął Władek gniewnie, uradowany jednak w duszy, że się zguba znalazła — gdzie latasz?

— Ale... gdzie latasz? żeby panicz wiedzieli, a tyż pan pułkownik, tobym zara został też oficerem, jak panicz.

— Co ty pleciesz?

— Ale.. co ty pleciesz? niech no panicz nie wydziwiają, jeno posłuchają.

— Co ty pleciesz?

— Co takiego?

— Zara! niech se krzynkę odpocznę, bom się zziajał nikiej pies, a wszyćko przez te bezskurcyje szpiegi. Ale ja im zaleję sadła za skórę, o! zaleję!

— Nic nie rozumiem. O jakich szpiegach gadasz?

— Zara! zara! wszyćko dokumentnie opowiem, jeno krzynkę wytchnę. Wiedzą panicz gdzieś był?

— Wiem... u tego jakiegoś szewca na Szulcu.

— Pietrzka Rosolika, ale on tera po ślachecku nazywa się Pietrzem Rosolskim, jest majstrem szewieckim i ma przed chałupą nad drzwiami wielgą tablicę, na której złotymi literami wypisał sobie: Pietrz Rosolski, majster szewiecki, i but tyż jest złocisty i galanto wymalowany. Ho! ho! panicz by tera nie poznał Rosolika! On, panie, teraz Polak je zawzięty, peda, że je patrjotą i peda co trza rznąć wszycką ślachtę i panów i wieszać na latarniach a ojczyzna będzie. Prawda to, panie?

— Ten twój Rosolik...

— Pietrz Rosolski, nie Rosolik, on się tera po ślachecku przezwiał.

— Mniejsza z tem, ale jest to jakiś głupiec. Czemu, skoro jest takim patryotą nie zaciągnął się do wojska, tylko siedzi w chałupie i głupstwa gada?

— Do wojska? on? Pietrz Rosolik? hi! hi! hi! co też panicz rzekli! on! do wojska! on je kuternoga i tyż pokraka. On ma garb na grzbiecie. Taki pokraka do wojska! Hi! hi! hi! Jego dziedziczka latego do szewieca do Warszawy oddała, co z niego nawet parobek by nie był, chyba świnie i gęsi by paś na wygonie. Do wojska! Pietrz Rosolik do wojska! hi! hi! hi! On je żonaty i dzieciaków ma jak mrowia, a pierzyn! Jezu, Jezusieńku! Wywczasowałem się u niego na pierzynie, jak dziedzic albo hrabia.

— I dlatego, hultaju jakiś, nie wróciłeś na czas? Jeżeli myślisz, że w wojsku pozwolą ci na to, to się grubo mylisz. Dlaczego nie wróciłeś wczoraj, jak ci kazałem?

— Ano.. to wszystko bez te bezskurcje szpiegi.

— Co ty mi gadasz ciągle o jakichś szpiegach, co to znaczy?

Wojtek nagle zerwał się na równe nogi, oczy szeroko wytrzeszczył i z miną tajemniczą, szeptem spytał:

— Wiedzą panicz co?

— Co takiego?

— A to, że ten generał rosyjski, Dybicz, o którym w wojsku śpiewają taką galantą śpiewkę, to on mieszka w Miłosnie.

— Toś mi nowinę przyniósł. Wszyscy, nawet wróble na dachu o tem wiedzą. Jeżeliś dlatego u twego szewca wysypiał się na pierzynach, toś wart aby ci ze dwadzieścia odlewanych batów wsypać.

— Oho! zaraz baty! Tera, peda Piotr Rosolik, ślachta będzie brała baty, a nie chłopcy.

— Stul gębę, gamoniu jakiś! Powiem ja o tem wszystkiemu pułkownikowi, a on cię nauczy rozumu, jak masz słuchać i wypełniać rozkazy. On się z szewcami będzie w rozmowy wdawał! Czekażcie, nauczą cię tam w pułku moresu. Zabieraj się, wracamy do obozu!

Ale Wojtek nie ruszył się wcale, tylko drapiąc się po głowie, spytał:

— A jakże będzie z temi tam szpiegami na Szulcu!

— Z jakimi szpiegami?

— Ano z tymi na Szulcu.

Władek spojrzał na niego i po chwili rzekł:

— Słuchajno, gadaj wyraźnie, o co idzie? O jakich szpiegach mówisz?

— Ej, jabym już dawno wszystko po porządku, jak się patrzy powiedział, ale panicz na mnie wsiedli, nikię na łysą kobyłę. O laboga! laboga! wielgie mi przestępstwo, że się wyspał na pierzynie u szewca Pietrzka Rosolika! Panicz by niby nie spał, żeby mu Rosolikowa nasłała pierzyn i poduszek miękkuchnych, jak mnie. Każdy człek lubi wygodę, a tu panicz na mnie: a gdzieś był hultaju! a baty dostaniesz! a pułkownikowi powiem! Jezu, Jezusieńku mój! człek cały dzień i całe rano haruje, tapla się po błocie, po wodzie,

po Wiśle chodzi, na Saską Kępę, na łódzynie jedzie, a wszystko dla ojczyzny. I taką ma za to nagrodę, że go hultajem przezywają, baty obiecują. O jo, joj! taka to sprawiedliwość na świecie, taka nagroda!

Władek zagniewany, a jednocześnie zaciekawiony, boć w tej paplaninie Wojtka musiała tkwić jakaś prawda, jakiś fakt autentyczny, znowu krzyknął groźnie na niego, by mówił o szpiegu, a nie narzekał na niesprawiedliwość ludzką. Z długiej, odchodzącej nieraz od rzeczy, gadaniny Wojtka dowiedział się nakoniec, że Piotr Rosolik, Rosolskim teraz przewany, majster szewcki, zamieszkały na Solcu, nad samą Wisłą, zauważył, że od niejakiego czasu, dwu jakichś podejrzanych ludzi, przed samym świtem, dzień w dzień puszczało się z Solca łódką na Saską Kępę, wioząc ze sobą zawsze dość gruby pakunek; że na Saskiej Kępie czekało już z wózkiem, zaprzężonym w jednego konia, także jakieś podejrzane indywiduum, zabierało owych dwu i puszczało się razem w drogę. Piotr Rosolik, któremu wszystkie te manewra, stale co dzień o jednej godzinie powtarzające się, pachniały zdalą zdradą, zadał sobie tyle trudu, że w nocy przeprawił się na Saską Kępę samowtór, ze swoim najstarszym chłopcem, liczącym około piętnastu lat, ukrył się tam w krzakach i czekał, aż ów wózek nadjedzie i owi dwaj z Solca przypłyną. Jakoż o świcie doczekał się ich i wysłuchiwał całej ich rozmowy.

— O czymże gadali! — spytał Władek mocno zainteresowany tem opowiadaniem.

— Tego to ja to jakoś dokumentnie powtórzyć nie po-

trafię. Pietrz Rosolik to wie, choć i on gađa, że z początku to oni mówili po rusku, a on nie rozumie mowy ruskiej. Słyszał jeno jak powtarzali: Miłosna i Dybicz. Ani chybi szpiegi, boć przecie porządni ludzie nie gadaliby po moskiewsku, kiej tu jest Polska i wojna o ojczyznę. Prawda, paniczu?

— Prawda. Ale cóż dalej?

— Ano, kiej one szpiegi siedli na wózek, to Pietrz Rosolik, choć je kuternoga i tyż wielgi pokraka, puścił się za nimi piechotą skradając się krzami, żeby go nie obaczyli, bo wtedy daliby mu łupnia, a może i na śmierć uśmiercili, bo u takich byclów, co szpiegują, to zabić człowieka tyle znaczy, co u mnie na ten przykład zagnieść pluskwę, albo innego jakiego robaka. Prawda, paniczu?

— Prawda, ale mów dalej.

— Tedy, co robiący, Pietrz gnał za tymi szpiegami z synalkiem, ale, że to je kuternoga i tyż pokraka, nadążyć nie mógł; rzeknie więc do swego chłopaka: Synku, Staśku, bo Stasiek jego najstarszemu chłopakowi na imię, synku, peda, biegnij ty za temi obwiesiami, a pilnuj się, żeby cię nie obaczyli, boby cię zakatowali na śmierć. Dowiedz się dokąd oni jadą, a potem wróć do domu i opowiedz mi wszycko. Prawda, paniczu, że mądrze to wykalkulował Pietrz Rosolik, szewiec z Szulca?

— Mądrze, ani słowa. I cóż dalej?

— Ano, ucałował swego Staśka, a pedam paniczowi, śwarny to chłopak, i rzeknie mu: to wszycko dla Polski, dla ojczyzny, i kiej ty, synalku mój, nie możesz ojczyźnie

służyć inaczej, boś jeszcze młokos i mleko masz pod nosem, to służ chociaż tak, że szpiegów wyśledzisz. Niech cię Najświętsza Panienka Częstochowska, Królowa Polska strzeże. Pedam paniczowi, jak to gadał Piotr Rosolik, tośmy się, ja i pani majstrowa Rosolikowa, białogłowa taka wielga, co jakby trzepnęła w gębę na ten przykład naszego sierżanta, który też jest chłop jak się patrzy, toby nogami się nakrył. Otóż tedy, co robiący, jak nam o swym synalku Piotr Rosolik opowiadał i jak go krzyżem świętym zegnał, ja i pani majstrowa Kunegunda Rosolikowa, co stała podle komina z warząchwą w ręku, tośwa się rozbeczeli nikiej z przeproszeniem baby, tak nam się miekkuchno na sercu zrobiło. Boć człek też nie jest z kamienia.

— Dobrze, dobrze, ale cóż dalej? Cóż ten syn Rosolika, Staszek, zobaczył i czego się dowiedział?

— A jakże! ho! ho! to śwarny chłopak, a chytry! fiuu! Poleciał on za wózkiem tych szpiegów, a jechali bokami, przedzierając się przez krzaki, omijając wsie, na Zasław, Żerań i już nie baczę, jakie tam wsie, aż się wydostali na gościniec, co idzie do Miłosny. Chłopak się zziajał, ale już dalej ich gonić nie mógł, bo piechotą przecie nie zrówna kóniowi, a kónia mieli chybkiego i już na gościńcu gnali, co jeno sił w skapie było.

— Więc ten Staszek nic więcej się nie dowiedział?

— Ale, nie dowiedział się! Nie taki ón głupi. Ma ón w Miłosnie ciotę, co to niby je siostrą pani majstrowej Kunegundy, a żony szewieca Piotra Rosolika. Ta siostra Rosolikowej poszła w Miłosnie za kolonistę i piękną koloniję

tam mają i gospodarze są, jak się patrzy. Staszek, ten synalek szewieca Pietrza Rosolika, nieraz u cioty bywał i wykalkulował sobie, że pójdzie do niej do Miłosny i czegoś się zawdy dowie o tych szpiegach. Prawda, paniczu, że to mądry chłopak?

— Prawda, ale cóż dalej?

— Ano to dalej, że Staszek nie szedł gościńcem, bo wszędzie pełno było i hułanów, i piechoty i harmat, straszna siła, a kuźdego, kto jeno szedł, zara pytali: skąd, dokąd, co ty za jeden? Smyrgnął tedy w krzaki i ju borem a lasem przemykał się niekiej wilk, albo jenszy zwierz. Taki to mądry chłopak, prawda, paniczu?

— A niechże cię kule biją z twojem: prawda paniczu? Ty się nie pytaj, tylko opowiadaj!

— O laboga, jaki tyż to panicz zły! Niby ja co jenszego czynię, jak nie gadam. Gadam i gadam, aż mi w gardle zeszło, a panicz jeszcze na mnie krzyczą. Ale niechta! ju ja to cierpienie moje daję na ofiarę Panu Jezusowi i miłej Ojczyźnie.

— Dobrze, ale cóż ten Staszek? dostał się szczęśliwie do ciotki?

— A jeno! Kolonija jego cioty tuż je pod lasem, dość smyrgnąć bez płot i ju w sadzie. Ciota obaczywszy go, okrutecznie się zdziwiła. Bój się Boga, rzeknie, co tu robisz, chłopaku? skądś się tu wziął i jakieś się przedostał przez takie strasne wojsko? A on na to: jakem się przedostał, tom się przedostał, a ciota bądź cicho, sza! Ja tu za szpiegami, którzy codzien z Warsiawy przez Wisłę się przeprawiają na

Saską Kępę i do Miłosny jadą. Ciota aż się za głowę złapała i peda: wiem ja o tem dobrze, bo generał moskiewski mieszka we dworze pana Jabłońskiego, a gospodyni pana Jabłońskiego je moją kumą i mówiła mi nieraz, jako codzień z Warszawy przyjeżdża do generała moskiewskiego trzech szpiegów, przywożą mu świeżutkie bułki warszawskie, też gazety i jensze pisma. O tem tu wszyscy w Miłosnie wiedzą, ale cóż na to poradzić? Wojska je straszna moc i ciągle nowi przychodzą. Tedy Stasiek szewieca Rosolika ze Szulca syn, rzeknie: dobrze moja cioto. Tera ciota niech mnie gdzie schowa, ja się wyśpię, bośmy też z tatą całą nockę nie spali, wartując w krzakach na Saskiej Kępie na owych szpiegów, a jak się ściemni, to ja znów skiknę do Warszawy i wszystko tacie opowiem. Więc go ciota schowała w stodole na sąsięku, gdzie się na grochowinach wyspał, potem go nakarmiła gorącym barszczem z kielbasą i wyprawiła do Warszawy. Właśnie jakem ja przyszedł do szewieca Rosolika, to i ten Stasiek, staplany, jak nieboskie stworzenie, zabłocony przez czapki i ze łbem rozczochranym, przyplął z Saskiej Kępy i wszystko nam dokumentnie opowiedział.

Władek wysłuchawszy tego opowiadania, zamyślił się głęboko. Rzecz była niewątpliwie bardzo ważna. Oburza-
jące było to, że znaleźli się ludzie w Warszawie, którzy codzień wodzowi nieprzyjacielskiemu zawozili świeże bułki, co mniejsza, ale także gazety i najrozmaitsze nowiny, tak, że był o wszystkim poinformowany. Należało temu koniec położyć. To Władek doskonale rozumiał, ale nie wiedział, jak się do tego wziąć i właśnie rozmyślał jak i co robić, gdy

Wojtek, westchnąwszy sobie głęboko, ozwie się:

— Tedy, ja i szewiec Piotr Rosolik rada w radę co robić, żeby tych szpiegów schwycić i obwieścić. Pani Kunegunda Rosolikowa swego synalka ucałowała, dała mu kwar-
tę kawy i chleba z masłem, i zara go do łóżka pod pierzynę
wsadziła i gadała: śpij synku, śpij, boś dla ojczyzny po-
borach i lasach z okrutnem przezpieczeństwem, po nocy,
kiej i zwierz dziki wczasuje, chodził. Ona tak gada, synalek
Staszek chrapie, aż się rozlega, a my z szewcem Piotrem
Rosolikiem radzimy. Pani majstrowa, Kunegunda Rosolikowa
nawarzyła nam donicę krupniku gorącego z miodem i
słoniną, to my sobie w sklenice czerpiemy warząchwia,
popijamy i radzimy, jako owych szpiegów wytropić. Więc
ja powiadam: panie majster, my tu we dwóch nijak nie
poradzimy, jeszcze pan majster je kuternoga i pokraka, a
ja sam, chocia krzepę, dzięki Bogu, mam, trzem hyclom
szpiegom nie uradzę. Tu nie ma co po próżnicy bańdurzyć,
jeno iść do Warsiawy na ratusz i naczelnikowi wszystko
opowiedzieć. A na to szewiec Piotr Rosolik zaperzył się
okrutnie, ile że krupnik chlapał jak wodę i nos mu się
zaczerwienił, krzyknie: głupis jak zelówka u dziurawego
buta! Do naczelników! wszyscy naczelnicy zdrajcy i prze-
kupieni są przez Dybicza. Całe kupy rubli już wzieni, a ile
jeszcze wezmą, to jeden Pan Bóg wie. Oni by już dawno
sprzedali Warsiawę i ojczyznę, żeby nie my, szewcy warsiaw-
scy. My ojczyzny nie damy. Świat się zawali, wszystkich
naczelników, generałów, pułkowników, książąt i ślachciców
powywieszamy na latarniach, a ojczyzny nie damy. Od

czegoż ja tu jestem, majster Piotr Rosolik! ja jak pies się położę, zębami gryźć będę, a ojczyzny zaprzedać szelmom nie pozwolę. Prawda paniczu, że ten szewiec ze Szulca pięknie gadał?

- Rzeczywiście, dzielny szewc, choć głupi.
- Jakto głupi? czy to głupi może pięknie gadać?
- Mniejsza z tem, ty opowiadaj dalej.

— Co robiący, szewiec Piotr Rosolik peda: my do nijakich naczelników na ratusz nie pójdziewa, jeno sami ten jenteres załatwimy. Dziś ty, Wojtku, ostaniesz u mnie, wywczasujesz się, a Kundzia nagotuje nam barszczu na kielbasie, jutro zaś świtanie na łódce zaczaimy się na szpiegów i zatopimy hyclów, jak szczeniaki. Tedy ja rzekę: sami, panie majster, nie poradzimy, trza kogoś więcej. A zkąd wziąć więcej? zapytał szewiec. Rzekę na to: mało to tu rybaków i przewoźników na Wiśle? nie znasz to ich, panie majstrze? trza ich poprosić pięknie, a oni z łódkami przyjadą i onych szpiegów chycą. Głupis Wojtku, peda na to szewiec Piotr Rosolik, nijakich rybaków i przewoźników niema. bo oni wszyscy są przy moście. Zaonegda to ich zawołał na ratusz pan prezydent i pedział: chłopcy, żeby mi mostu kra nie zawarła, boby wojsko na Pradze przepadło. Ojczyzna wam za to wdzięczna będzie. A oni na to: jaśnie prezydencie, mostu kra nie zerwie, dopóki my żyjemy. Potopimy się wszyscy w Wiśle, trupem padniemy, a most, choćby zębami go trza będzie trzymać, utrzymamy. To widzisz, Wojtku Lisie, óni, te rybaki i przewoźniki tera wszyscy są przy moście z wiosłami,

drągami, linami i most trzymają, a krę odpędzają i żaden nam na pomoc nie przyjdzie. My sami to musimy zrobić dla ojczyzny. Ano, rzekę, niech tak będzie. Prawda, paniczu, że inaczej nie można było uczynić?

— Prawda, cóżeście tedy zrobili?

— Ano, dziś świtaniem wsiedliśmy na łódkę, niby ja, Wojtek Lis, szewiec Pietrz Rosolik i jego chłopak Stasiak i zaczailiśmy się podłe Saskiej Kępy. Siedliśmy cichutko, a zębami dzwoniły, bo zimno było i zmarzliśmy jako psy, a nocka ciemna, nic nie widać, jeno fala na Wiśle się lśnła, a kra idzie gęsto. Czekamy, czekamy, a tu nic. Dzień się zrobił, a szpiegów nie widać. Spenetrowali widno co się święci i nie przyszli. Szewiec Pietrz Rosolik, strasznie się gniewał na to i tak się ciskał, że się łódka wywróciła i my wpadliśmy do wody, jeno że to było przy brzegu i w krzakach, więc płytko i nie potopiliśmy się, ale za to przemokli i zmarzli.

Skończył, odetchnął głęboko i rzekł:

— Teraz panicz rozumie, la czemu nie wrócił wczoraj?

— Rozumiem i dobrześ zrobił.

— A widzi panicz, a batami mi panicz groził! Godzi się to?

Ale Władek nic nie odpowiedział, tylko pogrążył się w myślach. Być może, iż szpiedzy spostrzegli, że są śledzeni i dlatego dziś rano wyprawy nie robili: nie znaczy to wcale jednak, by swego niecnego rzemiosła zaniechali. Bijąc się z myślami, Władek postanowił wrócić natychmiast do obozu i o wszystkim donieść pułkownikowi Wolskiemu, jako swemu zwierzchnikowi bezpośredniemu.

VI.

W chwili kiedy Władek, ustrojony w swój piękny mundur adjutancki, wjeżdżał razem z Wojtkiem na most, prowadzący z Bednarskiej ulicy na Pragę (mogła być wtedy godzina 9-ta rano), nagle usłyszał oddalony huk dział gdzieś tam z pod lasów, otaczających dokoła Pragę. Zrazu strzały były rzadkie i dalekie, ale z każdą chwilą zbliżały się, stawały się donioślejszemi i wzrastały w siłę. Niebawem słyhać było tylko jeden ciągły huk, a wzbijające się kłęby czarnego dymu świadczyły, że nagle walka się rozpoczęła.

— Do licha! — mruknął Władek — biją się, a nas tam niema!

I popędził konia.

Gnali więc obaj przez most, powoli napętniający się tłumami dorożek i ludzi, którzy biegli na Pragę, zwabieni hukiem strzałów. Mostu tego, zbudowanego na łyżwach, strzegły całe roje łodzi, na których mnóstwo rybaków i przewoźników warszawskich, uzbrojonych w długie bosaki żelazne, walczyło uparcie i dzielnie z gęsto napływającą krą. Zimno było wilgotne i przenikliwe i Wojtek, może, ze strachu, a może z zimna, ile że po przemoknięciu porannem, nie miał czasu się wysuszyć, dygotał cały i głośno zębami szcekał.

Na Pradze ruch był wielki. Mnóstwo kobiet z dziećmi, z tobołkami, na wózkach i pieszo uciekało do Warszawy, a huk coraz bardziej się wzmacniał i wiatr wschodni pędził

aż tutaj kłęby dymu prochowego. Na szosie koło pomnika żelaznego, (postawionego na pamiątkę ukończenia szosy z Warszawy do Brześcia) spotkali pierwsze wozy z rannymi, których jęki, krew ciekąca z ran, duszę rozdzierały.

— O laboga! laboga! — szeptał Wojtek.

Ale Władek nie słuchał tego i nie zważał na utyskiwanie Wojtka. Z okiem wpatrzonem w chmury całe dymu, z uchem zaśluchanem w huk dział, kłuł konia ostrogami i pędził co sił, o ile tylko wolne było miejsce na gościńcu. Jego pułk stał koło Ząbek i tam skręcił na przelaj przez pola, sadząc przez liczne rowy, niespokojny, czy zastanie swoich jeszcze w obozie i co powie pułkownik Wolski, że w chwili rozpoczynającego się boju, adjutanta swego nie widzi przy sobie. Nie wątpił, że mu stary służbista zmyje ostro głowę, choć z drugiej strony, urlop, udzielony jeszcze nie wyszedł, i kończył się dopiero nazajutrz rano. Ale czuł to dobrze, że w takiej chwili, jak ta, winien być na stanowisku. Pędził więc konia, mijał rozstawione w długie szeregi pułki jazdy, minął Olszynkę Grochowską gdzie żółte rabaty dywizji generała Skrzyneckiego zdala świeciły, i dopadł na koniec zmęczony, z koniem okrytym pianą, do swego pułku.

Pułk ten stał w linii bojowej z bronią u nogi, zapatrzony w toczącą się gdzieś po jego prawej stronie walkę, zaśluchany w straszliwy huk dział i ognia karabinowego. Przed frontem na myszaty podjezdźnik, stał pułkownik Wolski sam jeden, z brwią zmarszczoną, z groźnem wejrzeniem w siwych oczach, widocznie zaniepokojony mocno. Zoba-

czywszy pułkownika, Władek przypadł pędem, osadził konia na miejscu, aż zadnie kopyta zaryły się głęboko w ziemię i salutując po wojskowemu, zawołał.

— Oto jestem, panie pułkowniku.

Pułkownik widocznie w gniewnem uniesieniu, huknął:

— A bodaj waćpan siarczyste kule były! Miljon set! pięknie waćpan swą służbę zaczynasz! Kogo tylko mogłem, rozesłałem po rozkazy, a mego adjutanta, do którego to należy, niema, bo on sobie w Warszawie siedzi. Po bitwie pójdziesz waćpan na dwadzieścia cztery godzin na odwach.

— Przepraszam pana pułkownika, ale...

— Milczeć do miljonset siarczystych kul i kartaczy!

— Pan pułkownik dał mi urlop na dwa dni.

— Więc cóż z tego? nie słyszysz waćpan, że jest bitwa, a gdy się biją każdy dobry żołnierz powinien być na stanowisku. Rozumiesz waćpan?

— Ja też, pomimo, że mi się urlop dopiero jutro kończy, jakem tylko usłyszał huk armatni...

— Nie rezonować, tylko słuchać! Ruszaj mi waćpan zaraz na złamanie karku do generała Skrzyneckiego i spytaj się co ja mam robić? Żebyś mi nie wracał bez wyraźnej odpowiedzi. Marsz!

Władek nic nie odrzekł, bo i nie było co mówić, skłonił się tylko po wojskowemu, zawrócił konia i pognął ku Olszynie, gdzie poprzednio zauważył dywizję generała Skrzyneckiego. Zły był trochę, że został niesłusznie przed frontem całego pułku złajany, niezadowolony z siebie i z pułkownika, ale w duszy postanowił dowieść staremu

krzykał, dla którego zresztą żywił głęboką cześć za jego bohaterskie znalezienie się pod Cyganką, że wart jest szlifów oficerskich. Zagłębiany w swych myślach, zajęty tylko tem, żeby jak najprędzej dostać się do generała Skrzyneckiego, bódł konia ostrogami i nie uważał na to, że Wojtek za nim leci. Nakoniec w chwilowem uciszeniu się huku armatniego, gdy nagle rozległ się tylko grzmiący okrzyk: „niech żyje Polska!” dowodzący, że nasi ruszyli do ataku na bagnety, usłyszał głośny oddech Wojtka i tętent jego konia, więc obrócił się i zawołał zdziwiony:

— A ty co tu robisz? czemu nie zostałeś przy pułku?

— Ale... czemu nie zostałeś przy pułku? — odrzekł Wojtek zziębnięty — a jak paniczka zabiją, to kto rozkaz zawiezie? kto paniczowi pomoc da, jak nie Wojtek? kto powie pułkownikowi o szpiegach co bułki warszawskie i gazety wożą na Saską Kępę, Dybiczowi?

Władek, zapomniał zupełnie o owych szpiegach, ale teraz nie czas było myśleć o nich, gdy bój zawrzał ze straszną siłą, gdy pędził z poleceniem do generała Skrzyneckiego. Machnął więc ręką i rzekł na pół do siebie a na pół do Wojtka:

— O tem potem, a teraz myślmy, żeby się jak najprędzej dostać do generała.

I leciał dalej, sadząc przez rowy, których tu mnóstwo było, aż dopadł nakoniec do Olszynki, której nagie gałęzie otulały się gęstymi chmurami dymu prochowego i miotane wiatrem, melancholijnie tłukły się o siebie. Tutaj stała prawie cała dywizja piechoty, zakryta dość gęstym lasem,

którego bronił od frontu szeroki i głęboki rów, napełniony wodą, teraz pokryty cienką warstwą lodu. Naprzeciw, w odległości tysiąca może kroków, wznosiły się piaszczyste wzgórza, zarosłe lasem i widać było, jak las ten roił się od nieprzyjaciela. Piechota polska z bronią u nogi, stała w głuchem milczeniu, a po jej prawej koło karczmy, zwanej Wawer, toczył się bój zacięty.

Władek, przeskoczywszy jednym susem konia rów, natknął się na jakiegoś oficera, który siedząc okrakiem na ściętej olszynie, najspokojniej krzesał sobie ogień do krótkiej fajeczki, którą trzymał w ustach.

— Gdzie jenerał? — zapytał Władek zdyszczanym głosem.

Oficer, stary, zasuszony wyga, z wąsami jak wiechcie, w furazerce na głowie, podniósł małe, głęboko osadzone, złe oczy do góry, obejrzał Władka od stóp do głów i rzekł:

— A to ki djabeł? Gdzieżeś się acan tak ubabrał?

Władek spojrzał na siebie i skamieniał. Jego piękny, świeżuteńki, z pod igły wyszły mundur adjutancki, który pierwszy raz włożył na siebie, cały był obryzgany błotem w szalonej jeździe przez pola i bagna, zajęty jedynie myślą jak najprędzszego dostania się do pułku, nie uważał na to, że z pod kopyt końskich błoto i brudna woda bryzgała i jego piękny mundur gęstemi plamami pokryła. Błoto miał na mundurze, na butach, na czapraku, a nawet na twarzy.

Tymczasem wyga oficer patrzył z szyderstwem na Władka i rzekł:

— Nie lepiej to było u mamy siedzieć pod pierzyną, jak po błocie latać? Wystroił się panicz, jak na bal, a tu

masz djabie kaftan! Piękny mundurek lichu wzięło, ha!
ha! ha!

I śmiał się głośno, a stare wiarusy, za nim stojące w szeregu, wtórzyć mu poczęli. Władek zirytowany niedawnym łajaniem pułkownika, rozżalony, że taki piękny mundur w istocie lichu wzięło, rozgniewany szyderstwem oficera i śmiechem żołnierzy, zawołał ostro:

— Ja się pana pytam gdzie jest jenerał?

— Ha! ha! ha! otrzyjże se waćpan gębę z błota, boby mama spazmów dostała, gdyby zobaczyła, że jej gagatek tak się ubabrał. Ha! ha! ha!

— Ha! ha! ha! — rozległo się echem w szeregach stałych wiarusów ósmego pułku i poczęły się sypać różne dowcipy i przymówki pod adresem Władka.

Stał on jak na rozpalonych węglach i gniew szalony począł go ogarniać. Była chwila, że chciał zeskoczyć z konia, dopaść do szydzącego zeń oficera i ukarać go jak należy. Ale przypomniał sobie z czym tu przyjechał i że nie wolno mu osobistych spraw załatwiać i czasu tracić. Pohamował się więc i rzekł drżącym od wzruszenia głosem:

— Odpowiesz mi pan za to później. Jam jest Jasiński, adjutant pierwszego pułku strzelców i znajdę waćpana, bądź pewien.

— Ho! ho panie adjutanciku... żeś fartuszkowym sposobem dorwał się szlifów adjutanckich, to myślisz, że możesz starym żołnierzom finfy pod nos puszczać? Idź no sobie do djabła, bo poskarżę się mamie. Znamy takich zuchów. Ruszaj tam, gdzie kule gwiżdżą i pokaż, czyś wart

tego, że cię nad starymi żołnierzami wywyższono.

W mowie wygi oficera grała nuta gniewu, jakby urazy osobistej. Słowa jego o fartuszkowym sposobie dorwania się szlifów adjutanckich, mieściły w sobie niestety! wiele prawdy. Mnóstwo młodych ludzi z domów zamożniejszych, przez stosunki, wpływy, mianowanych zostało oficerami, nieraz zwierzchnikami starych, zasłużonych żołnierzy, co tych ostatnich gniewało i dawało powód do licznych skarg i utyskiwań, wywołując niechęć i rozdziwienie w armji. Mścili się też oni gdzie mogli i jak mogli na tych świeżo upieczonych oficerkach, szydząc z nich i dokuczając im przy każdej sposobności. Taki właśnie przypadek spotkał Władka, ale tym razem zupełnie niesłusznie. On nie przez protekcję, nie przez wpływy i zabiegi mam lub ciotek dostał od razu szlify oficerskie, ale za to, że się bohatersko znalazł pod Cyganką, że cały oddział pułkownika Wolskiego ocalił od śmierci, lub co gorsza, niewoli haniebnej. To też nadzwyczajnie boleśnie dotknęły go szydercze słowa starego wygi oficera i śmiechy żołnierzy i tylko siłą woli powstrzymał w sobie wybuch gniewu.

— Odpowiesz mi pan za to! — szeptał — odpowiesz mi za to. Znajdę cię choćby pod ziemią.

Głośnie zaś rzekł:

— Jestem wysłany z ważnem poleceniem pułkownika Wolskiego do pana generała Skrzyneckiego. Czy mi nikt nie powie, gdzie się generał znajduje?

W tejże chwili zbliżył się nowy, starszy wiekiem oficer, w którym po buljonach u szlif, Władek poznał majora.

Przyszedł on zwabiony zapewne głośnemi śmiechami żołnierzy i groźnie zapytał:

— Co to takiego?

Władek zwrócił się do niego, opowiedział po co tu przyjechał i dodał:

— Zamiast mię objasnić, gdyż czas jest drogi, ci panowie ośmielają się szydzić ze mnie za to, że obryzgany błotem. Ale tu nie jest Saski plac, ani parada, ale plac boju.

— Dobrze mówisz młodzieńcze — rzekł na to major. — Jenerał Skrzynecki znajduje się na prawem naszym skrzydle, przed czwartym pułkiem. Jedź waćpan prosto, a spotkasz go.

Władek spojrział jeszcze raz na starego wygę oficera, który wciąż siedział na kłodzie zwalonej olchy i pykał głośno z fajeczki, i spinając konia ostrogami, zawołał:

— A z waćpanem załatwię później sprawę.

Co odrzekł wyga oficer, już nie słyszał, bo koń pomknął jak strzała. Wojtek gnał za nim i mruczał:

— To ci dopiero wydrwisze te ósmaki. Ale panicz im się ostro stawiał, ani słowa. Ale niech ich tam kule biją! O! laboga, a to co?

Właśnie z owych piaszczystych wzgórz, lasem porośłych i rojących się od nieprzyjaciela, rozpoczął się teraz ogień do Olszynki, dotąd będącej poza sferą boju. Z dział ustawionych tamże, których paszcze widać było zdaleka, zionął ogień, granaty z głuchem warczeniem poczęły pękać między drzewami Olszynki i jeden z nich padł tuż przed

koniem Wojtka, ale na szczęście zarył się tylko w piasku, wyrzuciwszy cały jego słup do góry i zgąsł. Koń Wojtka spał się dęba i o mało jeźdźca z kulbaki nie wysadził.

— O laboga, paniczu, uciekajmy, bo nas tu zabiją! — wołał Wojtek przerażony prawdą.

Ale panicz nic nie odpowiadał tylko pędził naprzód, aż dopadł nakoniec do generała Skrzyneckiego. Stał on przed frontem sławnego po wsze czasy pułku czwartego piechoty linjowej, zwanego czwartakami, na wielkim kasztanowatym koniu, otoczony dwoma czy trzema oficerami i przez lunetę obserwował owe wzgórza lesiste, z których teraz leciała ulewa kul, granatów i kartaczy na Olszynkę, łamiąc drzewa, świszcząc między nagiemi ich gałęziami, tu i owdzie raniąc lub zabijając żołnierzy. Ci w spokojnej, groźnej postawie, rozwinięci w długą linję, stali z bronią u nogi, a gdy kartacz wyrwał którego z szeregów, rozlegała się zaraz komenda oficerów:

— Szluszuj!

I szeregi w milczeniu ścieśniały się z taką dokładnością, jakby to nie było w obliczu nieprzyjaciela, wobec śmiercionośnej działobitni wroga, lecz na paradzie na Saskim placu. Sam generał Skrzynecki, w płaszczu oficerskim i stosowanym, bez piór kapeluszu, z twarzą poważną i dumną, postawą wyniosłą i rozkazującą, z najzimniejszą krwią śledził przez lunetę ruchy wroga, choć dokoła niego kule z głuchym świstem przelatywały, ryły się w ziemię, obsypując go piaskiem, druzgotały drzewa, łamały ich gałęzie. Powoli dym czarny i cuchnący, pędzony przez

wiatr na Olszynkę olbrzymiemi kłębami, zwijając i rozwijając się, włókł się długimi smugami i ogarniał wszystkich i wszystko.

W tejże chwili Władek na swym spienionym koniu z Wojtkiem za sobą, chylącym głowę na wszystkie strony, dopadł do jenerała i salutując po wojskowemu, zawołał:

— Panie jenerale!

Jenerał spokojnie odjął lunetę od oczów, spojrzał surowym wzrokiem na Władka, zmierzył go od stóp do głów i spytał:

— Co waćpan chcesz? Kto jesteś?...

— Jestem adjutant pułku pierwszego strzelców.

— Nazwisko?

— Władysław Jasiński.

— Jasiński?... a! przypominam sobie. To ty, młodzieńcze, tak dzielnie spisałeś się pod Cyganką?

— Panie jenerale, za mój nic nie znaczący czyn, zostałem aż nadto hojnie wynagrodzony.

— Skromny jesteś, a to niemała zaleta w tych czasach, gdy tyle ambicyj na niczem nieopartych, gra w naszym nieszczęśliwym kraju. Ale z czym przyjechałeś panie adjutancie?

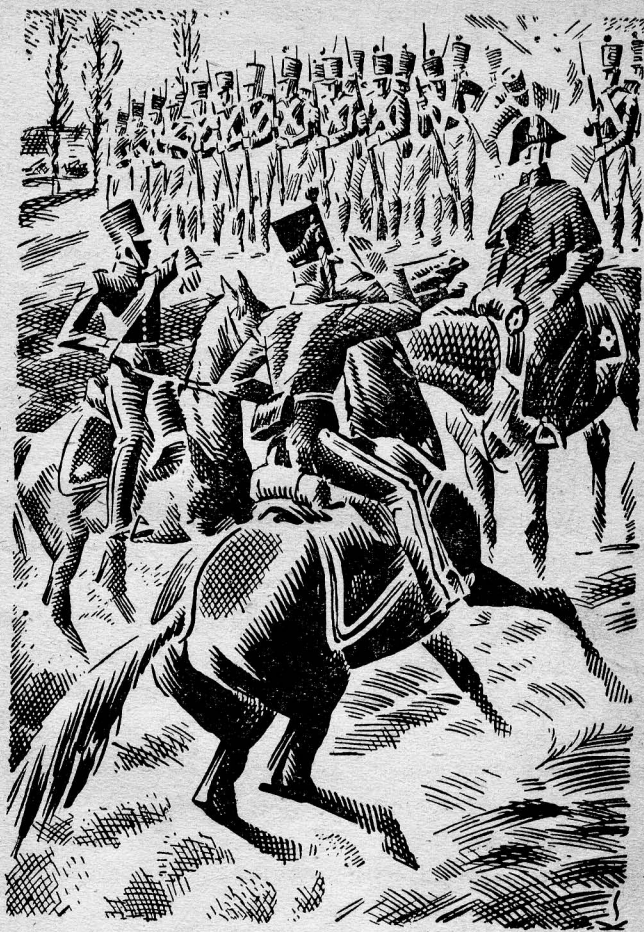
— Pułkownik Wolski pyta się co ma robić ze swym pułkiem?

— On stoi pod Ząbkami?

— Tak, panie jenerale.

— Hm! mój chłopcze...

Tu jenerał się zamyślił i po chwili rzekł:



Dopadł do jenerała i salutując po wojskowemu, zawołał...

— Proszę cię, jedź do generała Chłopickiego, on tu dowodzi, nie ja. Prawdopodobnie znajduje się gdzieś koło karczny Wawerskiej, i donieś mu, że nieprzyjaciół zamierza atakować Olszynkę i że ja jej bronić będę wszystkimi siłami, ale słaby jestem bardzo, więc proszę o posiłki. Co się zaś tyczy pułkownika Wolskiego... a kto to z tobą, panie adjutancie, jest?

Pytanie to było zwrócone do Wojtka, który stał tuż za Władkiem, skulony na koniu i chylący głowę na wszystkie strony za każdym świstem kul, poczynających już gęsto dokoła padać.

— To mój ordynans, panie generale! — odpowiedział Władek.

— Hm! za bardzo się kłania kulom.

— Wojtek! — zabrzmiał stłumiony i surowy głos Władka, który odwrócił się i groźnie spojrzał na swego towarzysza.

Wojtek zawstydzony uwagą generała, trochę może przerażony surowym głosem i groźnym wejrzeniem Władka, wyprostował się na kulbace i choć serce biło mu mocno, przestał kłaniać się kulom, jak żartował generał. A ten pytał dalej:

— Czy to rozgarnięty chłopiec?

— Zapewne.

— Czy spamięta, co mu powiem?

— Będzie się starał.

— O laboga! — wtrącił się Wojtek — co nie mam spa-

miętać? Niech jeno jasnie generał powie, a już ja spamiętam.

Generał uśmiechnął się i rzekł:

— Pojedziesz do pułkownika Wolskiego i powiesz mu, żeby zajął Ząbki i strzegł pilnie mego lewego skrzydła. Rozumiesz?

— Rozumiem, co nie mam rozumieć?

— A więc ruszaj! A ty, panie adjutancie, leć do generała Chłopickiego i powiedz mu com ci kazał. Ale co to? Piechota nieprzyjacielska wysuwa się z lasu! Dalej, panowie, (zwrócił się do otaczających go oficerów), na miejsca! Pierwszy batalion rozsypać w tyraliery. Zapowiedzieć żołnierzom, żeby dobrze mierzyli i ładunków na próżno nie psuli.

Cała ta rozmowa toczyła się w lasku olszowym, wśród nieustannego świstu kul, huku dział i wrzawy olbrzymiej, która po prawej ręce, w odległości może ćwierci mili, koło karczmy Wawerskiej, gdzie główny i właściwy bój się toczył, unosiła się w powietrzu i aż tu dochodziła. Właśnie w chwili, gdy generał Skrzynecki wydawał polecenia Władkowi i Wojtkowi, nieprzyjaciel, dotąd ukryty w gęstym lesie sosnowym na piaszczystych wzgórzach, i dotąd tylko ogniem armatnim ostrzeliwujący Olszynkę, teraz nagle zaczął wysuwać się z lasu i długie czarne jego kolumny, najeżone bagnetami, w metodycznym ładzie, z głośnym, nieco dzikim okrzykiem: „hurra! hurra!” usiłowały szybko przebiec nagą, gładką, niczem nieosłoniętą przestrzeń między lasem a Olszynką.

Władek to widział i żał mu serce ścisnął, że on w gotującej się walce udziału wziąć nie może. Słyszał, jak w kolumnach nieprzyjacielskich zawarczały bębny, jak polski batalion rozsypał się ponad rowem w tyraliery i już poczyły pojedyncze strzały padać. Ale niestety! czekać nie mógł, spał konia ostrogami i cwałem puścił się na przełaj przez pola, ku Wawrowi, gdzie wrzawa olbrzymia ciągle trwała i nieustający huk zwiastował, że obie strony walczą z zaciętością niesłychaną.

Władek wpadł na koniec w sam wir walki, w istną ulewę pocisków wszelkiego rodzaju, wśród mnóstwa trupów ludzkich i zwierzęcych, dział zdemontowanych, jęku rannych i krzyków wojennych, na chwilę zatrzymał się na szosie, w pobliżu gorejącej karczmy wawerskiej, i szukał oczyma generała Chłopickiego. Znał go dobrze, bo nieraz widział go w Warszawie, przechadzającego się po Krakowskim Przedmieściu lub ulicy Senatorskiej, a wszyscy z uszanowaniem usuwali mu się z drogi, a każdy dorożkarz i każda przekupka miejska kłaniała mu się nisko, witając go dobrodusznem: „dzień dobry panu generałowi”. Teraz właśnie dywizje generałów Żymirskiego i Szembeka, dotąd zwycięsko wypychające nieprzyjaciela do lasu i nie pozwalające mu wysunąć się na pola, nawzajem pod naciskiem przeważnej liczby zostały odparte i acz wolno i w porządku, ale bądź co bądź ustępowały kroku licznym, wszystkimi wylotami z lasu wypadającym kolumnom nieprzyjacielskim. Ciężka bateria kapitana Piętki, stojąca na szosie, tuż przy Władku, dotąd smagająca wroga kartaczami i miazdzącą

na krwawe błoto każdy pułk wraży, usiłujący dobyć się z lasu, teraz stała niema, a Piętka, siedząc na dziale, płakał z wściekłości i rozpaczliwym głosem wołał:

— Naboi! na rany Boskie, naboi!

— Na ten widok serce ścisnęło się Władkowi.

— Boże! — szeptał — czyż mamy być pokonani? czyż wszystko to męstwo, wszystka ta krew marnie ma być wylaną?

Ale przypomniał sobie po co tu przyjechał. Szukał więc oczami jenerała Chłopickiego i ujrzał go w białej kapocie cywilnej, w takimże kapeluszu z wielkimi skrzydłami, siedzącego na białym koniu, bez broni, tylko ze szpicrutą w rękę, dumnego, groźnego, orlim wzrokiem mierzącego wroga. Widać go było z daleka, niby sztandar panujący nad tem pobojowiskiem, krwią ludzką nasiąkłem. Koło niego warczały kule, pękały granaty, świszczwały kartacze, a on stał niewzruszony, jak skała, jak skała wyniosły. Ota-
czał go liczny sztab, całe tłumy adjutantów, których on rozsyłał na wszystkie strony, skinieniem ręki zwijał i rozwijał szeregi.

Władek spał konia ostrogami, zmęczony, zabłocony, czarny od dymu, przypadł do jenerała Chłopickiego.

VII.

Władek z pewną trwogą, połączoną z czcią, stanął przed tym groźnym, chmurnym i wyniosłym wodzem polskim. Gwałtowne osadzenie konia na miejscu, twarz zmę-

czona, oblana mimo zimna, potem, suknie obryzgane błotem, zwróciły uwagę jenerała Chłopickiego. Spojrzał na Władka dumnie i spytał:

— Co tam nowego?

Władek przykładając po wojskowemu rękę do czapki, głosem zdyszany, chwytając gwałtownie powietrze, zawołał:

— Jenerał Skrzynecki donosi, że nieprzyjaciół przeważną siłą atakuje Olszynkę i prosi o pomoc.

— Kto prosi o pomoc? nieprzyjaciół?

— Nie, jenerał Skrzynecki.

Chłopicki groźne jowiszowe brwi zmarszczył surowo i rzekł:

— Ani jednego żołnierza, ani jednego naboju nie mam dla jenerała Skrzyneckiego. Niech broni Olszynki do ostatniej kropli krwi.

W tejże chwili gwałtowne, donośne: „hurra!” rozległo się od strony nieprzyjaciela i nowe jego masy, jak lawina toczyć się poczęły z lasu, napierając gwałtownie ustępujące wolno szeregi polskie. Chmury jazdy rzuciły się na ułanów i szaserów polskich, będących pod wodzą jenerała Tomasza Łubieńskiego i rozpoczęła się tam rycerska walka, gdy jednocześnie piechota nieprzyjacielska w coraz większych masach wypadając z lasu, posuwała się pasem czarnym ciągle naprzód i już przechodziła poza karczmę wawerską. Widząc to jenerał Chłopicki z błyskawicami w oczach, zaklął po żołniersku, i skoczył do stojącego opodal, z bronią u nogi, pułku grenadierów gwardji polskiej.

I widział Władek jak wysokie kiwery tego pułku zachwiały się, jak na rozkaz wodza, szeregi szybko złamały się, tworząc gęstą kolumnę do ataku. Widział jak generał Chłopicki, ciągle tylko ze szpicrutą w ręku, stanął na czele, jak umieścił po swej prawej i lewej po sześciu doboszów, jak się rozległ silny werbel na bagnety, jak Chłopicki głosem donośnym, dominującym ponad hukami armatnimi i grzechotem ognia karabinowego, wołał:

— Grenadjerzy naprzód!

Mnóstwo adjutantów, a między nimi i Władek, poskoczyło przed wodza, by go zasłonić od pocisków swymi ciałami, a już grenadjerzy przy dźwiękach starego mazurka, przy grzmiącym okrzyku: „niech żyje Polska!” rzucili się naprzód z najeżonymi bagnetami.

Co się stało dalej, Władek nie wiedział. Nagle bowiem, gdy popędził za innymi przed wodza, uczuł, że koń zachwiał się pod nim, poskoczył parę razy naprzód, spał się dęba i powalił na wznak, przygniatając sobą jeźdźca. W oczach tego jeźdźcy pociemniało, świat cały kołować się zaczął i stracił przytomność. Później tylko, jakby przez sen przypomniał sobie wrzawę olbrzymią, uczuł ból od ciężkiego uderzenia w lewą rękę, w której cugle trzymał, duszność wielką i już nic więcej nie pamiętał.

Jak długo trwał ten stan nieprzytomności, nigdy sobie dokładnie sprawy zdać nie mógł. Prawdopodobnie jednak dość długo, bo kombinując czas, przyszedł do wniosku, że atak grenadjerów gwardji polskiej mógł się odbyć koło godziny pierwszej po południu, a gdy Władek się obudził

z letargicznego snu, pod wpływem przejmującego chłodu, zapadał już zmrok wieczorny i po niedawnej wrzawie, sen-
na, martwa cisza leżała na tem krwawem pobojuwisku. Otworzył oczy i ujrzał nad sobą niebo szare, ołowiane, pokryte ciężkimi chmurami „od reszty złotawego blasku zaszłego słońca, pokraśniałe. Pod tem niebem unosiły się w różnych kierunkach, spadały na ziemię i znowu się zrywały gromady wron i kawek, głośnym „chrapliwym i złowrogim krzykiem napęlniając tę martwą ciszę lutowego wieczoru. Nisko po ziemi rozwłóczył się leniwie dym cuchnący i widział dogorywające, czerwieniejące się zdała szczątki karczmy Wawerskiej, która dymiła i całą przestrzeń dokoła tym dymem duszącym napęlniała.

Zimno mu było bardzo i drżał i dzwonił zębami, a całe to otoczenie, to niebo zasłane płowemi chmurami, przez które przesiewały się nikłe, złotawe blaski słońca zaszłego, te wrony i kawki kraczące posępnie, te czarne szczątki dymiącej się karczmy Wawerskiej, cisza wreszcie ponura i zimno, przygnębiająco oddziaływały na duszę młodą i wrażliwą chłopca.

— To pewna — rzekł do siebie — że nie jestem zabity i że żyję. Trzeba przekonać się gdzie jestem i czy rany jakiej nie mam.

Przedewszystkiem uczuł, że ma rękę prawą swobodną i że nią dowolnie poruszać może. Ręka ta była zdrętwiała od zimna, ale trzymała jeszcze mocno pałasz, który za przykładem innych wydobył z pochwy, gdy się rzucał przed generała Chłopickiego, ale za to druga ręka była przyciś-

nięta jakimś wielkim ciężarem i lewe ramię za najmniejszym ruchem dokuczało mu mocno. Na nogach również coś ciężkiego leżało, tak, że ruszyć się nie mógł i wszystkie kości go bolały, duszno mu było, oddychał z trudnością, a dreszcze zimne wstrząsały nim całym. Niebawem przekonał się, że na nim leży jego koń własny i przygniata go cielskiem swoim, z którego prócz tego, sączyła się lepka krew i jej mdły zapach czuł dokoła. Niewątpliwie na zwłokach konia leżał jeszcze ktoś, czy coś, bo Władek podniósłszy głowę przy nikłym blasku dnia gasnącego, ujrzał coś niekształtnego i wielkiego, z rozpostartymi rękami czy nogami. Wobec tego widząc, pomimo parokrotnych usiłowań, niemożność wydobycia się z pod gniotących go trupów, słysząc dokoła siebie niczem niezamąconą ciszę, jakby na tem polojowisku wszystko wymarło, zgrozą zabobonną zdjęty na widok wron i kruków, które tuż nad nim się unosiły, a nawet zapewne zwabione zapachem sączącej się z konia krwi, tak były śmiałe, że z głuchym łopotem skrzydeł przelatywały tuż prawie przy jego twarzy i Władek uczuł jak go obejmuje lęk śmiertelny i trwoga straszliwa. W przerażeniu podniósł głowę i głosem, jaki mógł tylko wydobyć z siebie, krzyknął:

— Ratunku! Kto w Boga wierzy, ratujcie!

Ale głos jego odbił się kilkakrotnem echem o lasy i skonał. Cisza jak przedtem panowała dokoła i nikt się na to wezwanie rozpaczliwe nie odezwał. Wtedy Władek uczuł, że traci przytomność, że znów niebo nad nim kołować zaczyna, jakieś mary przejrzyste otaczać go zaczęły

i nie wiedział co się z nim dzieje.

Ocknął się pod wpływem dojmującego zimna. Noc już była ciemna i czarna, tylko łuna krwawa biła od ognisk, palących się długimi szeregami w dwóch obozach, polskim i rosyjskim. Między temi ogniskami, w pasie ciemności nieprzejrzanym, leżał Władek, przygnieciony przez konia, bezsilny, zbolący i zrozpaczony. Usiłował jednak opanować swe czarne myśli, swą trwożną śmiertelną, odzyskać spokój i przytomność.

— Niepodobna przecież — rozumował — ażeby zostawiono rannych na pobojuwisku bez żadnej pomocy, żeby nie pobierano zabitych i nie pochowano ich w ziemi. Wcześniej czy później ktoś tu zjawić się musi i ocali go od śmierci z zimna i głodu!

Był bowiem głodny. Od szklanki kawy, którą rano wypił w Warszawie w hotelu „pod Białym Orłem”, nic w ustach nie miał i nie było czasu o jedzeniu pomyśleć. Ale teraz czuł, jak mu głód ściska wnętrzności, i jak go siła pozbawia i to właśnie w chwili, gdy te siły były mu najpotrzebniejsze.

— Boże! — szeptał — nie opuszczaj mnie!

Nagle zdawało mu się, że gdzieś niedaleko od niego, nisko nad ziemią, błysło maleńkie światełko i dały się słyszeć głosy ludzkie, stłumione jakieś, niepewne, ale ludzkie. Światełko wprawdzie zaraz zgasło, ale szept rozmawiających wyraźnie do ucha Władka dochodził. Wyteżył słuch, żeby uchwycić jakieś słówko i stąd dowiedzieć się, kto są ci rozmawiający, przyjaciele, czy wrogowie. Rozmawia-

jący szli od strony obozów przeciwnych, było więc wszelkie prawdopodobieństwo, że nie są to Polacy. Dlatego Władek zachował się spokojnie i cicho, bo wiadomem już było powszechnie, że żołnierz nieprzyjacielski dobijał rannych na poboju. Nadstawił więc pilnie uszów, patrzył jeszcze pilniej, ale najmniejszym ruchem nie zdradzał swej obecności. Noc była czarna, nic więc dostrzec nie mógł; na zachodzie tylko białało nieco niebo i nagle na tem bladym tle zdawało mu się, że widział na krótką chwilę sylwetkę dwu czy trzech ludzi, jakby pochylonych i szukających czegoś.

Ludzie ci zbliżali się do niego, bo już teraz ich kroki ciche, kocie, jakby skradające się, dawały się słyszeć, a zaraz też potem dobiegła od uszu Władka ich rozmowa. Mówili ze sobą po niemiecku, a że ten język znał dobrze, bo wychowany przez babkę Niemkę, od dzieciństwa nim władał, więc rozumiał doskonale, co tajemnicze osobistości mówiły między sobą. Rozmowa ta prowadzona była prawie półszepem, urywała się co chwila i znowu rozpoczynała, jak u ludzi nie lubiących czasu tracić na próżne słowa, i zajętych czemś mocno. Zrazu rozmawiało tylko dwu mężczyzn, ale później dały się słyszeć i głosy kobiece. Co chwila zamigotało światółko, pochylało się tu i ówdzie i zaraz gasło; widocznie ludzie ci mieli ze sobą tak zwaną latarkę ślepą.

— Mina — syknął jeden z mężczyzn — ściągnij temu głupcowi buty, ma całe i lakierowane, a zobacz czy nie ma pieniędzy, zegarka lub pierścionka.

— O! dziś obłowimy się dobrze — ozwał się na to

chrapliwy głos kobiety i światelko znowu błysło.

— Ty Fryc, myślisz tylko o pieniądzach i zegarkach — mruknął ponurym basem jeden z mężczyzn.

— A ty, Heliglas, o czym myślisz? — zapytał ten sam, który wołał kobietę, Mina imieniem — czyż nie po zdobyczu z tych głupców, co się zabijali dzisiaj, djabeł wie o co, tutaj przyszedliśmy?

Heliglas! jakże dziwnie zabrzmiało w uszach Władka to nazwisko! Wszak takie miano nosił właściciel domu na Dunaju Szerokim, do którego babka wyprawiając Władka z Brzozówki, kazała mu się zgłosić. Czyż to możliwe, aby znajomy, przyjaciel czy krewny babki, obywatel miejski był prostym obdzieraczem trupów na pobojuwisku? Bo nie ulegało żadnej wątpliwości, że ci ludzie, ślaniający się w ciemności wśród krwawego żniwa śmierci, byli prostymi rabusiami, szakalami nocnymi. Ale nie czas był na rozmyślanie, bo Heliglas głosem grubym mówił:

— Ty, Fryc nic nie rozumiesz. Nie jestem od tego, żeby zabrać pieniądze tym głupcom, jak ich słusznie nazwałeś, które już na nic im się przydać nie mogą, ale ja tu po co innego przyszedłem i nie dla pieniędzy, butów, zegarków i pierścionków narażam życie.

— A dla czegoż, czy wolno zapytać?!

— Czemu nie? jesteś moich przyjacielem i kamratem i wiem, że nie zdradzisz i zdradzić nie możesz, boby cię tak samo jak i mnie obwiesił ten kat i zbójca Krukowiecki. Żeby go piekło pochłonęło!

— Tego samego mu życzę i to go z pewnością nie minie.

Ale po cóż więc przyszedłeś tutaj bracie Heliglasie?

— Cyt! — syknął Heliglas — nie trzeba wymieniać nazwisk. Może je ktoś usłyszeć.

— Ba! — zaśmiał się cicho Fryc — umarli nie słyszą i nie mówią!

— Ale tu są nie sami umarli, tu są także ranni.

— Pozdychali już zapewne wszyscy, bo noc jest djabelnie zimna i wilgotna.

— Nie trzeba temu zbyt ufać. Te psy polskie mają twarde życie.

Rozmowa powyższa toczyła się wśród ciągłego migotania i gaśnięcia światełek, nieustannych poszukiwań, przewracania trupów i głośnego, syczącego oddechu Miny, która widocznie z ogromnym wysiłkiem coś robiła bo stękała i przeklinała.

— Dotąd byliśmy wśród trupów rosyjskich — rzekł Fryc — zdaje mi się, że zaczynają się polskie.

— Właśnie do nich chciałem się dostać! — mruknął Heliglas.

— Dlaczego? miałeś mi powiedzieć dlaczego ta nocna wyprawa?

— Mam rozkaz generała Tolla, ażebym przetrząsnął o ile się da, trupy polskie i zabrał wszelkie papiery, jakie się przy nich znaleźć mogą, i jemu oddał.

— A jemu co djabli po tem,

— Ba! to już jego rzecz. Mnie nic do tego! Płaci dobrze, reszta mnie nie obchodzi.

W tejże chwili rozległ się chrapliwy głos Miny, któremu

towarzyszył przeciągły, bolesny jęk.

— Hej! ten jeszcze żyje.

— Pchnij go nożem w bok! — syknął Fryc — jęczy za głośno i może kogo niepotrzebnego na kark nam zwalić.

Rozległ się jeszcze jeden bolesny jęk i potem zaległa cisza, tylko słychać było ciężki, świszczący oddech Miny, jakby się spracowała mocno.

— *O! Herr Je!* — szeptała.

Zbliżyli się do Władka, któremu włosy na głowie powstawały z śmiertelnej trwogi i zimny pot oblał mu czoło. Wstrzymał jednak oddech w sobie i udał nieżywego w chwili, gdy Heliglas nagle pochylił się nad nim i latarką zaświecił mu w oczy. Przy migotliwym blasku tej latarni, Władek ujrzał nad sobą wielką, dziką głowę, z wyrazem okrucieństwa i przebiegłości na twarzy, zarośniętej dokoła. Twarz tę widział przez jedno mgnienie oka, a jednak wryła mu się tak w pamięć, że do końca życia zapomnieć jej rysów nie mógł, nieraz mu się po nocach śniła ścigała go jak cień, jak widmo straszne i ponure.

— Tu leży oficer polski, Fryc! — zawołał Heliglas — trzeba odwalić tego konia, co go przygniata i trupa dobrze zrewidować.

Zabrali się do tego zwawo przy pomocy Miny i jeszcze jednej kobiety, która widocznie gdzieś w tyle pozostawała dotąd, i teraz wezwana imieniem Neldy, wypełzła z ciemności i dopomagała do zwalenia zwłok konia z Władka. Niewątpliwie ten Heliglas, jego towarzysz Fryc, a nawet Mina ze swym gwizdzącym oddechem, byli to ludzie silni

bardzo, gdyż w stosunkowo krótkim czasie ściągnęli trupa końskiego z Władka, który oczywiście niemałej doznał ulgi, choć cały był zdrętwiały z ucisku, zimna i obawy śmiertelnej. Wiedział, że najmniejszy ruch z jego strony, grozi mu śmiercią że straszna Mina z okrzykiem, często wyrwywającym się z jej ust: „o! Herr Je!” pchnie go nożem bez litości i wahania. Leżał więc nieruchomy, a Heliglas mówił:

— Fryc, zrewiduj dobrze kulbakę, bo oni tam często chowają ważne papiery i pieniądze, a ja tymczasem obmacam oficera.

Teraz nastąpiła najniebezpieczniejsza dla Władka chwila. Jeżeli się czemkolwiek zdradzi, jeżeli straszny Heliglas uczuje silniejsze bicie jego serca, poczuje oddech, to z pewnością go dobić każe. Ale na szczęście ci niecni rabusie sami byli mocno zaniepokojeni, najmniejszy szelest, ciężkie westchnienie kogoś umierającego na tem pobojo-wisku, każdy głos, których tyle jest podczas nocy, budził w nich trwogę. Zatrzymywali się wężąc na wszystkie strony, nadśłuchując pilnie, z nogą podniesioną do ucieczki. Wobec tego mając bacność gdzieindziej zwróconą, nie mogli tak jakby należało uważać na obdzierane przez siebie trupy poległych wojowników. Dlatego też Heliglas nie odczuł zbyt silnego bicia serca u Władka, gdy mu mundur zręcznie rozpinął szepcząc:

— Hm! to adjutant.

Prędko też natrafił na resztę dukatów, bo część wydał Władek na umundurowanie, danych mu przez babkę

i szybko je schował do swej kieszeni, a nie znalazłszy nic więcej, podniósł się, wyprostował, zaklął po niemiecku:

— *Verfluchter Teufel!*

I kopnął Władka nogą obutą w ciężkie podkute buty, tak silnie, że ten się aż potoczył. Zawrzała w chłopcu wszystka krew, już chciał zerwać się i jednym cięciem szabli, którą ciągle trzymał w ręku, rozrąbać okrutny łeb zuchwałego opryszka. Ale ból dotkliwy w lewym ramieniu i zdrętwiałe nogi, które mu odmówiły posłuszeństwa, zmusiły go do zachowania zemsty na później. Legł więc nieruchomy pod jakimś krzakiem, pod który się potoczył, kopnięty nogą Heliglasa i tłumiąc w sobie okrzyk bólu i wściekłości, patrzył co dalej będzie. Zasłonięty krzakiem, powoli, nie bez trudności i dotkliwego cierpienia w lewym ramieniu i nogach, podniósł się i usiadł, gotów, w razie gdyby go zbrodniarze dostrzegli, bronić się szablą do ostatka i drogo sprzedać swe życie. Ale oni nie uważali już na niego, odeszli parę kroków i Fryc mówił:

— W kulbace nic nie znalazłem.

Mina ze świszczącym oddechem poszła także w bok, tylko Nelda stała jeszcze przy odwalonym koniu i jej sylwetka wysoka i smukła, rysowała się w mętnym nieco zarysie, na bladawem tle nieba zachodniego. Ale i ona po chwili ruszyła za innymi i przeszła tak blisko Władka, że suknia jej musnęła mu twarz.

Tymczasem noc stawała się coraz ciemniejszą, Mgła zimna i wilgotna spadła i zgęściła i tak już gęste ciemności, a nawet drobny deszczyk mżyć zaczął. Było tak ciemno,

że Władek ręki swojej nie widział, tylko na pałaszu jakiś mglisty, nikły blask się zapalał i gasł. Czerwonawe łuny nad obozowiskami dwu nieprzyjacielskich armji, ciągle się unosiły i ciągle leżała nad tem, trupami zasłanem pobojowiskiem, wielka cisza, jakby ludzie i rzeczy w ciągu dnia zanadto się wysilili i nie mieli już mocy teraz dawać żadnego znaku życia.

Władek uwolniony od przygniatającego go dotąd cielska końskiego, wdzięczny losowi, że utratą kilkudziesięciu dukatów ocalił się od grożącej mu śmierci z ręki strasznej Miny, oddychał swobodnie i powoli odzyskiwał siły. Znikła mu z oczów zbójcecka czwórka, słyszał tylko ich stąpanie gdzieś w pobliżu i urywane szepty. Czasem zabłysło światelko ich ślepych latarek, ale gasło natychmiast; czasem nieostrożnie nogą uderzona broń zabrzęczała i znowu była martwa cisza i martwa noc, w której szakale, bo nie ludzie, straszne swe rzemiosło spełniali.

Władek błądził wzrokiem po tych ciemnościach, myśląc nad tem, w jaki sposób mógłby się dowlec do ognisk obozowiska polskiego, gdy nagle gdzieś w dali, dostrzegł żywe światło, posuwające się ciągle, przenoszące się z miejsca na miejsce, widocznie jacyś ludzie chodzili po pobojowisku i czegoś szukali. Światło to dążyło wprost ku Władkowi, bardzo co prawda wolno, ale stale. Zauważyli to także nocni rabusie, bo słysząc było jak Heliglas swym grubym głosem mówił:

— Do diabła, czy widzicie? Ktoś chodzi ze światłem po polu!

— Widzę — odrzekł Fryc — z pewnością zbierają rannych. Uciekajmy póki czas.

Noc jest ciemna, nie dostrzegą nas — odparł jego towarzysz.

— Obłowiliśmy się dobrze, nie narażajmy się na próżno. Noc się opłaciła, nie bądźmy chciwi.

— *O! Herr Je!* — jęknęła Mina.

— Wiesz dobrze Fryc po co ja tu przyszedłem, odejść z gołymi rękami nie mogę. Jenerał Toll będzie wściekły, gdy mu powiem, że nic nie znalazłem — oponował Heliglas.

— Nie myślę wcale narażać mej głowy dla dziesięciu nawet jenerałów Tollów. Nie pleć głupstw Heliglasie. Uciekajmy! Widzisz światło, które coraz bardziej się zbliża.

Heliglas jeszcze się opierał. Radził, żeby skrócić w bok, przeczekać gdzie w ukryciu, aż ludzie ze światłem pójdą sobie precz, bo przecie w końcu pójść muszą, ale Fryc słyszeć nawet o tem nie chciał i nalegał, by uciekano. Wreszcie rozległ się cichy, lękliwy, bardzo słodki głos kobiety, zapewne należący do owej wysmukłej Nedly. Mówiła ona:

— Mamy przed sobą kawał drogi do Saskiej Kępy i do naszych łodzi. Trzeba korzystać z nocy, by przeprowadzić się przez Wisłę. A wiesz Robercie (zapewne Heliglasowi tak było na imię), że ten szewc z Solca zawzięcie nas szpieguje i strzec się przed nim musimy.

Dziwnie wśród nocy ponurej, wśród stosu trupów i przy takim niecnem zajęciu, brzmiał ten słodki, pieściwy głos niewieści. Kobieta, która tak mówiła, była niewątpliwie

młoda: jakże musiała być zepsuta, gdy się zajmowała obdzieraniem trupów na polu bitwy, na którym mdły zapach świeżej krwi wszędzie się rozchodził. Nakoniec Heliglas uległ naleganiom wszystkich i cała ta banda szakali nocnych szybko zawróciła, kocim ruchem przemknęła się około Władka i znikła w ciemnościach. Przez jakiś czas Władek słyszał jeszcze ich kroki, coraz bardziej cichnące, aż wreszcie ucichły zupełnie.

Tymczasem tajemnicze światło, które spłoszyło rabusiów, zbliżało się coraz więcej. Władek wyteżył swe siły i głosem najdonioślejszym, na jaki w swoim osłabieniu mógł się zdobyć, począł krzyczeć:

— Ratunku! Ratunku!

Światło nagle zatrzymało się i ktoś zapytał:

— Hej! kto tam woła?

— Ratunku!

— Gdzie jesteś! czyś Polak?

— Polak! adjutant pierwszego pułku strzelców pieszych.

— Panicz! — ryknął nagle Wojtek — panicz! Jezu! Jezusieńku! leczę, pędzę!

Tak był to Wojtek, który razem ze starym Mateuszem Rozworą, wybrali się na poszukiwanie zwłok Władka, bo mówiono w obozie, że poległ w czasie ataku granadjerów gwardji na wysuwającego się z lasu Wawerskiego nieprzyjaciela. Z Rozworą spotkali się przypadkiem, gdyż stary żołnierz zapisał się także do pierwszego pułku strzelców pieszych pułkownika Wolskiego i był sierżantem w świeżo uformowanym czwartym bataljonie tego pułku. Gdy mu

Wojtek splakany i zrozpaczony powiedział o śmierci Władka, Rozwora rzekł:

— Nie bardzo trza wierzyć temu, co gadają. Nieraz mówią ten a ten zginął, a on żyje. Cóż, że koń pod panem Jasińskim padł? On sam może jest tylko ranny Ot, wiesz co chłopcze? wystaraj się o latarkę i chodźmy. Wiadomo gdzie szli grenadjerzy na bagnety. Poszukamy twego panicza.

Jakoż znaleźli go na wielką radość Wojtka. Okazało się teraz jak był on do Władka przywiązany. Rzucił mu się do nóg, całował go po rękach, skakał z uciechy.

— No, no! — gadał Rozwora — nie marudź chłopcze, a idź lepiej poszukaj parę karabinów, trza pana Jasińskiego zabrać stąd. Ruszaj i czasu nie trać, bo ciemno, a kozaki też lubią myszkować po pobojoisku.

Wojtek skoczył, a Rozwora dał Władkowi napić się z manierki wódki, która go orzeźwiła i rozgrzała. Wojtek przyniósł dwa karabiny, wsadzono na nie Władka i tak go ponieśli do obozowisk polskich.

VIII

Okazało się przy bliższych oględzinach przez lekarza pułkowego, że Władek nie był nigdzie raniony, tylko potłuczony mocno, wycieńczony głodem i fatygą w dniu bitwy Wawerskiej. Gdy mu opatrzono potłuczone ramię i nogi, gdy go nakarmiono do syta, gdy na koniec wyspał

się należycie, nazajutrz wstał zdrow zupełnie, choć lewe ramię dokuczało mu mocno, a nogi drżały pod nim. W obozie wrzało życie. Armja polska, choć zmuszona była ustąpić nieco kroku przemocy nieprzyjacielskiej, chociaż tego nieprzyjaciela do lasów nie wparła napowrót, jednakże niebyła zwyciężoną, owszem ufną w siebie, dumną z wielu pojedynczych czynów bohaterskich i gotową do nowych bojów i nowych wysileń. Oba wojska stały tak blisko siebie, że placówki i widety rozmawiały ze sobą i nawet wzajemnie oddawały sobie drobne przysługi. Armja rosyjska, jak widać było ze wszystkiego, nie rychło zamierzała wznowić działania wojenne, i mówiono powszechnie, że feldmarszałek Dybiczy, czeka na korpus grenadierów kniazia Szachowskoja, który forsownemi marszami z Augustowskiego dążył pod Pragę. Wielu też dziwiło się, że wodzowie polscy nie zaatakują Dybicza przed przybyciem Szachowskoja, boć przecie lepiej było walczyć z jednym, jak z dwoma, ale miano jeszcze ufność do swych naczelników, wierzone w genjusz Chłopickiego i tłumaczono sobie, że może on mieć ważne powody do takiego a nie innego postępowania.

Zostawiając więc wodzom kłopoty, bawiono się w obozie pod gołym niebem lutowem wesoło. Wielu żołnierzy pobudowało sobie szałas z gałęzi i rozebranych domostw Grochowa, palono ognie, śmiano się i opowiadano sobie pojedyncze epizody z wczorajszej walki pod karczmą Wawerską. Obie strony zbierały z pobojowiska rannych, mnóstwo bryczek, powozów i dorożek przybyło z Warszawy,

wiele dam z pierwszorzędných domów zajęło się opieką nad rannymi, których wieziono do Warszawy i tam po lazaretach umieszczano. Poczciwi, patryjotyczni mieszkańcy stolicy polskiej nadsyłali do obozu całe fury wszelkiego rodzaju żywności, napojów i drew do opału, tak, że armja obfitowała we wszystko.

Wesoło też było w szeregach polskich. Co chwila nadciągały przy dźwiękach mazurka Dąbrowskiego nowe posiłki, niestety! po większej części uzbrojone w kosy, bo broni poczyniło brakować, ale pojawianie się tych posiłków wzbudzało entuzjazm i wiarę w powodzenie. Wszędzie rozlegały się śpiewy, brzmiał mazurek o Maćku, co mówił do swej Basi cały zapłakany:

„Patrzej Basiu, to są nasi,
Biją w tarabany”.

Wojtek, uspokoiwszy się co do swego panicza, włączył się po obozie, przypatrywał wszystkiemu ciekawie, jadł i pił za dziesięciu i ciągle nucił dyszkantem piosnkę o Dybiczu, którego ręce:

„Już nie będą wywijały
Szablą na wojencę”.

Niekiedy stawał i wsłuchiwał się, jak ułani chórem śpiewali świeżo skomponowany w Warszawie mazurek o Chłopickim:

„Nasz Chłopicki wojak mężny, śmiały,
Poprowadził naszych zuchów w pole zwycięstw, chwały,
Hej bracia! w imię Boże
Bóg nam dopomoże!”

Władek ze swej strony, leżąc spokojnie w namiocie, rozmyślał o wypadkach nocy minionej, których wszystkie szczegóły wbiły mu się w pamięć doskonale, lecz teraz, przy białym dniu, wyglądały na jakieś senne marzenia gorączką objętego umysłu.

— Czy ja nie śniłem czasem? — pytał samego siebie. — Byłem chory, przygnieciony przez konia, potłuczony, wyczerpany i głodny. Wszak parokrotnie wpadłem w omdlenie, traciłem przytomność. Miałem gorączkę i cała ta historia z obdzieraczami trupów może jest wytworem chorej wyobraźni. Dziś przecie takie rzeczy się nie dzieją, zwłaszcza tutaj, w obliczu dwu armij.

— Ale nie! — rozmyślał dalej — to nie może być sennym marzeniem. Jeszcze w tej chwili widzę nachyloną nademną straszną twarz Heliglasa, oświetloną migotliwym blaskiem świeczki w latarce. Czuję jeszcze jego kopnięcie mnie nogą. Gdzież są wreszcie dukaty, które mi babka dała, które miałem w woreczku, w bocznej kieszeni munduru? Nie, to nie było marzenie, to była prawda!

Łatwo zresztą o tem wszystkim przekonać się. Zażądam urlopu od pułkownika pod pozorem wyleczenia się w Warszawie i udam się na Dunaj Szeroki do Heliglasa. Wszak babka kazała mi się do niego zgłosić i szukać tam schronienia. Przekonam się, czy to ten sam człowiek, który mię okradł i nogą kopnął. Poznam go, choćby wśród tysiąca innych. A jeżeli Heliglas z Dunaju Szerokiego ma taką samą straszną twarz, jak Heliglas szpieg i obdzieracz

trupów, to wszystko to, com widział dziś w nocy, jest okropną prawdą.

— A skoro okaże się prawdą, skoro między tem, co mi opowiadał Wojtek o szpiegach, wożących przez Saską Kępę Dybiczowi świeże bułki warszawskie, gazety i nowiny, a tem, com ja widział nocy dzisiejszej jest ścisły związek, to co mi należy uczynić? Czy mam dalej działać na własną rękę, czy też uwiadomić o wszystkim kogo należy, jakem to pierwotnie zamierzał, a w czem przeszkodziła mi bitwa wczorajsza?

— Pod tym względem dwu zdań być nie może. Gdy się przekonam, że Heliglas z Dunaju Szerokiego jest tym samym Heliglasem, który mię okradł i kopał w nocy, natychmiast uwiadomię o wszystkim pułkownika Wolskiego. To jest moim obowiązkiem, tego wymaga święta sprawa nasza, którą łotry i sprzedawczyki na szwank chcą narazić. Zrobię to więc, choć brzydzę się wszelkiem donosicielstwem, ale dla Ojczyzny wszystko należy czynić, wszystko poświęcić.

Powziąwszy taką decyzję, Władek natychmiast udał się do pułkownika Wolskiego z prośbą o urlop, oraz, żeby pozwolił mu zabrać Wojtkę, gdyż, mówił, nogi się podemną chwieją, mogę gdzie upaść, potrzebuję więc mieć kogoś zaufanego przy sobie, by mi pomoc dał.

Pułkownik Wolski żądany urlop Władkowi i Wojtkowi udzielił chętnie, dodał jednak:

— Żeby się tylko tak samo nie stało, jak wczoraj. Nie spodziewaliśmy się wcale bitwy, a jednak ona wybuchła

i waćpana, mości adjutancie, przy mnie nie było. Ja to tam nie wierzę Moskałom, chytry to naród i podstępny. Udają spokój, a mogą nas nagle napaść, zwłaszcza tu, na Olszynkę, która jest kluczem pozycji. Dla tego to mój pułk trzymam w pogotowiu... No! no! jedź waćpan, ale gdy usłyszysz huk dział, choćby ci nogi poodpadać miały przybywaj i staw się przedemną. Do widzenia i wracaj waćpan zdrowy.

Puścił się zatem Władek w towarzystwie Wojtka do Warszawy. Droga była mozolna, a nadewszystko na moście bardzo wolno posuwać się mogli. Z jednej strony od Pragi wlokły się noga za nogą wozy z rannymi, których jęki, narzekania, straszne nieraz rany krwawe, przykry widok sprawiały; z drugiej strony od Warszawy jechały wszelkiego rodzaju bryczki i wozy z namiotami, drzewem i zapasami żywności, ciągnęły pułki piechoty i jazdy, Krakusami zwanej, w czerwonych czapkach z pawimi piórami, w barwnych kierezyjach i z lancami o trójbarwistych chorągiewkach. Zdała brzmiała janczarska muzyka, mieszała się z turkotem bryczek, jękami rannych i rozlegał się śpiew:

„U Krakusa nie pomoże
Ani święty Boże!
Szablą miźnie, kulą gwizdnie
Aż się... obliznie!
Danaż moja, dana
Ojczyzna kochana!”

Wojtek przypatrywał się temu ciekawie, wsłuchiwał w śpiew na nutę krakowiaka nucony, i gadał:

— Wie panicz co?

— Nie, nie wiem.

— A to my źle zrobili, żeśma do piechurów przystali.

— Dla czego?

— La tego, co lepiej było do Krakusów, bo to i na kóniach, i piękne mają chorągiewki, i czapki jak się patrzy, a kierezyje takie kraśne, że aż w oczy ćmi.

— Pleciesz Wojtek! Pamiętaj, żeśmy tu nie dla chorągiewki i nie dla pięknych mundurów przyszli, ale by wywalczyć niepodległość ojczyzny. Czy w kraśnej kierezji, czy w ciemnym, strzeleckim skromnym mundurze, zawsze i wszędzie możesz być pożytecznym ojczyźnie.

— Juścić mądrze panicz gadają, ani słowa, niby dobrodziej w święto na ambonie w kościele, ale zawdy co piękne te Krakusy, to piękne.

Przyjechawszy do Warszawy, stanęli tak samo jak onegdaj na Tłomackiem w zajeździe „pod Białym Orłem” i tu Władek oporządziwszy nieco swój mocno wczorajszym bojem zniszczony mundur adjutancki, wybrał się w towarzystwie Wojtka na Szeroki Dunaj do Heliglasa. Wziął zaś Wojtka dla tego ze sobą, że czuł się jeszcze bardzo osłabionym i że nie ufał Heliglasowi, który widząc się w niebezpieczeństwie, mógł się wszystkiego dopuścić. I dobrze zrobił, bo już sam widok domu szpiega, budził nieufność i kazał się mieć na ostrożności.

Dom ten, maleńka kamieniczka o dwu oknach i jednym piętrze, wciśnięty był w dwie stykające się ze sobą połacie niewielkiego placu, zwanego Dunajem Szerokim. Obok

drzwi wchodowych, zamkniętych szczelnie, znajdowało się na dole jedno tylko okno, z wystającą na zewnątrz deską, która zapewne w dawnych czasach służyła za stół kupiecki. Okno to było zamknięte okiennicą, potężną, dębową, opatrzone w zasuwę żelazne. Okna na piętrze były zasłonięte ciemnymi firankami i cały dom wydawał się, jakby nikt w nim nie mieszkał, jakby wszelkie życie w nim wymarło. Wyglądał ponuro wsunięty w głąb, ciemny, zaniedbany i czarny. Na placu, na którym zwykle targ się odbywał, siedziało zaledwie kilka przekupek, owiniętych szczelnie w chustki i kacabajki, bo dzień był chłodny i drobny lodowaty deszczyk mżył, wszystko bowiem co żyło w Warszawie, wyruszyło na pola Grochowskie, by nieść pomoc rannym, zbierać i grzebać poległych, szukać między nimi mężów, braci lub krewnych.

Gdy Władek z Wojtkiem, otuleni w płaszcze wojskowe, znaleźli się przed zamkniętymi drzwiami domu Heliglasa i poczęli do nich stukać, wychyliła się z sąsiedniej kamienicy jakaś głowa kobieca, popatrzyła na nich ciekawie i rzekła:

— Niech pan oficer kołatką mocno uderzy, to otworzą.

— Dziękuję jejmości, a czy nie wiadomo jej, czy właściciel tej kamienicy jest w domu?

— A lichy go tam wie! — odrzekła jejmość, wysuwając się z sieni — my go tu nie znamy. Niedawno kupił te kamieniczkę, a podobno drugą ma na rybakach. Mówią, że to bogacz, ale ja go jeno raz widziałam i to wieczorem, więc nawet nie wiem jak wygląda. Przychodzą tu do niego jakieś Miemcy i mocno kołatką stukają i nieraz spać

ludziom po nocy nie dają. Więc i pan oficer niech zastuka kołatką, a może usłyszą i otworzą.

Babina była gadatliwa i oparłszy się oburącz na swych szerokich biodrach, zamierzała zapewne dalej opowiadać co tylko wiedziała o swym mało znanym sąsiedzie, gdyby nie to, że Władek posłuchał jej rady i chwyciwszy wiszącą u drzwi żelazną kołatkę w kształcie lwiej głowy, począł nią mocno uderzać. Rozległ się głuchy odgłos i tak silny, że nawet umarłego mógłby zbudzić; zaraz też potem dało się słyszeć powolne, ciężkie, człapiące stąpanie, zgrzyt klucza w zamku, odsuwanie zasów i drzwi się uchyliły ostrożnie, a w otworze tym ukazała się głowa kobieca. Okryta ona była chustką niegdyś czerwoną dziś mocno spłowiałą i brudną, z pod której wydobywały się kosmyki siwych włosów w nieładzie rozrzucone, miotane przez przeciąg wiatru, okalające twarz pomarszczoną straszliwie, pooraną tak, jakby ktoś pługiem po niej przejechał. Po głośnym świszczącym oddechu, zdawało się Władkowi, że poznaje Minę, która w nocy na pobojuwisku dobijała nożem rannych. Straszna ta kobieta, zezowatemi, zaczerwienionymi oczami, pełnemi jadowitej złości, obejrzała obu młodzieńców podejrzliwie i spytała krótko:

— Czego?

— Czy jest pan Heliglas w domu?

Baba ujrzawszy mundury wojskowe, widocznie zaniepokoiła się mocno, bo zezowate, kaprawe oczy poczęły szybko tu i tam biegać, a świszczący oddech stał się

silniejszym; głos jej szorstki i na pół męski stał się miększym, gdy pytała:

— A czego panowie od niego chcą?

— Mam osobisty interes.

— Kiedy pan Heliglas śpi.

— Teraz już jest południe — odezwał się Władek — chyba pan Heliglas miał czas się wyspać.

Uwaga ta, która mimowoli wyrwała się z ust Władka, zaniepokoiła jeszcze bardziej starą wiedźmę, bo oczy jej poczęły szybciej latać, usta drżeć i drzwi przymknęła, jakby się lękała, by dwaj przybysze przemocą nie wtargnęli do wnętrza. Władek ugryzł się w język i zły był na siebie, że niewczesną uwagą wzbudził podejrzenie w strasznej kobiecie i chcąc naprawić sytuację, dodał z uśmiechem:

— Niech się pani nie lęka, nie przychodzimy tu w żadnych złych zamiarach. Mam do pana Heliglasa osobisty interes.

— Czy on pana zna?

— Mnie osobiście nie zna, ale zna moje nazwisko.

— *Ach so!* — szepnęła po niemiecku i dodała po polsku

— niech pan oficer powie swoje nazwisko, a ja postaram się obudzić pana gospodarza i może on pana przyjmie.

— Jestem Jasiński, Władysław Jasiński z Brzozówki.

— Z jakiej Brzozówki?

— Z pod Mińska Mazowieckiego. Jestem wnukiem pani Wilhelminy Schulz i ona mnie tu do pana Heliglasa przysyła.

Teraz dopiero stara wiedźma widocznie uspokoiła się.

Na jej szkaradnych, bezzębnych ustach, ukazał się wstrętny uśmiech i rzekła:

— Pani Wilhelmina Schulz... tak! tak... znam ją, znam. *Ach Herr Je!* czemu pan tego zaraz nie powiedział? Teraz są czasy niespokojne, a nas jest tylko dwoje w domu, pan Heliglas i ja, oboje starzy bardzo, więc musimy być ostrożni. A któż jest ten pan drugi? — spytała, wskazując na Wojtka, który stał, całej tej sceny zgoła nie rozumiał nudził się więc śmiertelnie i głośnie ziewał.

— To jest mój ordynans, także z Brzozówki.

— Z przeproszeniem! — nagle wtrącił się Wojtek — trza też jejmości powiedzieć, że Wojciech Lis, to jest niby ja, jest podoficerem trzeciej kompanji, drugiego bataljonu, pierwszego pułku strzelców pieszych. Widzi jejmość te naszywki?

To rzekłszy, rozpiął płaszcz i w postawie pełnej dumy pokazał srebrne galonki u kołnierza swego munduru i mówił dalej:

— Skoro tedy jejmość wiesz kto my jesteśwa, to nie trza nas trzymać na dworze, na zimnie i deszczu, jeno wpuścić do środka.

Baba z nieukrywaną, źmijowatą złością spojrzała na Wojtka i zwracając się do Władka, rzekła:

— Kiedy pan oficer jest wnukiem pani Wilhelminy Schulz, to musi mówić po niemiecku.

— Mówię!

— A więc dobrze — odezwała się w tym języku — nim pana wpuszczę do sieni, muszę spytać, czy ten *dummer Kerl*

(tu wskazała na Wojtkę) także potrzebuje się widzieć z panem Heliglasem?

Pytanie to zaambarasowało Władka. Wziął on Wojtkę z sobą dla bezpieczeństwa. Szedł do jaskini zbójckiej, mógł się lada czem zdradzić, że wie doskonale co należy trzymać o panu Heliglasie i jego towarzyszach, a ci, zagrożeni śmiertelnem niebezpieczeństwem, Bóg wie czego się mogli dopuścić. W takim położeniu dobrze było mieć przy sobie wiernego towarzysza, a we dwóch, uzbrojeni w szablę i pistolety, mogli śmiało dziesięciu nawet zbirom stawić czoło. Ale teraz, skoro powiedział, że przychodzi jako znajomy w osobistym interesie do Heliglasa, czem usprawiedliwić obecność Wojtkę, żeby w podejrzliwej i przebiegłej wiedźmie nie wzbudzić jeszcze większego podejrzenia. Odrzekł więc wymijająco:

— No, nie... mój ordynans niema żadnego interesu do pana Heliglasa, ale ponieważ chodzi ze mną po mieście, więc i tutaj przyszedł... zresztą, trudno zostawić go na ulicy na zimnie i wietrze...

Baba przez chwilę pomyślała, wreszcie otwierając szeroko drzwi, rzekła:

— Dobrze! niech więc pan oficer i ten *dummer Kerl* wejdzie.

Stała, trzymając drzwi, a gdy weszli szybko je zamknęła z trzaskiem, który głuchym echem zatętniał w sieni. Zaraz też rozległ się zgrzyt zasów i wrzeczadźców, przyczem baba rzekła:

— Zamykam drzwi, bo czasy są niespokojne i trzeba

być ostrożnym i baczny na wszystko. Niech pan oficer się tu zatrzyma, ja skoczę do pana Heliglasa i uwiadomię go o pańskiej obecności.

Rozległy się jej ciężkie, człapiące kroki, otworzyły się jakieś drzwi i wszystko ucichło. Sień, w której znaleźli się oba młodzieńcy, była zupełnie ciemna, tak, że siebie nawet nie widzieli; najmniejszy promyk światła tu nie przenikał. Powietrze w niej było duszne, przepełnione cuchnącymi wyziewami, tak, że z trudnością można było oddychać. Gdy kroki oddalającej się Miny ucichły, Wojtek szepnął:

— Paniczu, strasznie mi się tu niepodoba. Pociśwa tu przyszedł? Zamknęła nas czarownica jak mysz nieprzymierzając, w pułapce. Ciemno, choć oko wykol. Chyba uciekajmy! Tu coś niedobrego się święci. Aż ciarki po skórze przechodzą.

Władkowi także zachowanie się starej wydało się mocno podejrzane, ale skoro już raz tu przyszedł, trzeba rzecz doprowadzić do końca. Nie przypuszczał, by ośmielono się na nim, oficerze polskim, dopuścić gwałtu. Dwóch ich jest i są uzbrojeni. Zresztą, czy Heliglas mógł się domyśleć w jakim celu tu przybyliśmy? Wszystkie ostrożności, zachowane przez straszną Minę, dowodziły tylko tego, że mieszkańcy tego domu nie mają czystego sumienia, że na złodzieju czapka gore. Rzekł więc do Wojtki:

— Nie plótlbyś głupstw. Tchórz byłeś zawsze i jesteś. Z ciebie, widzę, nigdy nie będzie dobry żołnierz.

— Ale... kiej tu ciemno.

— Więc cóż z tego? Poszła donieść gospodarzowi o naszym przybyciu i zaraz wróci. Ciebie zostawię tu zapewne w sieni.

— Ale ja nie chcę sam zostać!

— Trzeba żebyś został. Cóżes ty za żołnierz, kiedy jak baba boisz się ciemności?

— Kiej to czarownica! A przeciw czarom nikt nic nie pomoże.

— Nie pleć głupstw i bądź cicho. Nie twierdzę, żeby nam nie groziło pewne niebezpieczeństwo. Moje przybycie tutaj nie jest pożądaniem dla pana Heliglasa, ale jesteśmy żołnierze polscy i kroku cofnąć się nam nie wolno.

— O laboga! laboga! co to będzie.

— Stul że gębę gamoniu jakiś i słuchaj co ci powiem.

— Słucham ju, słucham!

— Gdyby cię zostawili w tej sieni, to miej się na pogotowiu. Jeżeli usłuszysz mój głos, albo strzał z pistoletu, to biegnij mi na pomoc.

— To tak? to tu będą zabijali?

— Nie mówię tego, ale może się coś podobnego przytrafić.

— O! mój Jezu, Jezusieńku! Ale tu ciemno, to gdzież ja panicza najdę?

— Kieruj się po słuchu. Zresztą, jak baba wróci, powiem, żeby światło zapaliła w tej sieni. Cicho bądź... już idzie i pamiętaj com ci powiedział.

W rzeczy samej, w martwej ciszy, panującej w domu, dały się słyszeć człapiące kroki Miny, otworzyły się jakieś

drzwi ze zgrzytem i ukazała się ona, niosąc kopcący mocno kaganek. Czerwone, chwiejące się światło tego kaganka, padło na jej pomarszczoną twarz i ukazało oczy zezowate, ruchliwe i niespokojne, i dziki niepokój wieszający się na jej ustach. Ubrana była ubogo; miała na sobie jakąś ciężką kacabajkę watowaną i podartą, tak krótką, że nogi obute w stare przydeptane pantofle, widać było do kostek. Kaganek postawiła na ławie pod ścianą, a światło jego ukazało się wąską, kamiennymi płytami wyłożoną, mocno sklepioną, z drzwiami naprzeciwko.

— Przepraszam pana — rzekła Mina po niemiecku do Władka — żem kazała czekać panu w ciemności, ale pan Heliglas jest ubogi i nie mamy za co palić światła.

Poprawiła kaganek i rzekła:

— Pan Heliglas czeka na pana. Proszę za mną!

IX.

Stara wiedźma otworzyła drzwi, w głębi się znajdujące, ukazały się schody kamienne, dość strome i mocno wydeptane, prowadzące na pierwsze piętro.

— Proszę iść na górę. Pan Heliglas tam czeka — rzekła do Władka i gdy wszedł na chody, drzwi za nim zamknęła starannie.

W rzeczy samej na piętrze, na ostatnim schodzie, stał jakiś mężczyzna olbrzymiego wzrostu, którego twarzy jednak, z powodu panujących tu ciemności, Władek

dostrzedz nie mógł.

— To pan masz do mnie interes? — zapytał ten mężczyzna po niemiecku głosem grubym i chrapliwym, głosem, któryby Władek poznał wśród tysiąca innych, tak głęboko wryły mu się w pamięć wypadki nocy ubiegłej.

— Czy pan Heliglas? — zapytał ze swej strony.

— Tak. Pan jesteś z Brzozówki?

— Tak.

— Wnuk Wilhelminy Schulz.

— Tak.

— Proszę za mną!

Otworzył drzwi i wpuścił Władka przodem do niewielkiej izby, na pół ciemnej, gdyż okna, zasłonięte były ciężkimi, burakowej barwy firankami. W izbie tej, dość pustej, oprócz łóżka w kącie, zasłanego mnóstwem poduszek i pierzyn, paru krzeseł prostej roboty i stolików, nic więcej nie było, panowało powietrze duszne i zimne. Podczas gdy Władek rozglądał się dokoła, Heliglas zamykał drzwi i słyhać było jak pchnął zasuwę i klucz w zamku przekręcił. Niepodobalo się to Władowi, ale udał że nie zwraca na to uwagi, zwłaszcza, że dostrzegł w kącie stojące wysokie buty, świeżym błotem pokryte, oraz parę tornistrów żołnierskich, mocno wypchanych. Tymczasem Heliglas, wysunął się na środek pokoju i światło padło na jego twarz, tak, że Władek mógł mu się teraz dobrze przypatrzeć.

Tak! to była ta sama dzika, z wyrazem okrucieństwa i przebiegłości twarz, którą ujrzał minionej nocy nad sobą, tam na poboju Wawerskim przez jedną chwilę,

przy blasku ślepej latarki. To on, ten łotr, morderca, szpieg, złodziej i obdzieracz trupów; który mu zabrał dukaty i kopnął go nogą, obutą zapewne w te same ciężkie, podkute buciska, które oto tam w kącie widać, świeżem błotem, które nie miało jeszcze czasu zaschnąć, obryzgane. Stał on teraz przed nim w swej olbrzymiej, o szerokich barkach, nieco przygarbionej postaci, w szlafmocy na siwiejącej głowie z długimi kosmykami rozczochranych włosów, zarośnięty, z wejrzeniem ponurem i dzikiem, mierząc Władka od stóp od głów. Ubrany był w stary, zniszczony, watowany szlafrok, zasmolony i brudny, i w pantofle na swych wielkich, płaskich nogach. Obejrzawszy Władka, zapytał:

— Pan służysz w wojsku polskiem?

— Jak pan widzisz.

— I z wiedzą i z wolą swej babki?

— Tak.

— No! No! — mruknął i po chwili dodał — ale może to lepiej. No, siadaj młodzieńcze i powiedz, co masz do mnie za interes.

Wskazał krzesło Władowi, sam usiadł na drugim, ale tak, że był tyłem zwrócony do okna, skąd zresztą skąpe padało światło. Przytem pochylił się i twarz napół ukrył w olbrzymich, brudnych i porośniętych jak u niedźwiedzia łapach.

— Babka — począł Władek — wyprawiając mię do Warszawy, poleciła mi zgłosić się do pana, jako do dawnego swego znajomego i przyjaciela.

No, toś pan zrobił. Cóż dalej?

— Przypuszczała, że ja nie wstąpię do wojska, że zatem będę potrzebował mieszkania i radziła mi, żebym je u pana wynajął.

Heliglas podniósł głowę, popatrzył chwilę na Władka i rzekł:

— Pan jednak wstąpiłeś do wojska, do wojska polskiego?

— To jest bardzo naturalne.

— Wcale nie jest naturalne. Pan masz w sobie krew niemiecką i co pana mogą obchodzić sprawy polskie? Dziwię się bardzo pańskiej babce, Wilhelminie Schulz, która była zawsze dobrą Niemką. Ale mniejsza z tem, coż pan chcesz odemnie?

— We wczorajszej bitwie...

— A! Pan byłeś we wczorajszej bitwie?

— Oczywiście rzecz, że byłem... służę w piechocie, jestem adjutantem pułkowym.

— A! adjutantem... prawda, powinienem to być zauważyć po mundurze. No, czemuż panu mogę służyć?

Ton surowy, indagujący, dzikie, urywane spojrzenia, pozbawiły Władka pewności siebie. Był zmieszany i zaniepokojony mocno, odpowiadał wahająco i lękliwie, jak uczeń przed swym nauczycielem, lub winowajca przed sędzią.

— W bitwie wczorajszej — mówił — zabito mi konia, potłukłem się mocno, tratowano mię przytem, słowem jestem chory i osłabiony. Pragnąłbym sobie wypocząć, zwłaszcza,

że prawdopodobnie do nowej bitwy nie tak prędko przyjdzie.

— Tak pan sądzisz? — łysnął złemi ślepiami Heliglas i po chwilowem milczeniu dodał — Ha! może to być, może być. Ale ostatecznie czego pan chcesz?

— Otóż, powołując się na polecenie babki, przyszedłem do pana, czy nie zechciałbyś przyjąć mnie do swego domu, dać mi jaki pokoik, w którym mógłbym przez parę dni spokojnie wypocząć.

Heliglas pochylił się jeszcze bardziej, twarz zakrył rękami jakby się nad czemś namyślał i chwilę trwało głębokie milczenie. Z zewnątrz tylko, z placyku Dunaju Szerokiego dochodził gardłowy krzyk handlarza żydka, wołającego:

— Handel! handel! handel panowie! kupuję, sprzedaję! handel! handel!

Przez tę krótką jednak chwilę milczenia Władek odzyskał zupełnie panowanie nad sobą, pewność i spokój. Widział ciągle przed sobą, stojące w kącie ogromne, podkute buciska, które go wczoraj w nocy kopał Heliglas i wściekłość młodzieńca ogarniała na tego łotra siedzącego przed nim i rozmyślającego nad czemś głęboko.

Wreszcie Heliglas podniósł głowę i rzekł:

— Chcesz więc pan odemnie pokój wynająć?

— Tak.

— Hm!... bo to widzisz pan... wprawdzie jesteś wnukiem Wilhelminy Schulz... ale ja jestem ubogi. czasy ciężkie i niepewne. Djabeł wie, co jutro może nastąpić. Pokój może by się znalazł. Czy pan chcesz z całodziennem utrzymaniem?

— Zapewne, że byłoby najlepiej. Słaby jestem i nie chciałbym wychodzić na miasto.

— Hm... a ile pan dasz za pokój?... oczywiście z pościelą i meblami.

— No tak.

— Więc ile dasz, za pokój, pościel, meble i życie?

Podniósł głowę i patrzył bystro w oczy Władka. Ten ostatni miotany gniewem, podniecany widokiem podkutych butów, których uderzenie czuł jeszcze teraz, postanowił skorzystać z nadarzającej się sposobności i zrobić jeszcze jedną, stanowczą, jak sądził, próbę dla zerwania maski z łotra i zbója.

— O cenę mi nie idzie — odrzekł — zgodzę się na to, co pan proponujesz, tylko... musisz pan poczekać, aż się skomunikuję z babką, co jak pan widzi, teraz jest niemożliwe. Jak tylko będzie można, napiszę do niej, a ona mi przysła pieniądze.

— A to pan nie masz pieniędzy? Jakże to może być? babka cię wyprawiła bez pieniędzy? To dziwne...

— Przeciwnie, babka mi dała nawet dość znaczną sumę, bo ośmdziesiąt dukatów, tylko...

— Tylko co?

Tylko miałem przykry wypadek!

— Wypadek? co za wypadek? zgubiłeś je?

— Nie okradziono mnie.

— Okradziono? co? twoi nowi koledzy w wojsku cię okradli? To może być... może być. Taka zbieranina...

— Myli się pan, panie Heliglas — odparł Władek

surowo — w wojsku polskiem nie ma złodziei. Złodziei trzeba szukać gdzieindziej.

— Więc któż cię okradł?

— Muszę to panu szczegółowo opowiedzieć, bo istotnie zdarzenie, którego padłem ofiarą jest z wielu względów osobliwsze i niesłychane.

— No!... no!... słucham...

— Kiedy mi w czasie ataku grenadjerów gwardji, konia zabito, padłem z nim i on mię przygniótł, tak że się ruszyć nie mogłem. Przytem poturbowano mię tak boleśnie, że straciłem przytomność i nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Przyszedłem dopiero do siebie w nocy i ujrzałem, że dwóch jakichś mężczyzn, z których jeden nazywał się Fryc, oraz dwie jakieś kobiety, obdzierają trupy poległych... Drugi mężczyzna nazywał się...

Nie dokończył, ba Heliglas nagle, jakby tknięty iskrą elektryczną, zerwał się na równe nogi. Straszne jego oczy zaświeciły jakimś złowieszczym blaskiem, wydatne, mięsiste wargi drżać poczęły, a twarz pokryła się śmiertelną bledością. Ręce, potężne, kosmate łapy, ścisnął w kułak, pochylił się naprzód i miał taką minę jakby się chciał rzucić na Władka i udusić go w swych potężnych ramionach. Władek mimowoli także cofnął się parę kroków i rękę położył na szabli.

— Co panu jest, panie Heliglas? — zapytał.

Słowa te uspokoiły odrazu olbrzyma. Wyprostował się i głosem zduszonym, chrapliwym, wydobywającym się z głębi gardła, zawołał:

— A ten drugi mężczyzna... jak się nazywał?

— Otóż to — odrzekł Władek spokojnie — zapomniałem. Wiem tylko, że to było nazwisko niemieckie. Zagrożony śmiercią, bo jedna z kobiet dobijała nożem rannych myślałem nie o nazwiskach łotrów, ale o własnym bezpieczeństwie.

— A więc pan zapomniałeś? ale może sobie przypomnisz!

— Wątpię bardzo. Dziś rano długo nad tem myślałem, grzebałem w pamięci, ale przypomnieć sobie nie mogę. Zresztą słyszałem je niedokładnie...

Heliglas usiadł, mruczając jakieś przekleństwo pod nosem. Ze szlafroka wydobyl kraciastą, brudną chustkę, obtarł nią zroszone potem czoło, choć w izbie było zimno jak w psiarni, i rzekł, głosem ciągle zduszonym i ponurym, rzucając ukośne, straszne spojrzenie.

— Więc pan nie pamiętasz tego nazwiska?

— Nie, nie pamiętam.

Zapanowało chwilowe milczenie, cisza, w której drżała groźba burzy szalonej. Heliglas znów głowę pochylił, zgarbił się, twarz rękami zakrył i siedział tak, zapewne rozmyślając nad niebezpieczeństwem swego położenia. Władek nie przerywał tej złowróżbnej ciszy, tylko patrzył na łotra zaniepokojonego mocno. Wreszcie Heliglas podniósł głowę i uśmiechając się, co go jeszcze straszniejszym czyniło, rzekł:

— Nie dziw się młodzieńcze, że mię twoje opowiadanie wzburzyło. Powiadasz, że ci niecni obdzieracze trupów byli Niemcami?

— Tak, mówili po niemiecku, jeden z nich nosił miano Fryc, drugi miał także jakieś nazwisko nie polskie. Dla mnie wreszcie nie ulega wątpliwości, że to byli Niemcy, bo Polak tak ohydnej zbrodni nigdyby się nie dopuścił.

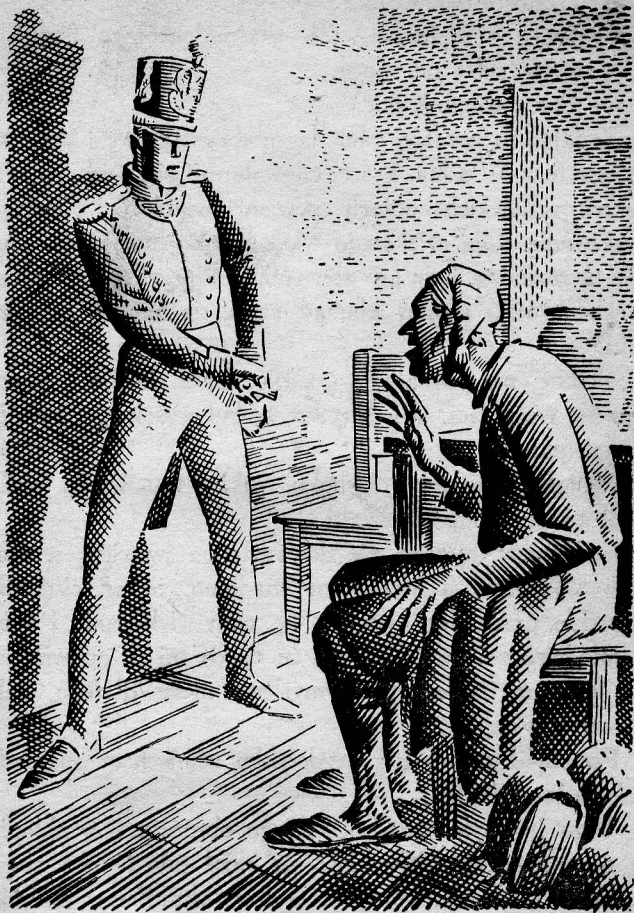
Heliglas usłyszawszy to zdanie, począł się śmiać, ale ten śmiech robił na Władku nadzwyczajnie przykre wrażenie. Był to śmiech cichy, jednym tylko drganiem całego ciała się zdradzający, śmiech łotra i zbója.

— Masz pan idealne pojęcia o Polakach — rzekł nakoniec Heliglas — znam ja ich lepiej od ciebie, młodzieńcze, i wiem co o nich trzymać. Jakąż masz pewność, że ci obdzieracze trupów umyślnie dla lepszego ukrycia się, dla zohydzenia naszej narodowości, mówili po niemiecku i niemieckie przybrali nazwiska, a w istocie mogli być Polakami lub Rosjanami? Zkądby się bowiem tam wzięli Niemcy?

— Nie wątpię ani na chwilę, że to byli Niemcy — odparł Władek — zbyt dobrze mówili po niemiecku.

— To niczego nie dowodzi i mniejsza o to. Uspokoilem się już, bo w pierwszej chwili wielki gniew mnie ogarnął na myśl, że ktoś może rzucić takie ohydne oszczerstwo na mych współrodaków. Ale teraz jestem prawie pewny, że to nie byli Niemcy. Mój naród jest narodem cnoty i bojaźni Bożej. Omyliłeś się młodzieńcze, łatwo dałeś się zwieść mową i nazwiskami niemieckimi. Lecz, powtarzam, mniejsza o to. Wróćmy do rzeczy. Mówiłeś, że ci pieniądze skradziono. Czy owi obdzieracze trupów je skradli?

— Tak.



Zerwał się z krzesła i kładąc dumnie dłoń na rękojeści szabli
zawołał...

— I któż mianowicie?

— Jeden z mężczyzn, ten właśnie, którego nazwiska przypomnieć sobie nie mogę.

— Czy poznałbyś go?

Zadając to pytanie, Heliglas podniósł głowę i wpatrzył się znowu w Władka, który, zdawało mu się, widzi w tych dzikich zbójceckich oczach pewien niepokój i dręczące oczekiwanie. Dla większego więc uspokojenia zbója, choć cała ta rozmowa była mu niewymownie przykłą, zwłaszcza, że wielokrotnie musiał kłamać, czym się zawsze brzydził, rzekł:

— Nie, nie poznałbym go. Noc była ciemna i twarzy jego nie widziałem. Wiem tylko, że był wysokiego wzrostu, tak jak pan.

Heliglas odetchnął głęboko, jakby mu wielki ciężar spadł z serca i odpowiedział:

— Wzrost niczego nie dowodzi: na świecie jest dużo ludzi wysokich, a przy tem wiadomo, że w ciemności wszystkie przedmioty wydają się nam większemi. I wiesz co młodzieńcze? zdaje mi się, że to co mi tu opowiadasz, jest poprostu zręcznym wymysłem, może dlatego, żeby mię wzruszyć...

Przechylił głowę i z szyderskim uśmiechem spoglądał z ukosa na Władka.

Tego już było zanadto; takiego obrotu rzeczy chłopiec się nie spodziewał. Nie dość, że miał przed sobą zbója, mordercę i rabusia, który go w nocy okradł i w dodatku nogą kopnął; nie dość, że wszystkimi siłami wstrzymuje

się by nie wybuchnąć, ten łotr, zbój i morderca ośmiela się zarzucać mu kłamstwo w celu jakoby wyłudzenia od niego pieniędzy. Zerwał się więc z krzesła i kładąc dumnie dłoń na rękojeści szabli, zawołał:

— Mości panie, obrażasz mię, obrażasz w mej osobie wojsko polskie. Odpowiesz mi za to.

Heliglas począł się znowu śmiać swym cichym, zduszonym wewnętrznym śmiechem, objawiającym się na zewnątrz tylko trzęsieniem się brzucha i piersi, i rzekł:

— He! he! he! młody człowieku, czy myślisz, że ja się ulęknę twej zabawnie wojowniczej postawy i twego pałasza? Te mury są grube, bardzo grube i żaden głos, choćby najsilniejszy, stąd na ulicę się nie przedostanie.

— Co to znaczy, mości panie? czy to groźba?

— To nic nie znaczy; tak sobie powiedziałem.

— Ale pan mnie obraziłeś.

— Wcale nie miałem tego zamiaru. Zażartowałem sobie, a czyż mnie staremu przyjacielowi Wilhelminy Schulz, nie wolno z jej wnuka żartować? Zresztą, gdybyś był mi zupełnie obcym, to taka, zrécznie wymyślona historia, o jakichś nocnych obdzieraczach trupów... w naszych czasach, obdzieracze trupów! Boże miłosierny, jak ta młodzież jest naiwną!

Podniósł złe oczy do góry, ciężkie, kosmate łapy złożył jak do modlitwy i mówił dalej:

— Od obcego, gdybym usłyszał taką historję, oburzyłbym się boby to wyglądało na haniebny wyzysk, ale w ustach wnuka Wilhelminy Schulz, uważam ją za zréczny

figiel. Bo i cóż idzie? Stary Heliglas siedzi zapewne na pieniądzach, tak sobie myślałeś młodzieńcze, jest przyjacielem mej babki, ja dane mi dukaty przehulałem, trzeba coś wymyślić, starego podskubać, a on się tam później z babką porachuje. Co? nie tak myślałeś? przyznaj się! He! he! he!

I śmiał się znowu cicho swym strasznym śmiechem. Władek oburzony do najwyższego stopnia, chciał już cisnąć mu w twarz groźne oskarżenie, ale powstrzymał się i zawołał:

— Jeszcze raz panu powtarzam, że odpowiesz mi za to. Porachujemy się z sobą.

I ruszył ku drzwiom, chcąc wyjść.

— Powoli, powoli młodzieńcze — rzekł Heliglas — nie masz się czego obrażać. Więc twierdzisz, że to wszystko coś mi opowiedział, jest prawdą?

— Tak, jest prawdą.

— A może ci się to śniło? może przeczytałeś jaki głupi romans i ustępy z niego przysniły ci się w nocy?

— Nie mam co na to odpowiedzieć. Proszę mię stąd wypuścić.

Heliglas powstał i rzekł:

— Przypuśćmy, że prawdą jest, iż konia pod tobą zabito, że padłeś nim przygnieciony, że straciłeś przytomność; jakąż jest pewność, że w takim stanie nie była cała ta historia o obdzieraczach trupów wytworem chorobliwej wyobraźni, fantasmagorją gorączki? Nie gniewaj się, że ci robię tę uwagę, ale rzecz jest zbyt poważna, oskarżenie

zbyt groźne by je można lekko traktować. Czy zastanowiłeś się nad tem?

— Zastanowiłem się dobrze i wiem, co mówię. Najlepszym dowodem prawdy moich słów, jest to, że tu, w tej kieszeni miałem wczoraj wieczorem jeszcze około czterdziestu dukatów w złocie, a dziś ich nie mam.

— Czterdzieści dukatów! zdaje mi się, że poprzednio mówiłeś, iż babka dała ci ich ośmdziesiąt.

— Tak, ale musiałem sobie mundur i inne rzeczy potrzebne kupić, tak, że mi zostało około czterdziestu dukatów.

Heliglas umilkł, usiadł, znów się pochylił, głowę schował w dłonie, myślał, wreszcie nie podnosząc oczów, spytał:

— Mniejsza z tem. Więc chcesz odemnie pożyczyć pieniędzy?

— Nic nie chcę. Proszę mię stąd wypuścić.

Heliglas powstał i wpatrzył się dziko we Władka.

— Nie chcesz?

— Nie chcę.

— Aa!... no, skoro nie chcesz, ja się nie napieram z moimi pieniędzmi, których zresztą nie mam i musiałbym sam dla ciebie pożyczyć. Ale dla wnuka Wilhelminy, gotów byłbym to zrobić. Skoro jednak nie chcesz, to trudno. No! a jakże będzie z mieszkaniem? Mam tu pokoik na górze, nie wielki, ale wygodny...

— Nie chcę u pana mieszkać! Jeszcze raz proszę mię stąd wypuścić.

— A! mam pana wypuścić? no! wiesz młodzieńcze, że mógłbym cię tu zatrzymać...

— Zatrzymać? — zawołał Władek, kładąc dłoń na szabli — a to jakim prawem?

— A choćby prawem mocniejszego...

— Ta szabla i te pistolety obronią mię od gwałtu.

— Kpię sobie z twojej szabli i twoich pistoletów! Ja mam jeszcze inne prawa do ciebie.

— Nie masz pan żadnych praw do mnie!

— Mam! jesteś wnukiem mej przyjaciółki Wilhelminy; uciekłeś wbrew jej woli do wojska, oddała cię pod moją opiekę, mam prawo cię tu zatrzymać i uchronić od strasznych następstw tej głupiej wojny. Jesteś Niemcem i nie wolno ci narażać głowy za tych marnych Polaków i ich nędzną ojczyznę.

— Milcz pan i nie nadużywaj mej cierpliwości.

— Drwię sobie z twojego gniewu. Ale nie! — dodał po chwilowym namyśle — nie chcę cię zatrzymywać. Idź sobie na złamanie karku, kiedy taka twoja wola, tylko ostrzegam się, nie opowiadaj nikomu tej niemądrej historii o jakichś tam obdzieraczach trupów, bo ci się każdy w oczy roześmieje.

I sam się śmiał jak zwykle gdzieś we wnętrzu swego olbrzymiego cielska i szedł krokiem ciężkim ku drzwiom, które otworzył i kłaniając się z szyderskim na ustach grymasem, wypuścił Władka. Potem wyszedł za nim na schody i gdy młodzieniec był już na dole, zawołał:

— Hej, młodzieńcze! Jak się namyślił, a sądzę, że

na tyle jesteś rozsądny, że skorzystasz z mej dobrej rady, to przyjdź do mnie, dziś, jutro, lub kiedy ci się spodoba, a ja ci pokoik na górze wynajmę, a może nawet pożyczę pieniędzy.

Władek tłumiąc w sobie ogarniający go gniew, nic na to nie odrzekł i słyszał tylko, jak Heliglas śmiał się dalej. Gdy już znalazł się w sieni, gdzie Wojtek siedział na ławie, a obok niego stara wiedźma Mina, zdawało mu się, że słyszy gruby głos Heliglasa wołającego:

— Fryc, pójdz prędko!

Mina ze złowrogim spojrzeniem i w milczeniu otworzyła ze zgrzytem ciężkie drzwi i niebawem obaj młodzieńcy znaleźli się na ulicy. Obaj odetchnęli głęboko, gdy nakoniec z tej ponurej, dusznej i zdradzieckiej nory zbójckiej, wydobyli się pod chmurne, ale szerokie niebo dnia jasnego.

X.

Władek wyszedłszy z Wojtkiem na ulicę, westchnął z głębi piersi, tak przykrą dlań była rozmowa z Heliglasem. Szybko skierował się na środek placyku i tu zatrzymując się, zwrócił się twarzą do domu Heliglasa i rzekł:

— Słuchaj Wojtek bacznie co ci powiem, bo tu idzie o ojczyznę.

Słucham panicza.

— Rodzielimy się tu zaraz. Ty pójdziesz na tamtą stronę placu, pod jakimkolwiek pozorem zatrzymasz się

i będziesz uważał, czy kto z domu tego łotra nie wyjdzie i nie będzie mnie szpiegował.

W tejże chwili Władek, nie spuszczać oka z domu Heliglasa, zauważył, że na pierwszym piętrze firanka ostrożnie się podniosła i na chwilę ukazała się jakaś głowa, szybko obrzuciła plac oczami i znikła.

— Jestem pewny — mówił dalej — że wyślą za mną szpiega, który mi będzie deptał po piętach. Ty wejdź do pierwszego lepszego sklepiku, kup cokolwiek, a potem idź zdaleka za szpiegiem, ale tak, żeby cię nie zauważył. Rozumiesz o co mi idzie?

— Rozumiem, co nie mam rozumieć? Jenó widzi mi się, że najlepiej by było chwycić bezskórcje szpiega za kark i oddać go na ratusz. Po co z takim sufraganiem tyle ceregieli?

— Nie rozumię, tylko słuchaj. Już ja wiem, co robię. Rozejrzymy się zatem, ty na lewo, ja na prawo i uszy do góry. Staraj się przybyć jak najprędzej pod Białego Orła, gdyż natychmiast wracamy do obozu.

To rzekłszy, Władek ruszył szybko naprzód. Deszcz drobny, zimny, nieznosny padał, więc otulił się płaszczem, czapkę nasunął na uszy i biegł, rozmyślając nad swą rozmową z Heliglasem, nad dziwną osobą tego ostatniego, nad jego zuchwalstwem, śmiałością, całą tą mieszaniną łotrowstwa i dobroduszości. Wdzięczny był Bogu, że go wyprowadził zdrowo z tej prawdziwej jaskini zbójeckiej, bo była chwila, że zwątpił o tem, zwłaszcza gdy sobie przypominał słowa Heliglasa o grubości murów jego

kamienicy i że żaden głos, choćby najsilniejszy, z nich się na ulicę nie przedostanie. Jeżeli więc Heliglas, który doskonale zapewne rozumie grożące mu niebezpieczeństwo, wypuścił cało i zdrowo obu młodzieńców, to dlatego niewątpliwie, że był pewnym, iż Władek nie wie wcale, kto był owym mężczyzną, który mu zabrał dukaty. Ponieważ jednak strzeżonego Pan Bóg strzeże, więc Heliglas wysłał szpiega, owego Fryca, którego wołał w chwili, gdy Władek spuszczał się na dół, żeby krok w krok chodził za tym ostatnim i wszystkie jego czynności miał na oku. Wprawdzie, rozmyślał dalej Władek, Heliglas doskonale to pojmował, że najlepiej by było, gdyby niebezpiecznemu świadkowi nocnej wyprawy na pobojuwisko Wawerskie, raz na zawsze zamknąć usta i była chwila, że naprawdę miał ten zamiar, mówiąc o grubych murach, tłumiących wszelkie głosy, ale zapewne powstrzymała go od nowej zbrodni ta myśl, że nagłe zniknięcie dwu wojskowych, z których jeden był oficerem i adiutantem pułkowym, zanadto by wiele narobiło hałasu i może dobadanoby się prawdy.

Tak sobie Władek tłumaczył niektóre ustępy swej rozmowy z Heliglasem i spieszył szybko naprzód, nie oglądając się wcale, żeby nie zdradzić się z tem, w razie jeżeli Fryc go szpieguje, że odgadł zamiary łotrów. Skręcił na Dunaj Wąski, przebiegł go prędko i na chwilę zatrzymał się na rogu Podwała, jakgdyby wahał się którądy się ma udać, a właściwie dlatego, by nieznacznie rzucić okiem za siebie i przekonać się, czy jest szpiegowany i czy Wojtek

spełnia należycie jego polecenie. Na ulicy było prawie pusto. Nieznośny, lodowaty deszcz zmusił wszystkich do schronienia się do domów; w pobliżu niego stały tylko dwie dziewczyny w chustkach na głowach, z koszykami na rękach, zapewne służące i rozmawiały głośno o swoich państwach.

— Pedam pannie — mówiła jedna — moja to taka skąpa, że krupy liczy w garnku, z kuchni nie wychodzi i ciągle krzyczy, ale ja nie taka głupia jezdem, nie dam sobie w kaszę dmuchać i ząb za ząb z nią się kłócę...

— A moja — mówiła druga — wcale nie patrzy co ja robię. Co kupię, choćby ostatnie ochłapy i co ugotuję, to zjedzą. Pedam pannie, strasznie głupie państwo i ja też od nich nie odejdę, chyba że pójdę za męża.

— A ma panna Marjanna kawalira?

— Przecie, że mam.

— Pana Ignaca z czwartaków?

— Może Ignaca, a może z jenszego pułku.

Władek słuchał niby tej rozmowy, a tymczasem szybko spojrzał za siebie. W odległości może trzydziestu kroków, stał jakiś mężczyzna, ubrany jak robotnik, w czapce zasmolonej na głowie, w krótkim kubraku, w butach juchtowych, niski, krępy, z charakterystycznym niemieckim zarostem dokoła twarzy, z rękami w kieszeniach i bacznie niby przypatrywał się jednej z kamienic, ale Władek zauważył, że rzucił szybkie przelotne spojrzenie w jego stronę.

— Otóż i mój szpieg! — pomyślał sobie Władek i począł szukać oczami Wojtka.

Ukazał on się właśnie na rogu ulicy i zobaczywszy, że Fryc, (bo niewątpliwie on na rozkaz Heliglasa śledził Władka) stanął, zatrzymał się także i pochyliwszy się, coś sobie niby koło butów zaczął poprawiać. Roześmiał się Władek w duszy na widok tego manewru i szepnął:

— Jak na Wojtka, pomysł wcale dowcipny.

Bawiła go bardzo ta gra tajemnicza w dużym mieście, na ulicach, na których przesuwano się wiele osób, nie domyślających się wcale, jaki dramat rozgrywa się między temi trzema mężczyznami, pozornie nie znającymi się wcale. Uspokojony co do tego, że Wojtek ma na oku Fryca, ruszył dalej przyśpieszonym krokiem, przebiegł Podwale i skierował się na ulicę Długą. Umyslnie wybrał tę drogę, bo ulica Długa, prosta, szeroka, nie dawała możliwości szpiegowi ukrywania się i musiał iść otwarcie i tym sposobem Wojtek miał sposobność przypatrzenia mu się dokładnie. Szedł on ciągle i nawet nie starał się ukrywać, a jeżeli to robił, to dość niezręcznie. Tym sposobem odprowadził Władka do zajazdu „pod Białym Orłem” na Tłomackiem.

Niebawem zjawił się Wojtek.

— Cóż nasz szpieg? — spytał Władek.

— Ano cóż? stanął sobie z boku i czeka — odrzekł Wojtek i dodał: — ja ta nie wiem, co panicz sobie myśli i dlaczego z takim sufraganiem tyle ceregieli. Żeby tak na mnie, zarazbym bezkórcoję za kark chycił i chodź ometro ze mną na ratusz.

— Wracamy do obozu, idź, zawołaj dorożki, a uważaj

co szpieg robi i gdzie stoi. Ja będę czekał na ciebie w sieni i zaraz skoczmy do dorożki, żeby szpieg nie miał możliwości nas gonić.

Wojtek niechętnie machnął ręką, bo mu się te ceregiele, jak mówił, zgoła nie podobały, ale poszedł. Gdy dorożka, o którą było dość trudno, bo wszystko pociągnęło na Pragę do wojska, zajechała, Władek już czekał w sieni i natychmiast kazał ruszać woźnicy pędem do obozu.

— Gdzie szpieg? — pytał Wojtkę, rozglądając się dokoła.

— Poleciał za mną i obaczywszy, że wołam dorożki, zapewne poszedł także szukać innej dla siebie. Ale mu się to nijak nie uda, bo dorożek wcale niema.

Władek kilkakrotnie się obejrzał, ale szpiega nie dostrzegł i obaj młodzieńcy spokojnie zajechali na Pragę, a stąd do swego pułku, obozującego w Olszynie.

Tutaj pierwszą czynnością Władka było ruszyć do pułkownika Wolskiego, zabrawszy ze sobą Wojtkę, ze stanowczym zamiarem opowiedzenia wszystkiego, co tylko wiedział o Heliglasie i jego towarzyszach. Pułkownik Wolski mieszkał w namiocie, ustawionym pod grubym drzewem olszowem i zdziwił się bardzo, gdy ujrzał Władka.

— Jakto, już wracasz? tak prędko się wyleczyłeś? — spytał.

Wracam, bo mam ważnych udzielić panu pułkownikowi wiadomości.

— No, cóż takiego?

Ponieważ u pułkownika znajdowało się kilku starszych

oficerów, więc Władek rzekł, że może tych wiadomości udzielić samemu tylko pułkownikowi.

— Do kroćset! — zawołał tenże — to coś, widzę, bardzo ważnego!

— Tak, panie pułkowniku. O sprawie tej winien wiedzieć wódz naczelny, Rząd narodowy, władze najwyższe, ale ponieważ, pan, panie pułkowniku, jesteś moim komendantem bezpośrednim, więc pana najprzód o tem zawiadamiam, byś ze swej strony uwiadomił kogo należy jeżeli uznasz stosowne.

— Do kroćset batalionów! więc to sprawa polityczna? idzie o los kraju, wojska, co?

— Tak, panie pułkowniku.

— Nie wątpię, że rzecz jest ważna skoro tak; nie przypuszczam byś, mości adjutancie, chciał się narazić na surową odpowiedzialność za próżne niepokojenie mnie i innych.

A obracając się do oficerów zawołał:

Mości panowie, proszę nas zostawić samych z panem adjutantem.

Gdy wszyscy, widocznie dość niechętnie wyszli z namiotu, Władek opowiedział pułkownikowi najprzód to, co słyszał od Wojtka, o podejrzeniach i poszukiwaniach, jakie czynił szewc Rosolik, zwany Rosolskim, z Solca; mówił o świeżych bułkach, gazetach, no! i zapewne wiadomościach, jakie codziennie rano Dybicz w Miłosnie z Warszawy otrzymywał, o śledzeniu szpiega przez syna Rosolika i o tem, co mu jego ciotka z Miłosny opowiadała.

— Do kroćset! — zawołał pułkownik, wysłuchawszy tego opowiadania — to bardzo ważne, ale dlaczego ten szewc, jak go tam nazywasz?

— Rosolik, panie pułkowniku.

— Otóż to... dlaczego ten szewc nie uwiadomił o wszystkim natychmiast gubernatora Warszawy, tylko sam, na swoją rękę działał i tym sposobem szpiegów ostrzegł? Dlaczego wreszcie waćpan, mości adjutancie, dowiedziawszy się o tem, natychmiast mnie nie uwiadomiłeś, nie dopiero dzisiaj?

— Owszem, panie pułkowniku, chciałem pana zaraz o tem zawiadomić i dlatego wczoraj rano, choć się urlop nie skończył, wróciłem do obozu, ale rozpoczynająca się bitwa nie pozwoliła mi zajmować się sprawą szpiegów. Przytem pan pułkownik na samym początku skrzyczał mię mocno i kazał jechać do generała Skrzyneckiego.

— Hm!... no tak... masz waćpan rację... w rzeczy samej wczoraj nie było czasu na zajmowanie się szpiegami, ale czemu, do kroćset, dziś rano nic mi o tem nie mówiłeś?

— Zaraz to panu pułkownikowi objaśnię.

Tu Władek opowiedział czego był świadkiem nocy wczorajszej, leżąc na pobojuwisku w pobliżu karczmy Wawerskiej; przytoczył nazwisko mężczyzn, Heliglasa i Fryca, oraz kobiet Miny i Neldy, ich morderstwa, rabunki i spłoszenie ich nakoniec przez sierżanta Rozworę i podoficera Wojciecha Lisa.

— Hm! — rzekł na to pułkownik — dziwna historia! obdzieranie trupów w naszych czasach i do tego w obliczu

obu armji! Więc według waćpana, mości adjutancie, to byli ci sami łotrzy, którzy Dybiczowi codzień do Miłosny zawożą bułki, gazety i wiadomości?

— Tak, panie pułkowniku, wszak sam słyszałem, jak jedna z kobiet, Nelda imieniem, wspominała o śledzeniu ich przez szewca Rosolika. Rozumiem. Ale twoim obowiązkiem młodzieńcze było uwiadomić mię zaraz w nocy, jak tylko przyniesiono cię do obozu, o całej sprawie. Dla czego do kroćset nie zrobiłeś tego, co?

— Może źle postąpiłem — niewiem... ale miałem do tego uzasadnione powody, które zaraz panu pułkownikowi przedstawię.

— Słucham.

Więc Władek począł mówić o swej babce, o napadzie kozaków na Brzozówkę i jak on ich powitał, potem o ucieczce i poleceniu, jakie mu dała babka, ażeby w Warszawie udał się do niejakiego Heliglasa, właściciela domu na Szerokim Dunaju, jej dawnego znajomego, jak na polu bitwy w nocy dowiedział się, że jednym z obdzierających poległych jest Heliglas, postanowił się przekonać, czy przyjaciel babki i rabuś nocny, jest jedną i tą samą osobą. Wobec tego nic nikomu nie mówiąc, poprosił o urlop niby w celu wyleczenia się, a w rzeczy samej dla zbadania tej kwestji. Tu opowiedział szczegółowo swą rozmowę z Heliglasem, z której przekonał się, że znajomy babki i obdzieracz trupów jest tem samem indywiduum. Dodał w końcu, że Heliglas zaniepokojony jego wizytą, kazał go śledzić swemu kamratowi Frycowi, ale że siadłszy

do dorożki, zdołał mu się wymknąć.

Pułkownik, wysłuchawszy tego wszystkiego, wybuchnął:

— Milionset kul i kartaczy! ten łajdak ośmielił się szpiegować ciebie? czemu, mości adjutancie, natychmiast nie schwyciłeś go za koltierz i nie przywiodłeś tu do mnie! Wisiałby już szelma na tej oto olszynie! Cóżes waćpan za żołnierz i jak ośmieliłeś się na własną rękę działać, nie uwiadomiwszy o wszystkim zwierzchności twojej? Oto, do czego doprowadza wpuszczenie do armji młokosów! Uwiadomię o całej sprawie i o tem postępowaniu jenerała, a potem mi pójdziesz waćpan na czterdzieści ośm godzin na odwach na Saski plac. Do miliona djabłów rogatych!

Tu Władek nieco zmieszany tym wybuchem gniewu krzykliwego pułkownika, rzekł:

— Panie pułkowniku... przepraszam... może źle zrobiłem, ale działałem w najlepszej intencji, sądziłem...

— Nic panu nie wolno sądzić, masz słuchać i basta!

— Ale ja nie przypuszczam jednak, bym w czem zaszkodził naszej sprawie...

— Nie przypuszczasz? bo pstro we łbie masz, mości adjutancie. Właśnie, że zaszkodziłeś, boś łotrów ostrzegł. Teraz będą się mieli na ostrożności. Bodaj to siarczyste pioruny! Oni ośmielają się mego adjutanta, podchorążego pierwszego pułku strzelców, śledzić na ulicach Warszawy i ten frant, mając pałasz przy boku, ucieka dorożką przed szpiegiem. Milionset batalionów, jak świat światem, to jeszcze nic podobnego nie było. Pójdziesz waćpan na odwach, a teraz zabieraj się pojedziemy do jenerała, przed-

stawię mu rzecz całą natrze ci on uszów. Marsz! czekać na mnie przed namiotem!

Władek wyszedł jak niepyszny i z nosem spuszczoneym na kwintę. Nie przypuszczał, żeby taki był rezultat jego postępowania, za które spodziewał się raczej pochwały, a tu tymczasem został ciężko złażany i zagrożony karą. Wojtek czekał na niego w pobliżu, stał z miną niedbałą i naśladując starych żołnierzy, ćmił z krótkiej fajeczki tytoń, a nieprzyzwyczajony do tego, krzywił się, splotał, ale palił, choć widocznie niedobrze mu się robiło, bo pobladł mocno i z nogi na nogę przestępował. Ujrawszy Władka, zbliżył się do niego i spytał:

— No i cóż paniczu?

Władek był zły, więc zobaczywszy Wojtkę w niedbalej i poufnej postawie, z fajeczką w ustach, której na chwilę niewypuścił choć bladł coraz bardziej, krzyknął:

— Przedewszystkiem, gawronie jakiś, kiedy mówisz do starszego, masz fajkę z gęby wyjąć!

Wojtek spojrzał na swego panicza szeroko rozwartemi oczami, fajkę wyjął i mruknął:

— A niech ją ciurności wezmą! jakoś mi niedobrze na wewnątrz.

W tejże chwili ukazał się pułkownik ubrany w mundur i kapelusz stosowany, przy szpadzie i krzyżu. Szedł z miną groźną, wąsami ruszał i gniewnym wzrokiem spoglądał dokoła. Ujrawszy Wojtkę, krzyknął:

— A ty czego się tu włóczysz? coś ty za jeden?

Wojtek wyprostował się jak struna, rękę do czapki przyłożył i rzekł:

— Ja jestem Wojciech Lis, podoficjer pierwszej kompanji, pierwszego batalionu, a tyż ordynans panicza.

— Jakiego panicza? co ten osioł mi tu prawi?

Władek uznał za stosowne wmieszać się w tę rozmowę, zwłaszcza, że Wojtek tak zbladł, iż lada chwila można się było obawiać nieprzyjemnych skutków świeżo przezeń wypalonej fajki, rzekł więc:

— To jest mój ordynans, panie pułkowniku.

— A! to z nim waćpan zapewne jeździłeś do tych tam szpiegów i zmykałeś dorożką.

Tak, panie pułkowniku.

— Ja go także nauczę moresu! Marsz obadwaj za mną!

Ruszył przodem rzucając dokoła groźne sporzenie, salutowany po drodze przez żołnierzy i oficerów, a za nim obaj młodzieńcy z minami bardzo rzadkimi, zwłaszcza Wojtek, który nagle został gdzieś w tyle, ukrył się w krzakach olszyny i dopiero po niejakej chwili ukazał się błądy jeszcze bardziej, obcierając usta i mrucząc:

— Żeby cię wciurności! zemgliło mię... ale to pewnikiem z głodu, nie z tytoniu. Gdzieby ta z tytoniu mogło zemglic podoficjera strzelców! nijak nie może być, jeno z głodu.

Jenerał Skrzynecki założył swą kwaterę w pobliżu Olszynki, w napół rozwalonej chałupie, w której wybite okna zaklejono chwilowo papierem, a wyłamane drzwi zastąpiono jakimś mocno wyszarzanym kobiercem. Pułkownik Wolski, rozkazał obu młodzieńcom, Władowi i ciągle

blademu jak śmierć Wojtkowi, zaczekać przed kwaterą jeneralską, a sam zameldowawszy się, wszedł do środka. Bawił tam dość długo, wreszcie ukazał się adjutant i zawołał:

— Podchorąży Władysław Jasiński i podoficer Wojciech Lis, do pana jenerała.

Poszli zatem obaj. Zastali jenerała Skrzyneckiego i pułkownika Wolskiego siedzących przy prostym, z grubsza tylko obrobionym stole, na którym leżało mnóstwo papierów. Gdy stanęli we drzwiach, obaj wyprostowani jak struny, jenerał po kilku wstępnych słowach, w których wyraził Władkowi lekką naganę za to, że nie uwiadomił zaraz swego komendanta o obdzieraczach trupów na pobojowisku i że sam zajął się śledztwem, rzekł w końcu:

— Tak, jak obecnie stoi ta sprawa, dzięki twemu, panie adjutancie postępowaniu, sądzę, że nie trzeba o niej uwiadamiać policji, jakby to należało z początku zrobić. Teraz policja narobiłaby tylko hałasu, a może dla ukrycia swego niedołęstwa rzecz by całą zatarła. Nieraz ona to już zrobiła. Otóż moi adjutancie, po naradzie z panem pułkownikiem przyszliśmy do przekonania, że skoro już zacząłeś na własną rękę prowadzić tę sprawę, to prowadźże ją dalej, z tym warunkiem, żebyś nam o każdym swym kroku raport składał. Czy zgadzasz się na to?

— Skoro pan jenerał rozkazuje...

— Ja nie rozkazuję tutaj, tylko proponuję ci samodzielne zajęcie się tą sprawą.

— Wykonam wszystko, co tylko będzie w mej mocy.

— A więc dobrze! Nie potrzebuję ci mówić, że należy zachować jak najgłębszy sekret. Podług mnie, trzeba żebyś sobie wziął paru ludzi, znanych ci dobrze i pewnych, udał się wieczorem w ubraniu cywilnem do tego tam szewca na Solcu... jak to on się nazywa?

— Rosolik dawniej, a teraz po ślachecku szewiec Rosolski ze Szulca, panie jenerale! — zawołał Wojtek.

Jenerał spojrział na odzyskujące powoli swe barwy naturalne puciołowate oblicze Wojtka, uśmiechnął się i rzekł:

— Zapewne tego zucha weźmiesz ze sobą?

— Tak, panie jenerale, prosiłbym też o sierżanta czwartego batalionu Mateusza Rozworę — odrzekł Władek.

— Dobrze, weź go sobie. Udasz się dziś na Solec do tego Rosolika czy Rosolskiego i wspólnie obmyślicie działanie tak, by na gorącym uczynku zdrady schwycić tych tam łotrów. Sądzę bowiem, że oni w nieustannym są związku z nieprzyjacielem. Pan pułkownik zechce panu adjutantowi z kasy pułkowej wypłacić potrzebną sumę. A teraz do widzenia i życzę powodzenia.

Skłonili się i wyszli za pułkownikiem. Władki posuwał się zamyślony, gdy nagle Wojtek trącił go i szepnął:

— Panicz! widzi panicz tego sufragana, który panicza szpiegował dzisiaj na ulicach w Warszawie?

XI.

W rzeczy samej Wojtek się nie mylił. Tyłem do nich, w odległości kilku kroków, stał jakiś mężczyzna, ubrany w kubrak stary, buty juchtowe, w zasmoloną czapkę, na tył głowy zasuniętą, niski, krępy, o szerokich barkach, znamionujących niepospolitą siłę fizyczną. Już po tem ubraniu Władek poznał w nim tego człowieka, który dziś rano szpiegował go na ulicach Warszawy. Właśnie gdy się zbliżali, obrócił się bokiem i siwiejące faworyty, okalające obyczajem niemieckim całą twarz, utwierdziły Władka w tem przekonaniu, że ma przed sobą nie kogo innego, tylko Fryca. Widocznie szedł za nimi niepostrzeżenie, aż do kwatery jenerała Skrzyneckiego i teraz niespokojnym i badawczym wzrokiem rzucił dokoła. Dla upozorowania zapewne swej obecności w obozie, dźwigał duży pakunek na plecach i głosem przeciągłym, z wyraźnym akcentem niemieckim wołał:

— Sprzedaję tytoń, tabakę, cygara, hubkę, krzesiwa, papier, pióra i atrament! sprzedaję tytoń, tabakę, cygara!

Powtarzał kilkakrotnie te wyrazy, zachwalając swój towar, a jednocześnie oglądał się na wszystkie strony, zwłaszcza na domek zajmowany przez jenerała Skrzyneckiego. Dotąd jednak nie zauważył Władka i Wojtka, bo właśnie w chwili, gdy wyszli od jenerała, do Fryca zbliżyło się paru żołnierzy i poczęło kupować tytoń. Władek zdumiony śmiałością szpiega, który nie wahał się śledzić go nawet w obozie, w pierwszym porwywie gniewu podbiegł do puł-

kownika Wolskiego i zawołał:

— Panie pułkowniku!

Pułkownik zatrzymał się i spytał:

— Czego waćpan chcesz?

— Panie pułkowniku — szepnął Władek — szpieg, który mię dziś rano z rozkazu Heliglasa śledził w Warszawie, jest tutaj.

— Gdzie? co?

Władek wskazał na Fryca, zajętego właśnie sprzedażą tytoniu żołnierzom. Pułkownik popatrzył na niego i spytał:

— Czy pewny jesteś, że to on?

— Głową moją ręczę, że to on. Poznałbym go wśród tysiąca innych. Zresztą mój ordynans może powiedzieć to samo. Widział go dobrze.

Wojtek zapytany zapewnił uroczyście, że sprzedający cygara jest tą samą osobą, która dziś rano szpiegowała pana adjutanta na ulicach Warszawy...

— A to hultaj! — mruknął pułkownik i zamyślił się na chwilę, poczem rzekł:

— Czekaście, trzeba łotra zażyć z mańki.

I zwracając się ku Frycowi, ciągle zajętemu żołnierzami, krzyknął:

— Hej! ty tam, co sprzedajesz cygara! chodź no tutaj!

Fryc odwrócił się nagle i wzrok jego padł na Władka. Przez chwilę stał z ustami rozwartemi, z wejrzeniem, w którem odmalował się pewien niepokój, ale natychmiast odzyskał pewność siebie, przybrał pokorną minę i zbliżył się do pułkownika, mówiąc:

— Może pan generał co kupi?

— Ja nie jestem generałem tylko pułkownikiem, rozumiesz kpie jakiś!

— Przepraszam pokornie pana pułkownika, ale ja się nie znam na tem. Przepraszam pokornie. Może pan pułkownik co kupi, mam tytoń...

— Cygara masz?

— A jakże! mam!

— Czy dobre?

— Doskonałe, generał Krukowiecki zawsze odemnie kupuje.

— To dobrze. Chodź ze mną do namiotu!

Fryc rzucił dokoła niespokojnym, latającym wzrokiem i poszedł za pułkownikiem, tuż obok Władka. Wojtek z właściwym sobie sprytem umieścił się w tyle, mrucząc:

— No, teraz zatracony sufraganie nie uciekniesz. Przyszli do namiotu pułkownika w Olszynie i Fryc, rzucając ciągle z ukosa spojrzenie na Władka, drżącemi nieco rękami, począł rozwijać swój tobołek i wydobywszy z niego pudełko z cygarami, podał je pułkownikowi mówiąc:

— Prawdziwe hawańskie; generał Krukowiecki...

Pułkownik obejrzał pudełko i przerwał Frycowi, zapytując:

— To są pruskie cygara, szwarcowane, co?

Fryc skrzywił się szkaradnie, co miało uśmiech oznaczać i rzekł:

— Inaczej nie mógłbym tak tanio sprzedawać. Te

cygara są po dziesięć groszy sztuka.

Pułkownik zrobił groźną minę, wąsy nastroszył i huknął:

— To ty łotrze jakiś okradasz skarb narodowy?

Fryc zmiesza się na chwilę i rzekł:

— Jakto okradam?

— Ano, skoro nie płacisz cła, to okradasz skarb narodowy.

Fryc uśmiechnął się szydersko, ruszył ramionami i rzekł z zupełnym spokojem:

— Te cygara zostały sprowadzone jeszcze we wrześniu roku przeszłego, a wtedy przecie był tu rząd nie polski, ale rosyjski. Jeżeli okradłem kogo, to w każdym razie nie nasz, polski skarb, ale rosyjski. Niech pan pułkownik zapali jedno z tych cygar, a przekona się, jak one są suche. Gdyby były szwarcowane teraz, byłyby świeże, mokre. Jeszcze we wrześniu zostały sprowadzone. Mnie wszyscy znają, że nie oszukuję i prawdę mówię.

— Czy mówisz prawdę, nie wiem. Wiem tylko, że za dużo gadasz.

— Od tego jestem kupiec, żebym dużo gadał. Co wart kupiec, który, nic nie mówi?

— W każdym razie nie podoba mi się to wszystko. Kto ci pozwolił po obozie się włóczyć?

Fryc nic na to nie odrzekł, tylko sięgnął do bocznej kieszeni swego kubraka, wyciągnął z niej duży pugilares skórzany, zasmolony i zniszczony mocno i dobył z niego jakiś papier we czworo złożony i z lekkim złośliwym uśmiechem na ustach, podał go pułkownikowi. Ten rozwinął go,

przeczytał, skrzywił się i oddając papier Frycowi, krzyknął gniewnie:

— Idź do diabła! Niech cię oczy moje nie widzą!

I odwracając się, mruknął:

— Kanalia!

Fryc spokojnie i ostrożnie papier złożył, starannie go umieścił w pugilaresie i chowając do kieszeni, spytał:

— A cygara?

— Millionset kartaczy! — wrzasnął pułkownik — wynoś się pókiś cały, kpie jakiś!

Fryc zawinął tłumoczek, spojrzał jadowitym wzrokiem na Władka i w milczeniu wysunął się z namiotu.

Władek, niemy świadek całej tej sceny, nie mógł jej zrozumieć. Zdziwiony nią, zapytał:

— Jakto? pan pułkownik tego szpiega wypuszcza?

— A cóż mam robić u licha, kiedy on ma przy sobie pozwolenie od wodza naczelnego, księcia Michała Radziwiłła, na przebywanie w naszym obozie w każdym czasie, oraz rozkaz, ażeby mu wszystkie władze cywilne i wojskowe w razie jego żądania pomoc dawały.

— Nic z tego nie rozumiem! — zawołał Władek.

— Ba! co tu rozumieć do kroćset! to jest nasz szpieg i basta!

— Nasz szpieg? jeździ do Miłosny, do Dybicza?

— Ano... musi jechać, bo inaczej niczego by się nie dowiedział.

— I w nocy obdziera trupy i dobija rannych?

— Tego ja już nie wiem! Mogło to być, bo takie łotry

do wszystkiego są zdolne, a mogło i nie być. Jakąż waćpan masz pewność, że on należał do tej bandy nocnych rabusiów?

— Mieszka razem z Heliglasem, i Heliglas wysłał go dziś rano na przespziegi za mną.

— To nic nie dowodzi. Być może, że on jest podwójnym szpiegiem, nam donosi o Dybiczu, a Dybiczowi o nas. Ale ostatecznie cóż ja na to pomogę? Dość tego! Djabli mnie biorą, gdy słyszę o takich brzydactwach. Waćpan ruszaj i spełnij to, co ci rozkazał generał Skrzynecki, a mnie do milionset kul siarczystych w to nie mieszaj. Brzydę się tem wszystkim. Do widzenia!

I Władek się tem brzydził, ale skoro los czy wypadek raz go postawił na drodze, po której kroczyła ohydna zdrada, zagrażająca ojczyźnie, uważał sobie za święty obowiązek zdradę tę wykryć, a jej następstwa unicestwić. Choć mu więc nie podobało się bardzo to przebieganie się w suknie cywilne, śledzenie po nocach i dziurach zapadłych, niecnym szpiegów, to jednak postanowił to robić dla ojczyzny, bo dobry syn Polski, wszystko dla tej Polski czynić powinien i przed niczem się nie cofnąć. Zbawienie ojczyzny jest pierwszym prawem, mówili starożytni Rzymianie, i tej świętej, rzecz można maksymy, każdy trzymać się powinien, i Władek się jej trzymał. Przytem miał polecenie generała Skrzyneckiego, a jako żołnierz winien był wypełnić rozkaz swej zwierzchności, nie wdając się w to, czy on jest słuszny, dobry lub piękny. Z całej sceny między pułkownikiem a Frycem skorzystał tylko tyle, że się dobrze przypatrzył szpiegowi i jego brzydką twarz, głos, figurę i ruchy zanotował sobie

starannie w pamięci. Niemniej nabrał tego przekonania, że Heliglas, Fryc i cała ta ohydna banda szpiegów i rabusiów, jest przebiegła, ostrożna i umiejąca zabezpieczać się na wszelki wypadek. Przyszedł więc do wniosku, że należy w walce z nimi zachować nadzwyczajną ostrożność i baczność w działaniu. Dlatego też prosił oficerów czwartego batalionu, ażeby ciągle włóczącego się w pobliżu pułku strzelców, Fryca, przed wieczorem ściągnęli do siebie i pod pozorem kupna w takie go wzięli obroty, żeby im wymknąć się, ani też szpiegować nie mógł. Ale Fryc już po południu gdzieś zniknął, tak, że go odszukać nie można było. Prawdopodobnie udał się do Warszawy, żeby się przygotowywać do nocnej wycieczki przez Saską Kępę do obozowisk rosyjskich, a głównie do Miłosny, gdzie ciągle znajdowała się główna kwatera Dybicza.

Przed samym wieczorem, Wojtka przebranego w ubiór robotnika warszawskiego, wysłał Władek do Warszawy, na Solec do szewca Rosolika, dla uprzedzenia go, że będzie miał gości wieczorem i żeby zachował wszystkie możliwe środki ostrożności, by ci goście przez nikogo nie byli widziani. Zalecono mu też najgłębszą tajemnicę o wszystkim.

Gdy nakoniec noc zapadła, dość wczesna o tej porze roku, Władek ubrany po cywilnemu, okryty burką, pod którą umieścił dwa wyborne, nabite siekańcami pistolety, wyruszył na swą wyprawę. Towarzyszył mu sierżant czwartego batalionu strzelców, Mateusz Rozwora, także uzbrojony w pistolety. Noc była ciemna, chmurna i wietrzna, choć względnie ciepła, tak, że niepostrzeżenie

wymknęli się z obozu. Tylko dostawszy się na szosę, parokrotnie zatrzymywani byli przez placówki i odprowadzani przez nie do oficerów komenderujących nimi. Ale mając przepustki podpisane przez generała Skrzynecznego, byli natychmiast puszczani, przyczem Władek z bólem i gniewem zauważył, że miano ich za szpiegów i za każdym razem dość pogardliwie traktowano. Przykrem mu to było, ale krzepił się jak mógł, szepcząc do siebie:

— Niechże to będzie ofiarą dla kochanej ojczyzny.

Dostawszy się do Warszawy, pilnie baczili, czy ich kto nie szpieguje. Miasto było bardzo ożywione, zwłaszcza na ulicy Bednarskiej, prowadzącej do mostu na Pragę, mnóstwo ludzi się snuło, ale nie zauważyli nic podejrzanego. Wziąwszy dorożkę na Krakowskim Przedmieściu, koło figury Matki Boskiej, postawionej na pamiątkę zwycięstwa Króla Jana III-go pod Wiedniem, ruszyli na Solec, gdzie zakryci budą dorożki, szczęśliwie się dostali.

Szewc Rosolik, Rosolskim teraz przezwany, mieszkał w niewielkim dworcu drewnianym, prawie tuż nad Wisłą, który sam zajmował. Od ulicy domek ten oddzielony był wysokim parkanem, którego wierzch nabity był ostremi kolcami żelaznymi przed nieproszonemi gośćmi, a na bramie zdala już błyszczał, oświecony stojącą tuż obok latarnią, duży znak, na którym złocistemi literami, pod wielkim butem z ostrogą, wypisane było wyraźnie:

„Piotr Rosolski, majster szewski”.

Sam domek znajdował się w głębi podwórza na środku którego rosła naga teraz i bezlistna stara lipa, dawne bardzo

zapewne pamiętająca czasy. Odosobniony on był zupełnie od innych mieszkań ludzkich, gdyż najbliższy dom znajdował się o jakie kilkadziesiąt dopiero kroków.

Gdy dorożka z Władkiem i Rozworą zajechała, furtka w bramie natychmiast się otworzyła i ukazał się w niej Wojtek, a obok niego chłopak kilkunastoletni, trzymający dużą latarkę w ręku. Wojtek skoczył do dorożki i zapytał:

— Czy to panicz?

— Tak.

— Niech panicz prędko wysiadają, bo tu się kręcą nad rzeką jakieś łobuzy.

Władek żwawo wyskoczył, zanim wygramolił się Rozwora i gdy stanęli na ulicy, Władek zbliżył się do dorożkarza i spytał:

— Który masz numer?

— Sto jedenaście, albo co?

— To wiedźże bracie, że jeżeli ktokolwiek się dowie o tem, żeś tu dziś nas przywiózł, to jutro generał Krukowiecki powiesić cię każe.

— Oo! a któż wy jesteście?

— Do tego ci nic. Czy jesteś Polak?

— A juści że Polak.

— I kochasz ojczyznę?

— A cóżbym ja był za hycel, żeby nie kochał ojczyzny.

— No więc trzymaj język za zębami i ruszaj stąd!

Dorożkarz nic już nie odrzekł, zawrócił i zaciął konie i słyhać było tylko coraz bardziej oddalający się turkot

dorożki, aż wreszcie uciął zupełnie. Gdy weszli na dziedziniec, Wojtek z chłopcem, którym był zapewne Stasiek, najstarszy syn szewca Rosolika, starannie zamknęli furtkę w bramie, a Wojtek rzekł:

— Stasiek, stój tu przy furcie, jak ci rodzic przykazali i patrz czy te łobuzy jeszcze się kręcą.

— O! niech pan Wojciech będą spokojni. Terminatorzy ich tam pilnują.

— Do mnie, smyku, mówi się nie pan Wojciech, ale pan podoficjer, rozumiesz? Jużem ci to raz gadał, a ty swoje.

— Zabaczyłem, ale już będę tak mówił.

— Pamiętaj!

Tymczasem Władek rozglądał się dokoła i wysłuchał tej rozmowy.

— Któż to jest ten chłopiec? — spytał.

— To jest Stasiek, syn szewca Piotra Rosolika, co się teraz przezwiał po szlachecku Rosolskim. To ten sam, co tak galanto się spisał i aż do Miłosny zaszedł za szpiegami — odrzekł Wojtek.

— No, a co tu słyszać? Cóż to za łobuzy, o których mi mówiłeś?

— A łobuzy! Ale lepiej to paniczowi opowie sam szewiec Piotr Rosolik, kuternoga i pokraka, który wylazł już z izby i stoi na progu i gapi się, jakby co widział w takiej ciemie zatraconej.

W rzeczy samej, tutaj, nad Wisłą, pod gałęziami lipy rosochatej, we mgle, jaka zapewne się wywłoczyła, panowały nieprzejrzone ciemności. Z okien tylko domu padał

żywy, czerwony blask, oraz z drzwi na rozcież otwartych, w których stała dziwna jakaś figura, rysująca się wyraziście czarną sylwetką na tle jasnem izby oświeconej. Był to pan majster szewski Piotr Rosolik czyli Rosolski, o którym tyle naopowiadał się Wojtek. Głosem cienkim, prawie kobiecym i skrzeczącym niemile, wołał on:

— Witam ichmość panów na progu mej ubogiej chaty. Proszę do izby ogrzać się trochę, bo noc jest burzliwa i chłodna. Proszę, proszę, czem chata bogata tem rada, po staropolsku!

Wyrażał się patetycznie, starannie dobierał wyrazów, co śmieszne robiło wrażenie przy jego głosie piskliwym i skrzeczącym. Weszli nakoniec do izby ciepłej i jasno oświetlonej ogniem, na t. zw. cyganku wesoło buchającym, i dwiema czy trzema świecami, w cynowych lichtarzach osadzonemi. Przy wejściu mile uderzył ich powonienie zapach smażącej się w dużej rynce kielbasy, której woń smakowita rozchodziła się dokoła. Szewc Rosolik zapraszał ich swym piskliwym głosikiem, by siadali i podsuwał im proste szewskie zydle drewniane.

Teraz dopiero przy świetle mógł Władek dokładnie przypatrzyć się gospodarzowi. Wojtek słusznie go nazwał pokraką i kuternogą. Był mały, niski, połamany w dzieciństwo z jedną nogą krótszą od drugiej, z ogromnym garbem na plecach, głową wielką, wciśniętą w ramiona, porośłą krótkim, szczecinowatym i sterczącym do góry włosom, z rzadką bródką i wąsami, nosem wielkim, pałkowatym, nad którym świeciły oczka, małe, głęboko osadzone,

biegające ciągle i świdrowate. Ręce miał długie i chude i cały był chudy, a czamara szaraczkowa, suto szamerowana, wisiała na nim jak na kołku. Kręcił się ciągle po izbie, machając swemi długimi rękami jak wiatrak, stukając swą krótszą nogą, skrzecząc nieustannie piskliwym głosem, kiwając się całym ciałem jak żyd na modlitwie.

Zupełny kontrast stanowiła z nim jego małżonka, pani Kunegunda, Kundzią pieśczośliwie przez męża nazywana, Rosolikowa czyli Rosolska. Była to kobieta wysoka, tęga, zbudowana jak grenadjer, o ciemnych włosach i meszku czarnym na wargach. Miała głos gruby w przeciwieństwie do cienkiego dyszkanciku męża, chód silny i ciężki, wejście śmiałe, ręce duże i czerwone. Stała podle komina, z wielką warząchwią w dłoni, wyprostowana, potężna i gdy Władek z Wojtkiem i Rozworą weszli do izby, ruszyła się żwawo i fartuchem poczęła ścierać kurz z dużego stołu, pod oknem umieszczonego, i z zydli, mówiąc donośnie:

— Niech pan oficer siada i odpocznie sobie. Zaraz będzie wieczerza. Nagotowałam kielbasy z kapustą i krupnik gorący też będzie. Niech pan oficer i też panowie siadają. Sprawiedliwie mój peda, czem chata bogata, tem rada, a ja też z serca pana oficjera witam.

A Rosolik zacierał długie ręce i pisał:

— No! tera to zadamy fernepiksu hyclom szpiegom, bo ja, jak mnie pan oficer widzi, dla ojczyzny, wedle tego, wszystko oddam, i żonę i dziatki, wszystko. Już ja im, tym szpiegom, smoły zaleję za podeszew, szydłem im w gardzieli stanę tak mi Panie Boże dopomóż, a wszystko dla ojczyzny.

Poznają, szelmy majstra szewskiego, Piotra Rosolskiego.

— Pietruś — huknęła basem pani Kunegunda — nie gadałbyś po próżnicy. Pan oficer pewno zziąbł. Dostań no z szafy jarzębówki i poczęstuj pana oficjera i panów wojaków.

A zwracając się do Władka dodała:

— Jarzębówka je przednia, nalewka! Sama ją przyrządzałam i wszyscy gadają, co takiej jarzębówki jak żyją nie pili.

Piotr Rosolik czyli Rosolski sięgnął do szafy, dobył jarzębówki, nalał do dużego zielonego kieliszka i począł przepijać do pana oficjera i panów wojaków. Niebawem zjawiała się na stole kielbasa smażona z kapustą i wszyscy usiedli do wieczerzy, którą Wojtek zmiatał z nadzwyczajną szybkością, i zawiedli wielką naradę, co i jak czynić teraz należy.

XII.

Siedzieli wszyscy czterej koło stołu, na którym resztki wieczerzy jeszcze się znajdowały, a pani Kunegunda, oparła swe potężne czerwone ręce na wydatnych biodrach, umieściła się koło komina i przysłuchiwała się pilnie naradzie panów wojaków z jej pokrzywionym małżonkiem.

— Mamy czas — mówił ten ostatni swym piskliwym głosikiem — szpiegi dopiero kole północka wyruszają na Saską Kępę (mówił: Szaszka Kępę), możemy, co robiący,

dokumentnie wszystko rozważyć i dopasować, jak podaszę do przyszwę, a tymczasem niech pan oficer pokosztuje krupniku, który moja Kundzia wyśmienicie przyrządza.

Pan oficer, któremu już jarzębówka pani Kunegundy, jako niezwyčajnemu gorących trunków, nieco zaszumiała w głowie, stanowczo odmówił pokosztowania wyśmienicie przyrządzonego krupniku, ale za to Wojtek pożądlwie na dymiący się napój poglądał i pochłaniał z zadziwiającą szybkością szklanę po szklance, za każdą gładząc się po piersiach, mówiąc:

— Galanty napój, ani słowa. Nasyp no pan, panie Pietrze, jeszcze jedną szklanice.

Pan Piotr „nasypywał” więc szklanice, a Wojtek pił, aż Rozwora się w to wmieszał i rzekł mrukliwym swym głosem:

— Dosyć tego, panie majster, bo się ten chłopak upije, a tu przed nami trudna wyprawa i trzeba być trzeźwym.

Słowa te poparł Władek i już majster Piotr przestał „nasypywać” szklanice, co się Wojtkowi ogromnie nie podobało, ale nie śmiał oponować, kiedy pan adjutant i pan sierżant temu się sprzeciwili, wzdychał tylko żałośnie i z ukosa spoglądał na dymiący się dzban krupniku.

Władek, rozpoczynając naradę, przedewszystkiem zapytał się, o jakich to „łobuzach” tutaj poprzednio mówiono?

— Ano — ozwie się na to majster Piotr — to tak było panie oficerze. Jakaśmy spenetrowali tych wisielców szpiegów, że oni bez Szaszka Kiepe i bez Zasław i tyż inne wsie, co robiący, jeżdżą do Miłosny, do Dybicza, czego, jak

wiadomo panu oficerowi z opowiadania tego tu, kiwającego się szpetnie Wojtka, a mego rodaka, bośwa to obadwa rodem z Brzozówki...

Nie skończył, bo nagle od komina wysunęła się na środek izby pani Kunegunda i głosem grubym zawołała:

— Czekaajno Pietruś, ja to dokumentniej opowiem panu oficerowi.

— Ale Kundziu...

— Stul gębę Pietruś, kiedy ja gadam.

— Ju tera — mruknął pod nosem pan majster — takie świńskie, z przeproszeniem, nastały czasy, że nie kopyto, jeno skóra rządzi.

Uwagi tej czy nie słyszała pani Kunegunda, czy też uznała ją za niegodną odpowiedzi, dość, że puściła ją mimo uszów i poczęła szeroko opowiadać, że wszystkiego dokonał jej syn Stasiak.

— Tak, panie oficerze, Stasiak to moja krew, wykarmiłam go własną piersią i jeno podrośnie, zobaczy pan oficer że zostanie jednerałem. Moje to starania, moja krew, bo trza panu oficerowi wiedzieć, że ja jestem Kunegunda Matyasek, niby z ojca, a Matyaskowie zawsze byli dobre Polaki i cała Warszawa o tem wie.

— Owa! Kundziu przeholowałaś, nikiej ten, co bierze długą miarę na małą nogę. Jak Pana Jezusa od Fary kocham, tak przeholowałaś Kundziu.

A pani Kunegunda, zwracając się nagle do męża spojrziała na niego iskrzącymi oczami podpierając się pod boki, zawołała:

— Przeholowałam, gadasz, ty barania skórko na buty, przeholowałam? To może nie prawda, że Matyaskowie byli zawsze dobre Polaki? co? może nie prawda, że ja jestem obywatelska córka, a ty chamskie pomiotło? co? może nie prawda?

— Ale Kundziu...

— Stul gębę i nie odzywaj się, kiedy ja gadam!

Słowom tym towarzyszyło tak silne tupnięcie nogą w ziemię, że cała chałupa się zatrzęsła i majster Piotr Rosolik z widocznem przerażeniem schował głowę w swe połamane ramiona i już ani słóweczka nie pisnął. Wojtek wytrzeszczył oczy i ze strachu posunął swój zydel ku ścianie, żeby być jaknajdalej od groźnej niewiasty, nawet Rozwora, co tak dzielnie walczył z Hiszpanami, skulił się jakoś, starając się jaknajmniej miejsca zajmować, a Władek pokornie spuścił oczy i patrzył się jak złotawy krupnik przeświecał przez zieloną szklanicę, jakgdyby tam w nim coś bardzo ciekawego widział. Pani Kunegunda tymczasem, niezaprzeczona triumfatorka na tem niekrwawem pobojwisku, pogroziła ogromną pięścią swemu maleńkiemu mężowi i poczęła dalej opowiadać o swym synu Staśku, którego wykarmiła własną piersią i z którego będą ludzie, nie takie głupie szewcy, jak jego ojciec. Opowiadanie to trwało dość długo, aż nareszcie Władek zdobył się na odwagę i głosem jak można było najśłodszym, przerwał ten rwący potok wymowy i rzekł:

— Przepraszam panią majstrową, ale myśmy się chcieli dowiedzieć czegoś o tych tam „łobuzach”, którzy mają się

tu gdzieś kręcić koło domu. Cóż to za jedni i czego chcą?

— Wiadomo czego chcą — odrzekła pani Kunegunda

— szpiegują nas. Jużem dziś w południe jednego z nich porządnie drapaką zdzieliła, kiedy wlażł na podwórko moje i przepatrywał. Zmykał, jak nieprzymierzając zając i pewnikiem więcej tu nie zajrzy, taką mu dałam pamiątkę. Całą gębę miał do krwi podrapaną.

— I dużo ich jest?

— A kat ich tam wie. To są, panie oficjerze, łobuzy nadwiślańskie, chłopaki co nie mają nic do roboty, jeno się włóczą z kąta w kąt. Za kilka groszy wszystko zrobią.

— Jakże to może być? czyżby Polak dał się namówić do szpiegostwa swych własnych rodaków?

— Albo oni są Polaki? albo oni wiedzą czem są? A przytem, nie wie to pan oficjer, że tu na Szulcu mieszka dużo Miemców, co ich sprowadzili do fabryki. Te łobuzy to ich dzieci, to nie Polaki.

Wiadomość ta trochę zaniepokoiła Władka. Widocznie Heliglas zauważył, że jest śledzony przez szewca Rosolika i dlatego ze swej strony kazał bandzie rozpróżnionych wyrostków mieć go na oku. Wobec tego bardzo trudno, a może wprost niemożliwą będzie niepostrzeżona wyprawa na Saską Kępę, a kto wie, czy w tej chwili Heliglas już nie jest uwiadomiony o tem, że do domu Rosolika przyjechało trzech jegomościów.

Uwagi te i obawy swoje Władek przedstawił obecnym i pytał, jaka rada na to wszystko.

— Glupstwo! — zawołał majster Piotr Rosolik, który

wobec ucichnięcia swej magnifiki, odzyskał poprzednią fantazję, podnieconą kilku szklankami krupniku — głupstwo! — krzyknął piskliwym — głosikiem, uderzając pięścią w stół — wszystko ja z moją Kundzią przewidzieliśmy i wszystko, nieprzymierzając jak skórę na buty, przygotowaliśmy.

— Co? jak? — zapytał Władek.

— A to tak było, panie oficjerze... cicho Pietruś, cicho! ja to powiem — wtrąciła się znów pani Kunegunda i stanąwszy w swej zwykłej pozie z rękami na biodrach wspartemi, mówiła:

— Kiej zobaczyliśmy że łobuzy kole domu krążą, zaraz mię cosik piknęło, że to są zdrajcy namówieni przez szpiegów. Pedam tedy do mojego, który jak kuźdy chłop z przeproszeniem, jest niedomyślny i niema nijakiej kalkulacji: Pietruś, pedam, tu trza coś zaradzić. A cóż ja poradzę? on gada. Ty, rzekę mu, na nic nigdy nie poradzisz. A w tem wchodzi pan Wojciech i peda, co pan oficjer i pan sierżant przyjadą, żeby szpiegów łapać i harestować. Mnie coś jakby serce przeszyło. Jakże to pan oficjer i panowie wojaki mają łapać szpiegów, kiedy te szpiegi będą o wszyćkiem wiedzieli od łobuzów? Więc po rozum do głowy i pedam do mojego: Pietruś nie ma co, wdziewaj kapotę i leć mi zaraz do cechu i do gospody, dorożkę nawet weź, niech stracę! A on pyta: po co ja mam iść do cechu? Po to gamoniu jakiś, ja mu pedam, żeby ci dali tyż kilkunastu chłopaków, żeby tych łobuzów odpędzili, o może i wyłapali. Weź dorożkę, bo czasu nie

ma. A Pietruś na to, jako on jest dobry Polak i patryjota, peda: choćby dziesięć dorożek, to wezmę dla ojczyzny. Buty, peda, sprzedam, szydła sprzedam, ciebie i dziateczki miłe sprzedam, a ojczyzny na zatracenie nie dam, jakim szewc warszawski, Piotr Rosolski. Tak on to powiedział, a mnie też zara miękkucho się kole serca zrobiło, więc kiedy nie buchnę płaczem i tego oto mego chłopca, Pietrka, zara przeżegnałam krzyżem świętym, choć on chłop je marny, ale ma wielkie serce.

Tu pani Kunegunda poczęła szlochać i łzy fartuchem ocierać, a niebawem wtórzyć jej zaczął dyszkantem małżonek, po którym zaraz też ryknął Wojtek, do wzruszenia którego zapewne bardzo wiele przyczyniły się wypite szklance gorącego krupniku. Ledwie Władek zdołał powstrzymać ten potok łez, podczas gdy majster Piotr bił chudemi rękami o stół i wołał:

— Tak, dla ojczyzny wszystko oddam! Nie tylko ciebie Kundziu i dziateczki miłe, ale żeby trza było serce szydłem z piersi dobyć, to go dobędę, a zdrajców, hrabiów i jednerałów sam wieszać będę na latarni, jakim szewc warszawski Piotr Rosolski!

— O laboga Pietrze, nie gadaj! — wołał ryczący Wojtek — nie gadaj, bo mię zemdli z żałości.

— Nie z żałości, jeno z krupniku! — bąknął Rozwora mrukliwy i powstawszy z zydlu, na którym dotąd siedział, wyprostował się w całej swej wysokości i z oczami iskrzącymi się od gniewu uderzył silnie pięścią w stół, aż szklanki na nim zadzwoniły i zawołał:

— Dość tego do stu kaduków! Dokądże to my tu będziemy siedzieli i babskich gadań słuchali! Mości panie adjutancie, czas już, byśmy się zabrali do roboty. Nie po to przyszliśmy tutaj, żeby gadać i krupnik chlipać, jeno rozkazy starszyny wypełniać. Ot co jest mości dobrodzieju!

Zapewne była to najdłuższa mowa, jaką w swym życiu Rozwora wygłosił, bo skończywszy ją sam się sobie zdziwił, zmieszał się, usiadł na zydlu i odtąd już ani słówka nie pisał. Władek zaś, uznawszy w duszy słuszność uwagi starego sierżanta, rzekł:

— Zaraz pójdziemy, tylko muszę wprzód dowiedzieć się wszystkiego o tych tam łobuzach jakichś. Cóż wtedy, pani majstrowo, się stało? czy mąż waćpani pojechał do cechu?

— A jakże! dałabym ja mu, żeby nie pojechał!

— I cóż?

— Ano, zara wdział na siebie odświetną czamare, wziął laskę z gałką, siadł do dorożki, bo dla ojczyzny, gadał, nie trza niczego żałować, i pojechał.

— Czekajno Kundziu, przerwał jej szewc piskliwie — teraz ja opowiem panu adjutantowi jak to było...

Ale pani Kunegunda za nic na to zgodzić się nie chciała. Znalazłszy raz sposobność okazania swej wymowy, nie myślała nikomu ustąpić. Zgromiwszy ostro swego małżonka, nazwawszy go głupim chłopem i niezdara, ciągnęła dalej:

— A cóż, panie. W cechu pan starszy, jako także dobry patrjota, pan majster Musiański, zna go pan adjutant?

— Nie mam zaszczytu.

— Godny człowiek, tylko trochę zapija, ale Polak dobry, choć żonę czasem, kiedy pałkę zaleje, pocięglem przeciąga... Głupia niewiasta! gadałam jej nieraz: kumo, nie dajta się! Żeby na mnie mój niezdara jeno palcem zakrzywił, tobym mu z przeproszeniem ślepie wydrapała...

— Ale Kundziu! jakże można przed panem adjutantem takie rzeczy gadać — protestował pan Piotr Rosolski.

— Cicho bądź! a cóż to ja gadam? czy co złego? może nieprawda, żebym ci ślepie wydrapała? Spróbuj jeno, a obaczysz...

— Przepraszam — wtrącił się Władek — cóż tedy zrobił pan starszy cech?

— Co zrobił? wszystko zrobił! Zara, w te pędy, rozesłał po całym mieście do wszystkich majstrów, ażeby swoich terminatorów na gwałt przysyłali do cechu, bo ojczyzna tego potrzebuje.

— I cóż? przysłali?

— A jakże, nie przysłaliby? W pół godziny...

— A nie w pół godziny, jeno w godzinę! — zapiszczał pan Piotr Rosolski, który wczasie opowiadania swej małżonki kręcił się na zydłu niespokojnie, co chwila otwierał usta, zaczynał mówić, milkł znowu, widząc, że w żaden sposób pani Kunegunda do słowa mu przyjść nie pozwala.

Uwaga jego zapewne wywołałaby nową burzę i nowe spory, gdyby Władek, zapobiegając temu, nie zawołał:

— Mniejsza o to. Cóż tedy, terminatorzy przyszli?

— Jeszczeby też nie przyszli! Kiedy był rozkaz z cechu, to musieli przyjść, albo to u nas pocięgli brakuje? Ale

im w to graj. Chłopaki przecie woleli lecieć do cechu, jak majsterskie bachory niańczyć, albo po gorzałkę dla panów czeladzi do szynku skikać. Zara, panie, sześćdziesięciu ich przyleciało ze łbami rozczochnami...

— A nie sześćdziesięciu, jeno pięćdziesięciu ośmiu! — zdołał zapiszczeć pan Piotr Rosolski, w chwili gdy jego godna małżonka na chwilę przerwała strumień swej wymowy, dla nabrania powietrza w piersi.

— I cóż te chłopaki? — Władek żywo zapytał, zażegnując nową kłótnię między małżonkami — czegoż od nich z cechu chciano?

— Jakto, czego chciano?

— Bo nie wiem dotąd, po co właściwie zwołano ich do cechu?

— Po co? zara to panu adjutantowi powiem. Pan starszy Musialski, kiedy w gospodzie szewckiej na Podwalu, te terminatory ze łbami rozczochnami się zebrały, wyszedł do nich i peda: chłopcy, wy jeszcze jesteście małe i ojczyzny we wojsku bronić jeszcze nie potraficie, ale możecie jej inaczej dopomódz. Żebyście mi zaraz, kuźdy, jak stoi, zaopatrzyli się w dobry kij i ruszajcie za panem majstrem Pietrem Rosolskim na Szulec i róbta to, co on wam przykaże. A słuchać mi pana majstra, Pietra Rosolskiego, bo to dla ojczyzny. Rozumiecie? a jak który nie posłucha, to niech go Pan Jezus strzeże, bo takie lanie dostanie tu w cechu, że ruski miesiąc popamięta, rodzona matka go nie pozna. Taki przykład dał pan starszy Musialski terminatorom z rozczochnami łbami.

Odetchnęła, obejrzała się dokoła, a że właśnie młodszy synek państwa Rosolskich, także jak ojciec Pietrkiem zwany, pobił się ze swą siostrzyczką Anusią, więc pani Kunegunda przerwała swe opowiadanie, wpadła między bijące się dzieci, rozległy się głośnie razy, Pietrkowi i Anusi wymierzone, krzyki i płacz. Skorzystawszy z tego, pan majster Rosolski, obejrzał się na żonę i szybko, swym piskliwym głosem poczał mówić, mrugając maleńkimi oczami.

— Moja, dobra niewiasta, ale ona dokumentnie nie wie, jak to było z temi terminatorami. Mój kmostr Wojciech poświadczy, że to co powiem jest świętą prawdą, jak na spowiedzi.

Kmostr Wojciech oddawna już drzemał oparty o ścianę, ale teraz na krzyk czynnie karconych latorośli godnego stadła, państwa Rosolskich, otworzył oczy, ziewnął i jęknął:

— O mój Jezu, Jezusieńku.

Władek tymczasem nalegał na pana majstra, aby dalej opowiadał, bo czas upływa i właśnie zegar z kukułką, wiszący na ścianie, wystękał i wyskrzypiał dziesiątą godzinę.

— Mamy czas — odrzekł na to Piotr Rosolski — szpiegi kole północks przychodzą.

— Cóż więc pan zrobiłeś z terminatorami?

— Przykazałem im, co robiący, różnemi drogami, nie kupą, broń Panie Boże, żeby na siebie nie zwracali uwagi, lecieć na Szulec do mojego dworku: i czekać tam na mnie, sam zaś wziąłem dorożkę jeszcze raz, czego nie wymawiam, a! niech Pan Jezus broni, bo to przecież dla ojczyzny, a ja, jakem już raz pedział, dla ojczyzny...

Ale w tem miejscu opowiadania, zjawiła się pani Kunegunda nieco zaczerwieniona i zdyszana doraźną karą, wymierzoną swym małym dzieteczkom, i zaraz przerwała małżonkowi, krzycząc grubym basem:

— Czekajno Pietruś, ja to panu oficerowi powiem...

Pietruś usiłował protestować przeciw tak bezceremonialnemu traktowaniu jego powagi mężowskiej, ale zwymyślany srodze, skapitulował teraz, jak i zawsze, wtulił głowę w swe wysokie ramiona i siedział odtąd milczący i chmurny, pocieszając się wysączaniem resztek krupniku. Tymczasem pani Kunegunda opowiadała, jak powoli terminatorzy się schodzili, jak, mąż „derożką” przyjechał, czego wcale nie żałuje, bo to dla ojczyzny, jak nakoniec zebrali się wszyscy terminatorzy z „łbami rozczochranemi”, a każdy uzbrojony był w kij dobry, a nawet byli tacy, co przynieśli piki i kosy.

— Tedy, pedam panu oficerowi, aż dusza rosła, patrząc na onych chłopaków, którzy jeno pytali mojego: panie majster, a kogo mamy prać? Cichojta chłopaki! rzekę ja, zara będzieta mieli robotę, jeno słuchać i robić co wam każe ten oto wojak, i wskazałam na kmotra, pana Wojciecha, co tera kiwa się pod ścianą, nikiej żyd na modlitwie.

W rzeczy samej Wojtek pod ścianą spał w najlepsze, a co gorsza chrapał, co wywołało śmiech ogólny, który go zbudził na chwilę. Podniósł głowę, spojrzał po obecnych zamglonemi oczami, jęknął „o Jezu, Jezusieńku”, i znów zasnął.

Po tej krótkiej przerwie pani Kunegunda opowiadała dalej, że pan Wojciech, rozdzieliwszy zebranych terminatorów na cztery części, kazał im przetrząsnąć cały Solec i wszystkich łobuzów schwytać, albo jeżeli się nie dadzą, to rozpedzić na cztery wiatry.

— Pedam panu oficjerowi, zrobił się wtedy sądny dzień. Kiej te nasze chłopaki nie poczną prać onych łobuzów, Panno święta! Ażem się za boki brała, a od śmiechu to mię dotąd wątroba, z przeproszeniem boli. A co którego chycą, to go przyprowadzą do mnie, a ja go za łeb, buch w głębę raz i drugi, aż mu świeczki w oczach zajaśniają: to ty hyclu, mówię na przespziegi tu przychodzisz, farmazonie, Szwabie zatracony, a masz! a masz! i do piwnicy go, do hareštu! Piętnastu, pedam panu oficjerowi, nasze chłopaki chyciły i wszystkich zamknęłam w piwnicy od kartofli i tam siedzą, a terminatorzy z pałkami ich pilnują, a jutro świtaniem, przykażę po jednemu wyprowadzić, rozciągnę ich tu na tej ławie i sama im pocięglem takich dwadzieścia plag wlepię, że im się na całe życie odechce szpigować patrjotów.

— Więc wszyscy są schwytani? — spytał Władek.

— Kat ich ta wie, czy wszyscy. Byli tacy co uciekli, ale niech pan oficjer będzie spokojny, już oni tu nie wrócą, bo terminatory takie im sprawili lanie, że skikali jak zające, kiej ich psy gonią. Śmiechu było co niemiarą.

— A nuż wrócą?

— Co nie, to nie. Kmotr, pan Wojciech, co se tera pod ścianą chrapie, jak nieprzymierzając miech kowalski, jako

to jest wojak znaczny, bo opowiadał nam jako prał kapusiaków pod Cyganką i tuż pód Warszawą we Wawrze...

— On prał? a niechże go kule biją! — mruknął gniewnie Rozwora.

A Władek pytał:

— Cóż zrobił Wojciech, wojak znaczny?

— Ho, ho! mądrze sobie postąpił, ani słowa. Na wszystkie strony rozstawił na warcie terminatorów, niby... jak on to gadał Pietruś?

— Na pikiecie!

— Aha, na pikiecie z przykazem, żeby żadnego łobuza nie puszczali.

— I co? i stoją tam na pikietach?

— A stoją, a jakże! Niechnoby który nie stał, daliby mu w cechu.

— Żadnego nie widziałem.

— Bo mają przykaz, żeby się dobrze ukryli — pisał pan Rosolski.

— Wszystko to bardzo dobrze zostało urządzone — rzekł Władek — ale ci co uciekli, mogą donieść o tem szpiegom i ci dziś nie przyjdą. Ha! cóż robić? zobaczymy. Zdaje mi się tylko, że należało tych schwytanych łobuzów, jak ich tu państwo nazywacie, wybadać, z czyjego polecenia śledzili dom pana majstra.

— Niech pan oficer będzie spokojny — odrzekła pani Kunegunda — już ja ich jutro wybadam. Pod pociągłem, a ręki żałować nie będę, wszystko wyśpiewają, choćby grzech śmiertelny.

Pogadano jeszcze o tem i o owem, wreszcie Władek wstał i rzekł:

— No panie majstrze, chyba już czas wyruszyć na Kępę.

— Ano, chyba czas. — Więc w drogę!

Zbudzono Wojtkę, co przyszło z wielką trudnością bo nadużywszy mocnego krupniku, spał jak zabity, wyruszyli z izby, żegnami krzyżem przez panią Kunegundę.

— Niech was Pan Jezus prowadzi — mówiła — niech święta Panienska Częstochowska ma was w swej opiece. O mnie się nie bójta, ja sobie dam radę. Jedźta w imię Boże, a zbawta ojczyznę od wszelakich farmazonów i szpiegów.

XIII.

Gdy wyszli na dwór z jasno oświetlonej i ciepłej izby, uderzyła ich naprzód nieprzejrzana ciemność nocy. Na niebie nie było ani jednej gwiazdy, ani jednego blasku, tylko na chmurach czarnych odbijała się krwawa luna, od światła w mieście i od ognisk, gorejących w obu obozowiskach: polskiem i rosyjskiem. Gęsta mgła leżała widocznie na ziemi, bo powietrze przesiąknięte było wilgocią mgła ta zdwajała i zgęszczała ciemności tak, że Władek nie widział swych towarzyszy, choć stali tuż przy nim, ani oni jego nawzajem. Od Wisły wiał chłodny, przejmujący prąd powietrza i padał drobny deszczyk, ale tak gęsty, że w parę minut zmoczył ich zupełnie. Noc była zimna, wietrzna,

dżdżysta i ciemna, i tylko nagła potrzeba, konieczność nieunikniona mogła zmusić kogoś do opuszczenia ciepłej izby i dachu nad głową. Taka noc w sam raz nadawała się do czynów zbrodniczych, bezczelność swoją ukrywających pod czarnym płaszczem ciemności.

— Brr! — otrząsnął się Wojtek, zbudzony ze słodkiego snu — to ci ćma i zimno! Aż oskoma człeka bierze ledz w ciepłej izbie pod pierzyną, a pani majstrowa Rosolikowa ma ci pierzyn co niemiarą.

— Mój kmotrze Wojciechu — zapiszczał pan Majster — ja się nie nazywam Rosolik, jeno Rosolski.

— Pluń panie Pietrze na to! — odrzekł Wojtek — jak się zwał, to się zwał, byle się dobrze miał. Prawda panie sierżancie?

Ale pan sierżant Rozwora nie uznał za stosowne przerywać swego mrukliwego milczenia, a Władek się odezwał:

— Trzebaby jakiego światła, bo jeszcze do licha pogubimy się, lub co gorsza, narazimy się na jaki wypadek.

— Latarkę mam — odrzekł majster Piotr — a choćbym nie miał, to ja tu znam drogę tak dobrze, że z zamkniętymi oczyma trafię. Niech się pan oficer nie boi, Piotr Rosolski, majster szewski i tyż dobry patrjota, jest przy panu i włos z głowy panu oficerowi nie spadnie.

— Więc ruszamy naprzód. Prowadź waćpan, panie majstrze.

Przy furtce od ulicy zastali Staszka, który oświadczył, że od godziny nikt nie przeszedł, i że cisza zupełna panuje. Zabrano go ze sobą i ruszono ku Wiśle, gdzie, w jakimś

dobrze ukrytem zagłębieniu, Rosolik posiadał łódź, na której miano się przeprawić na Saską Kępę.

Łódź to była niewielka i dość wywrotna, i gdy na nią wsiadło czterech mężczyzn, z piątym Staszkiem, zagłębiła się prawie po same burty, zwłaszcza, że dźwigała takiego olbrzyma, jakim był Mateusz Rozwora. Przytem w ciemnościach, na oślizgłym od deszczu brzegu, słabo i tylko chwilowo oświetlonym przez ślepą latarkę Rosolika, wchodzono do łodzi mimowoli dość nieostrożnie, tak, że przechyliła się i nabrała nieco wody. Rzeka, po niedawnem puszczeniu łodów wezbrała nieco i kra, acz drobna, szła gęsto. Wiatr tutaj był o wiele silniejszy, wył jęklawie i pędził duże fale, które z głuchym szumem, z nagłemi błyskami światła, przewalały się, pluszcząc rozgłośnie. Czarna ciemność leżała nad czarną wodą, tylko w dali, za Wisłą, na Grochowie, purpurowa łuna krwawo niebo krasowała. Widok był posępny i groźny, przeprawa nader niebezpieczna. Wszyscy to czuli, siadając do chwiejącej się pod ich nogami wątej łodzi i wszyscy milczeli, jeden tylko Wojtek szepnął:

— O laboga, jeszcze się potopimy!

— Nie bójta się kmotrze — odpowiedział piskliwie Rosolik — znam ja się z naszą Wisłą. A choćbyśmy się i potopili, to dla ojczyzny Pan Jezus i taką ofiarę chętnie przyjmie.

— Wiadomo — odparł Wojtek — ale rzeka strasznie brzydko wygląda.

— Cicho byś był chłystku — mruknął surowo Rozwora — nie trza na rzekę wymyślać kiej po niej mamy płynąć.

— A la czego? — spytał niemądry Wojtek.

— Dlatego, co Pan Bóg tak urządził że woda wszystko rozumie, a jeżeli ty tego nie rozumiesz, to dlatego, żeś głupi.

— Owa! jak ta pan sierżant zmańdrzał.

Rozwora nic już nie odrzekł, tylko parę razy mruknął:

— Głupi! głupi!

Umieszczono się jak można było na łodzi, Staszek chwycił za ster, a Rosolik i Rozwora za wiosła, bo oni tylko dwaj wiosłować umieli.

— Panie sierżancie — mówił majster — trza nam dobrze pracować, żeby nas prąd nie uniósł.

— To się wiel! — mruknął Rozwora.

— Straśnie ciemno i nic nie widać — dyszkankikiem szepnął do siebie Rosolik i przeżegnawszy się głośno, zapytał:

— Wszyscy siedzą?

— Wszyscy — odpowiedziano mu.

— Nie ruszać się, a ty Stasiu trzymaj ster prosto. No! w imię Boże za wiosła.

Łódź, pchnięta silnie, jednym susem odskoczyła od brzegu, ale zaraz ocierając się gwałtownie o gęstą krę, poczęła się kręcić jak szalona w miejscu. Widocznie wpadła na wir, który się niedaleko brzegu, wskutek przyboru utworzył. Na chwilę śmiertelne zagroziło siedzącym na niej niebezpieczeństwo, ale Rosolik z przytomnością i mę-

stwem, zdumiewajacem w tak małym i połamanem ciele, wołał:

— Stasiek! ster prosto! panie sierzancie, silniej wiosłem!

Zapluskały wiosła raz i drugi i łódź jednym rzutem, jak strzała wyskoczyła z wiru, z szumem prując piętrzące się fale.

— U! — szepnął majster — ażem się spocił.

— Bodaj to wciurności taką wodę porwali — mruknął Wojtek.

— Milczeć tam chłystku — zagrzmiął donośny głos Rozwory — nie kuś Pana Boga, jeżeli nie chcesz być żerem dla ryb i raków!

Tyle było siły w tych słowach starego żołnierza, że Wojtek umilkł, siedział jak trusia i ani jednego słoweczka już nie powiedział przez cały czas przeprawy. Otrzeźwiał on zupełnie: ponura noc, zimno i wiatr wypędził mu z głowy krupnik, nie ruszał się i cicho w głębi duszy odmawiał: „Kto się w opiekę odda Panu swemu”.

Tymczasem wiatr rozpędził mgłę, zrobiło się widniej nieco i ujrzano przed sobą czerniejącą Saską Kępę, na której, na krwawym tle ognisk, gorejących za Pragę, widać było drzewa i krzaki, miotane wiatrem.

— Chwała Panu Jezusowi — szepnął majster Rosolik — Saska Kępa tuż przed nami; prąd nas nie porwał, ale napracowaliśmy się tego. Prawda panie sierzancie?

Ale pan sierżant swoim zwyczajem nic nie odrzekł, tylko dalej robił wiosłem. Przybyto wreszcie do Kępy, zaszyto się z łodzią w wiklinę i każdy z pewnem uczuciem

niewysłowionej ulgi znalazł się na twardym gruncie. Rosolik ze Staśkiem, załatwiwszy się ze stosownem ukryciem łodzi, ostatni wyszli na ląd i zaraz też majster zaczął mówić:

— Stasiu, ruszaj do pana Malinowskiego, niech nam zara przyśle dwu swoich pacholców i dowiedz się, czy tam nic nowego nie słychać. A idź ostrożnie, bo djabeł nie śpi. Dziś kole południa gadali, że kozaków widziano na Saskiej Kępie, może jeszcze są, dawaj więc baczenie na wszystko i wracaj. My tu zaczekamy.

Stasiu z prawdziwie kocią zręcznością zaszył się w gęstwinie i zniknął, a Władek pytał:

— Co to za pan Malinowski?

— A to proszę pana oficjera, mój kum i tyż dobry patrjota. Ma tu, na Saskiej Kępie, niedaleńko stąd koloniję i my ju razem na tych tam szpiegów polujemy. Hi! Hi! hi! — zaśmiał się cicho, cieniutkim głosem.

— A skądże wiadomość o kozakach?

— Gadali ludzie dziś na Szulcu, że widzieli zdaleka kozaków, jak się włóczyli po Saskiej Kępie. I to może być, czemu nie? albo to od Wawra daleko do Saskiej Kępy? a te hycle myszkują wszędzie. Dlatego to przykazałem memu synkowi, ażeby dawał baczenie, choć nie widzi mi się, żeby te drapichrusty na noc ostali się na Kępie. No! a tera siądźmy sobie, odpocznijmy i czekajmy. A kto ma dobre oczy niech patrzy na Wisłę, czy nie obaczy łódki ze szpiegami i uszów tyż trza dobrze nadstawić, bo plusk wody zdaleka słychać. A cicho! nie gadać! bo wiatr roznosi głos.

Rozkazywał teraz swym piskliwym tonem i nikt mu się nie sprzeciwiał! bo każdy czuł, że on jest najlepiej obznajomiony z położeniem. Usiedli więc wszyscy na mokrej ziemi, każdy otulił się jak mógł najlepiej, bo deszcz ciągle padał i przejmujący wiatr świszczał wciąż między łożyną żałośliwie. Rzeka toczyła swe nurty z szumem i pluskiem na jej falach co chwila zapalały się nagle blaski i nikły zaraz. W dali, po drugiej stronie czerniała Warszawa, tu i ówdzie błyszcząc drobnymi światełkami. Nagle wiatr przyniósł wyraźny dźwięk zegaru z miasta i naliczono uderzeń dwanaście.

— Północek! — szepnął Rosolik — to na Pijarskiej wieży zegar bije, zaraz to poznałem! Jenó patrzeć naszych szpiegów, bo oni zawsze kole północks na swe złodziejskie wyprawy wyruszają. Upraszam mieć baczenie na rzekę i dobrze słuchać.

Wśród tego wszystkiego nagle za nimi zatrzeszczały lekko gałęzie i wypełzł na czworakach Stasiek. Zdyszany był mocno i przestraszony, bo przez chwilę siedział nieruchomy i szybko chwycił piersiami powietrze.

— Co się stało? — spytał Rosolik mocno zaniepokojony.

— Ale co się stało! Dobrze tatulowi pytać --- odparł z niechęcią Stasiek.

— Gadać zaraz co się stało?

— Ale to się stało, że kozaki stoją na kolonji pana Malinowskiego.

Wszyscy się zerwali na równe nogi i dalejże pytać, jak? co? czy ich widział? ilu ich jest? i t. p. Stasiek powoli przy-

chodząc do siebie, począł szeroko opowiadać, jak zbliżając się do pana Malinowskiego, zaniepokoił się tem, że nie zwęszył go pies Zagraj, który zawsze czekał, a teraz się ani odezwał i nie wypadł w krzaki, jak to zwykle czynił, ilekroć chłopiec podkładał się pod kolonję. Wobec tego Stasiak chłopiec sprytny, począł pełzać na czworakach i tym sposobem dotarł do samej kolonji, gdzie na dziedzińcu zobaczył kilkanaście czy kilkadziesiąt koni, ustawionych rzędem przy płocie, oraz mnóstwo kozaków, dość głośno ze sobą rozmawiających. W samym domu pana Malinowskiego wszystkie okna były oświetlone i Stasiak widział przesuwające się koło nich liczne cienie, co świadczyło, że zapewne starszyzna kozacka tam się znajduje. Oczywiście rzecz, że w takim położeniu, nie można było nawet myśleć o tem, żeby się widzieć i rozmówić z panem Malinowskim, więc Stasiak zawrócił i pełznąć ciągle na czworakach, dotarł do swoich.

Wiadomości te dały dużo do myślenia Władkowi i jego towarzyszom. Rzecz stawała się bardzo poważną. Obecność liczного oddziału nieprzyjacielskiego na Saskiej Kępie, oddzielonej od Warszawy niezbyt szerokiem korytem rzeki, którą można na łodziach przepłynąć niepostrzeżenie, świadczyła o jakichś niebezpiecznych zamiarach nieprzyjaciela. Na przeciwnym brzegu, na Solcu, nie było żadnej straży: wszak sam Władek z towarzyszami, nie widziany przez nikogo, odpłynął z Solca, wszak co noc czynił to Heliglas i nikt o tem nie wiedziałby, gdyby nie szewc, dzielny Rosolik. Czemużby zatem kozacy, zgromadziwszy kilka-

naście lub kilkadziesiąt łodzi, o co na Saskiej Kępie, nie było trudno, nie mieli w taką oto burzliwą, jak dzisiejsza noc przepłynąć na Solec, do Warszawy? Jakieżby tam, pojawienie się ich, straszliwy popłoch wywołało, jak groźne mogłoby mieć następstwa? Władek stał pogrążony w myślach, wszystko to sobie powtarzał i zastanawiał się nad tem, co by mu w takim położeniu, wobec takiej wiadomości czynić należało.

Tymczasem majster Rosolik piszczął:

— Ani chybi, kozunie przyjechali tutaj, żeby szpiegom dopomódz i czekają na nich.

Uwaga ta uderzyła Władka i zapytał:

— Ale dla czego tego dawniej nie było?

— La tego, panie oficjerze, że szpiegów dawniej nikt nie śledził. Jak się dowiedzieli, że mamy ich na oku, zażądali pomocy.

— Hm! może to być i jeżeli dzisiaj przysłano tu kozaków, to zapewne szpiegi wiozą jakieś ważne wiadomości. Przez Boga żywego, co robić?

— Panie adjutancie — wtrącił się Rozwora — ja rozumiem, że jeżeli kozunie przyjechali w kilkadziesiąt koni tak blisko pod Warszawę, to przecie musieli pikiety rozstawić. Inaczej nie może być, bo chociaż to jest liche wojsko, ale zawsze wojsko i po wojskowemu musi postępować.

— Więc cóż? dlaczego to sierżant mówi?

— Dlatego, panie adjutancie, że przedewszystkiem należy się o tem przekonać.

— A cóż nam z tego przyjdzie?

— To, że dowiemy się czy kozacy na co i na kogo czekają. Jeżeli bowiem pikiet nie rozstawili, to znaczy, że wpadli na Saską Kępę na chwilę i zaraz myślą się wynosić.

— Stasiek! — zaśpiewał dyszkancikiem majster — ruszaj mi na czworakach brzegiem samym i obacz czy pikiety stoją?

— Dobrze, tatu!

Wyrzekłszy to Stasiek, zaszył się zaraz w krzaki i słyhać było przez chwilę jak trzeszczały gałęzie, potem wszystko ucichło, tylko wicher wył po dawnemu i fale Wisły szumiały po dawnemu. Wszyscy umilkli i z biciem serca oczekiwali powrotu dzielnego chłopca. Wtem Wojtek, który stał nad samym brzegiem, w pobliżu łodzi, zapewne w tym zamiarze, ażeby przy pierwszym niebezpieczeństwie skoczyć do niej, nagle zawołał:

— Ktoś płynie!

— Gdzie? — spytał Rosolik.

— O tam... jeno się czerni i słyhać pluskanie.

W rzeczy samej, przy coraz bardziej rozjaśniającej się nocy, widać było coś czarnego, szybko posuwającego się po falach i wyraźnie słyhać było plusk wiosł, kilku silnemi rękami poruszanych. Wszyscy wyteżyli wzrok w tym kierunku i stali niemi, zasłuchani i zapatrzeni. Zjawił się też Stasiek i rzekł:

— Tatu, szpiegi ju jadą.

— A pikiety?

— Nie widać nigdzie żadnej.

Zapanowało chwilowe milczenie. Władek oszołomiony

szybko następującymi po sobie wypadkami, na razie stał, nie wiedząc co robić. Wtem Rozwora zbliżył się do niego i rzekł:

— Panie adjutancie, mnie się widzi, że trza coś robić?

— Ale co?

— Żeby tak na mnie, to jabym cichaczem podsunął się na to miejsce, gdzie szpiegi wylądują, tambym się ukrył i czekał, aż wyjdą z łodzi.

— A potem co?

— Potem nagle skoczyłbym między nich i łódź, którego za łeb capnął i do łodzi. Statek ich jest większy jak nasz i wszystkich wygodnie pomieści. Kiej już będziemy na łodzi, w nogi do Warszawy z niewolnikiem.

Władek chwilę pomyślał i rzekł:

— Tak! to jedyny środek. A więc w drogę, tylko ostrożnie się przemykajmy, żeby nas nie usłyszano. A gdy wylądują rzucimy się na nich! za najmniejszym oporem palić w łby jak psom. Broń mieć na pogotowiu. A teraz w imię Boże, naprzód!

Wszyscy pięciu, bo i Stasiak puścił się przodem, by wskazywać drogę, którzydy iść najlepiej, ruszyli, skradając się ostrożnie. Tu w krzakach zresztą było tak ciemno, że najbystrzejsze oko nie byłoby w stanie ich dostrzec, a łoskot sprawiany przez wiatr między gałęzmi drzew, szum wzburzonej rzeki, zagłuszał każdy szmer, jaki mógł sprawiać Władek i jego towarzysze. W ten sposób dostali się na koniec zarośli i tu się zatrzymali. Przed nimi leżała niewielka, naga polanka, do której łódź dążyła, walcząc uparcie z

byстрыm prądem rzeki. Wyraźnie już teraz widzieć można było czarną plamę, poruszającą się szybko po srebrzystych falach Wisły.

Nakoniec przybiła do brzegu. Najprzód wyskoczył na ląd wysoki, barczysty mężczyzna, zatrzymał się i rzekł po niemiecku głosem stłumionym i wyraźnym:

— *Gott sei Dank* — Bogu niech będą dzięki, żeśmy szczęśliwie przyплыli. No! Fryc wyłaż i ty Johan. Nelda niech przymocuje łódź i niech idzie za nami.

Władek odrazu poznał w wysokim mężczyźnie straszego Heliglasa. A więc wszyscy są tutaj, i Fryc, w dzień w obozie polskim sprzedający cygara, a w nocy trudniący się szpiegostwem i Nelda i jeszcze jakiś Johan. Szanowna czwórka!

Tymczasem Heliglas, zacierając ręce, zapewne zgrabił od zimna, mówił dalej:

— Wymknęliśmy się zręcznie tym łotrom polskim.

— A może oni są tutaj na Kępie i czyhają na nas gdzie w krzakach — zauważył Fryc.

— Jeżeli tu są, to już kozacy ich wyłapali. No chodźmy, spóźniliśmy się nieco, a ten barbarzyńca i pijak, kapitan kozacki musi się niecierpliwić.

Nelda przywiązała już łódź do pala, wbitego zapewne umyślnie w ziemię i widać było jej sylwetkę wysoką i zręczną. Właśnie zamierzała wyjść na ląd i podążyć za swymi towarzyszami, którzy już kilka kroków postąpili naprzód, gdy Władek syknął:

— Naprzód! — i pierwszy wypadł z krzaków z pistoletem w rękę.

Za nim wyskoczył Rozwora i rzucił się na Heliglasa z szybkością błyskawicy i kolbą od pistoletu taki mu zadał cios potężny, że olbrzym z głośnym okrzykiem chwycił się oburącz za głowę, potoczył i padł jak długi. Władek biegł ku człowiekowi, którego Heliglas nazwał Johanem, ale ten dość wcześnie się spostrzegł, cofnął się parę kroków i dał ognia z pistoletu. Kula gwizdnęła koło uszów Władka, ale go nie raniła, natomiast zerwała czapkę z głowy Wojtka, który pędził tuż za swoim paniczem. To go wprowadziło w taką wściekłość, że jak tygrys rzucił się na Johana, uchwycił go potężnymi rękami za gardło, powalił na ziemię i byłby może udusił, gdyby nagle nie rozległ się drugi strzał. To Fryc strzelił i począł uciekać, krzycząc w niebogłosy:

— *Karaut! karaut!*

W tem zamieszaniu Władek na chwilę stracił przytomność i byłoby się Bóg wie na czem skończyło, gdyby nie piskliwy głos majstra Rosolika:

— Kozacy! kozacy! do łodzi! do łodzi!

Oczywiście nie było czego czekać. Wiatr wyraźnie donosił okrzyki kozaków, rozkazy, tętent koni. Rozwora porzucił szamocącego się i klnącego Heliglasa, po drodze zaś zawołał do Wojtka:

— Weź go za łeb i ciągnijmy do łodzi!

I począł pomagać Wojtkowi w owładnięciu Johanem. Ten był tak mocno przyduszony serdecznym uściskiem Wojtka, że prawdopodobnie stracił przytomność i nie sta-

wiał żadnego oporu. Podniesiony przez cztery silne ramiona, w okamgnieniu został zawleczony do łodzi i rzucony na jej dno, jak bezduszna kłoda. Znajdowali się tam już Stasiak i jego ojciec, który swym cienkim dyszkancikiem gadał do oszołomionej i nie pojmującej co się dzieje, Neldy:

— Niechno panna sobie siądzie i ani słówka nie piśnie, bo widzi panna to cacko?

Tu pokazał jej pistolet i dodał:

— Choć nie jestem żaden zwierz, łasy na krew ludzką, ale jak ojczyznę kocham, a to jest święte słowo, palnę pannie w łeb!

I wyciągnąwszy swe długie, chude, kościste ręce, podobne do szponów pająka, chwycił niemi Neldę za oba ramiona i pchnął tak silnie w głąb łodzi, że padła z głośnym okrzykiem, a widząc już wszystkich w łodzi, nawet Władka, który wolno, jakby ociągając się, wchodził do niej, wołał:

— Niech pan oficer nie marudzi i siada sobie. No! panie sierżancie, za wiosła i w nogi!

Łódź pchnięta silnie, odbiła od brzegu. Czas już był wielki, bo gromada kozaków z piskiem, wyciem piekielnem przypadła nad rzekę, kręcąc się na wszystkie strony w nieustannym ruchu. Nim się jednak opamiętali, nim zrozumieli o co idzie, łódź już odpłynęła kilkanaście sążni. Wkrótce jednak rozległy się rozkazy: *strelaj! strelaj!* i błysnęły piorunowe ogniki, rozległ się huk i kule jak grad sypać się poczęły w kierunku łodzi. Ale że jej już dobrze widać nie było, że zmierzono powodując się raczej strachem jak wzrokiem, że konie spłoszone rzucały się pod

jeźdźcami, więc żaden pocisk w łódź nie trafił, tylko z głośnym pluskiem padał w wodę.

— Panie sierzancie, przestań wiosłować — syknął Rosolik — puśćmy się z prądem. On i tak skręca ku Warszawie i piorunem nas poniesie. Tu mogą nas te hycle postrzelić, bo słyszą pluskanie wiosła.

Rozwora więc przestał wiosłować, bystry prąd wody porwał łódź i poniósł ją naprzód z szaloną szybkością, tak, że choć kozacy nie przestawali strzelać, jednak kule tu nie dochodziły i żeglarze byli już zupełnie bezpieczni.

— Teraz do wiosła — rozkazywał Rosolik — Stasiu trzymaj ster. Szulec stąd niedaleko, za dwa pacierze tam będziemy. Strzelajcie sobie, strzelajcie głupcy! — wołał zwracając się ku Saskiej Kępie — psujcie proch barany jakieś. Hej! kumie Wojciechu, a zwiąż no tego zbója, bo zaczyna się jakoś kręcić niespokojnie i na panienkę też, niech pan oficer ma oko. No! no! Pan Jezus miał nas w swej opiece i jutro u Fary świecę woskową dam na ofiarę. A! otóż i Szulec!

XIV.

Z uczuciem niewysłowionej ulgi i radości, że szczęśliwie uniknięto bardzo groźnego niebezpieczeństwa, znaleźli się wszyscy na Solcu. Majster Rosolik wydrapawszy się na brzeg, co mu z trudnością przychodziło z powodu krótszej jednej nogi i garbu na plecach, zagwizdał przeraźliwie

i na to hasło, jakby z pod ziemi wypadło kilkudziesięciu chłopców od 14 do 16 lat, terminatorów, słusznie przez panią Kunegundę określonych „rozczochanami łbami”, bo większość była bez czapek i miała mocno rozwichrzone czupryny.

— Co słyhać chłopcy? — spytał majster Rosolik.

— Nic panie majstrze, jeno kole północka trzech jakichś ciarachów i jedna niewiasta siedli na łódkę i popłynęli. Ale że mieliśmy przykaz takim nie przeszkadzać, więc nie zaczepialiśmy ich wcale.

— To dobrze, ju my wiemy o tem i powitaliśmy ich tam na Szaszkiej Kępie jak przynależy. A wieczrze jedliście?

— A jakże. Pani majstrowa wołała nas po dwóch, po trzech i każdemu dała kromkę chleba z serem...

— I tyż z kiełbasą! — zawołał któryś z tłumu.

— To dobrze smyki. Tera ju nie jesteśta potrzebni. Tko chce, niech dyma do domu, a tko nie chce niech ostanie i idzie spać na górę. Tam je słoma i może się galanto wyspać. Jeno mi ognia nie zaproszyć, bobym skórę z kuźdego zdarł i na kołku powiesił.

Wygłosiwszy tę straszną groźbę, majster poprowadził swych towarzyszków i jeńców do siebie do izby, witany radośnie przez panią Kunegundę.

— Kundziu — piszczał — nagotuj no nam krupniku, bośmy przemokli i zmarzli straszecznie.

Istotnie wszyscy po tej ciężkiej przeprawie, byli znużeni śmiertelnie i potrzebowali spoczynku i posiłku. Pani

Kunegunda zakrzętnęła się koło ognia na cyganku, rzucając ciekawe i przenikliwe spojrzenie na Neldę, która otulona w dużą chustkę, zakrywającą jej pół twarzy, stała w swej figurze zręcznej pod ścianą nieruchomie, nie odzywając się wcale. Teraz dopiero przy świetle, można było dokładniej przypatrzeć się wziętemu do niewoli Johanowi i jego towarzyszce. Pierwszy, z rękami skrępowanymi silnie rzemieńcem w tyle, wprowadzony do izby, padł na pierwszą lepszą ławę i siedział nieruchomy, ciężko robiąc piersiami, widocznie nie przyszedł jeszcze zupełnie do siebie po zbyt gorącym uścisku Wojtka. Był to mężczyzna wysoki, barczysty, ubrany w krótki kożuszek, łosiowe mocno zabrudzone i podniszczone spodnie, w wysokie buty i czapkę barankową. Był rudy, wygolony, miał tylko obyczajem niemieckim faworyty i podbródek. Twarz była odrażająco brzydka, czerwona, wejście dzikie. Od czasu do czasu rzucał z podełba mściwe spojrzenie na obecnych. Nelda ubrana w krótką, wełnianą, starą spódnicę otulona szczelnie, ukrywając twarz starannie, stała wciąż pod ścianą nieruchoma i milcząca.

— Czegój panna stoisz? — zawołała nagle swym grubym głosem pani Kunegunda — usiądź sobie i odpocznij, nim cię, hyclówko jakaś, powieszą na Grzybowie.

Nelda nic na to nie odrzekła, tylko siadła cicho na ławie pod piecem w pobliżu ciężko dyszącego Johana i parę razy coś do niego szeptała.

Tymczasem Władek i jego towarzysze, przy wazie gorącego krupniku, który Wojtek połykał jak gąbka, zawiedli radę, co robić z jeńcami.

— Co robić? — zapiszczał majster Piotr Rosolik, uderzając chudemi rękami w stół — powiesić szelmów oboje. U mnie tu na podwórzu jest stara uschnięta lipa, postronków też nie brak, więc nie zwłóczyć, jeno szpiegów na gałąź i kwita! Prawda Kundziu?

A pani Kundzia z rękami opartymi o szerokie biodra, stojąc obok siedzących mężczyzn, odrzekła grubym basem:

— Prawda Pietruś, prawda. Ty obwieszysz tego zbója rudego, a ja tę hyclówkę!

Ale temu doraźnemu wyrokowi oparli się jak najkategoryczniej Władek i Rozwora.

— Nie możemy, nie mamy prawa do tego — mówił Władek — od tego jest sąd, władze, one mają moc karania zdrajców i szpiegów, nie my.

— Sąd! władze — zapiszczał, bijąc długimi rękami Rosolik — znam ja te sądy i te władze. Wszystko to zdrajcy, zaprzańce i zgubę zgotują ojczyźnie, jeżeli my szewcy i obywatele nie zrobimy porządku i wszystkie te sądy i te władze nie powywieszamy na latarniach. Te szpiegi — dodał wskazując na Johana i Neldę — są moją własnością, moją krwawicą, ja nie jadłem, nie spałem, butów nie szyłem, a za szpiegami chodziłem, kiedy te sądy i te władze spijały dobre winka i dobre cygara paliły, a ojczyzna szła na zatracenie. Nie dam, nie dam, a sam z Kundzią tego szelmę Szwaba i tę łotrzykę Szwabkę powieszę na uschniętej lipie na podwórzu.

— Głupstwo! — mruknął Rozwora — nakaz jest odstawić do obozu szpiegów i nakaz ten musi być spełniony. Ja nie oprawca, żebym ludzi wieszał, niech sobie robi to

ten, do kogo należy. Głupstwo rozum zjadło, ot co jest.

Ale Rosolik się upierał i podniecony gorącym krupnikiem, piszczął coraz przenikliwiej, bił długimi rękami o stół i nogi własne, skakał, przysiadał, wstawał i wołał rozpaczliwie:

— Na zatracenie pójdzie ojczyzna. Jak Pana Boga kocham pójdzie na zatracenie. Obaczycie, że w Warszawie szpiegów puszcza i jeszcze im nagrodę dadzą. Albo ja to nie wiem? czy ja nie znam tych zatracenców, panów, hrabiów i jedneratów? Wszystkich ich na szubienicę, na szubienicę! bo inaczej Polska zginie, zginie jak Kundzię i moje miłe dziecieczki kocham!

A miłe dziecieczki, które już spały, zbudzone piskliwym krzykiem ojca, popodnosiły z poduszek zapierzone mocno głowy i nuż w niebogłósy krzyczeć, nie rozumiejąc, co się dzieje i przypuszczając zapewne, że ich ojcu jakieś niebezpieczeństwo grozi. Pani Kunegunda musiała ich zręcznie i szybko wymierzonymi klapsami uspakajać, a Rozwora słuchając paplaniny szewca, ciągle powtarzał:

— Głupi! głupi!

Wojtek, który korzystając z ogólnego zajęcia się czem innym, nie pilnowany wcale przez Władka, tak się uraczył krupnikiem, że stracił przytomność, położył głowę na rękach na stole i chrapał, aż się w izbie rozlegało, zbudzony krzykiem, zerwał się na równe nogi i myśląc, że ma do czynienia z Niemcami, chwycił oburącz szewca Rosolika za gardło tak silnie, że ten zzieleniał i jak kurczę bić począł w powietrzu rękami i nogami. I byłoby Bóg wie do

czego doszło, gdyby pani Kunegunda, zajęta czynnem uspokajaniem swych miłych dzieciętek, nie była usłyszała żałośliwego jęku swego małżonka. Odwróciła się, skoczyła ku Wojtkowi, wymierzyła mu potężną dłoń tak silny policzek, że dzielny podoficer pułku szaserów zachwiał się, puścił duszącego się szewca i jak długi runął na ziemię, było to dziełem jednej chwili.

Wypadek ten niespodziewany rozstrzygnął spór ostatecznie. Rosolik zduszony mocno, nie mógł już gadać i zaraz legł spać, jęcząc i wymyślając na Wojtka, który po otrzymanym policzku otrzeźwiał nagle i przepraszał, tłumacząc się, że myślał iż Johana dusi. Uspokojono się wreszcie. Władkowi i Rozworze pani Kunegunda ustąpiła alkierza, gdzie obaj legli w mnóstwie pierzyn, Wojtek za karę musiał spać na twardej ławie w warsztacie. Johana zamknęto w piwnicy z łobuzami, a Nelde zabrała pani majstrowa pod swą opiekę do pustej izby z drugiej strony sieni. Wszyscy znużeni mocno wypadkami tego, pełnego przygód dnia, odrazu zasnęli; w domku majstra Rosolika, dotąd brzmiącego rozgwarem, zaległa senna cisza. Jeden tylko Wojtek przewracał się z boku na bok na twardej ławie i wzdychał żałośliwie, przypominając sobie, jak to przed paru dniami wygodnie spoczywał w alkierzu na „miękkuchnych”, jak się wyrażał, pierzynach pani Kunegundy.

Ale nazajutrz zrobił się w domu Rosolika rejwach straszliwy. Majster przyzwyczajony o świcie wstawać, jak tylko dzień się zrobił, zerwał się ze swego posłania i stę-

kając, wygadując na Wojtka i na pijaństwo wyszedł na podwórze zobaczyć co się dzieje z Johanem i z łobuzami zamkniętymi w piwnicy. Jakież było jego zdziwienie i przerażenie, gdy obaczył piwnicę na pół rozwaloną i więźniów zbiegłych. Chwycił się za głowę i począł, biegając po podwórzu krzyczeć co sił swym piskliwym głosem:

— Rety! rety ludzie ratujcie!

Pierwsza, krzyk rozpaczliwy swego małżonka, usłyszała pani Kunegunda i wypadła na podwórze jeszcze w czepku nocnym, z włosami wzburzonemi, przypominającemi „łby rozczochrane” terminatorów wczorajszych. Po pani Kunegundzie zjawił się Wojtek stękający i narzekający, że go od leżenia na twardej ławie wszystkie kości bołą, a za nim wybiegli Władek i Rozwora, a niebawem zjawiły się wszystkie miłe dziateczki małżonków Rosolskich, w koszulinach i boso, choć nad ranem wziął lekki przymrozek i było zimno. Wszyscy otoczyli zrujnowaną piwnicę, weszli nawet do jej wnętrza i przekonali się, że więźniowie rozwalili całą jedną ścianę i część dachu i otworem tym wyszli sobie najspokojniej na podwórze, a stąd przez furtkę w bramie na ulicę.

— Otóż to męczyński rozum, wołała pani Kunegunda, załamując ręce, wzburzona nadzwyczajnie, z przekrzywionym na bakier czepcem nocnym — otóż to wasza przechwalona mądrość!

I zwracając się do męża krzyknęła.

— Nie mówiłam ci niezdaro jakiś, żebyś terminatorów nie rozpuszczał do domów, jeno żeby pilnowali piwnicy

i całego podwórza? nie mówiłam ci, co? ale ty nigdy twojej małżonki nie posłuchasz, pokrako jakaś!

— Bój się Boga, Kundziu — sumitował się cieniutkim głosem pan majster szewski — wcale tego nie mówiłaś...

— Nie mówiłam? a właśnie, że mówiłam, jeno ty nigdy nie słuchasz. Masz teraz, szpieg uciekł, łobuzy uciekły, piwnice zrujnowali, szkody najmniej na dwadzieścia złotych narobili, i co będzie teraz? powiedz, co będzie teraz?

— A nic, cóż ma być? Szpieg uciekł, ale zawsze mamy dziewczynę, zawieziemy do obozu...

Nie skończył, bo pani Kunegunda plasnęła w ręce i zawołała:

— Laboga! drzwi ostawiłam otwarte, furtka też w bramie otwarta!

To rzekłszy, pędem wyskoczyła z piwnicy i co miała sił, biegła ku domowi, aż jej czepek spadł z głowy i włosy rozwiały się na wszystkie strony. Ale nie zważała na to, tylko leciała ku domowi, wpadła do sieni, stąd do izby, w której noc razem z Neldą przepędziła i na progu skamieniała. Izba była pusta, Neldy ani śladu.

— Rany Boskie! — wrzasnęła pani Kunegunda — Szwabka uciekła!

I nie czekając, prawdopodobnie w przypuszczeniu, że Nelda nie może się jeszcze daleko znajdować, tak jak stała pani majstrowa, z włosom rozwianym, w jakichś dziurawych pantoflach na bosych nogach, rzuciła się naprzód, przebiegła w paru skokach przez podwórze i wypadła za bramę na ulicę, krzycząc w niebogłosy:

— Łapaj! trzymaj!

Ale na ulicy nie było widać nikogo, tylko szła z dwójakami w rękach jakaś kobieta, która na krzyk pani Kunegundy zatrzymała się i poczęła pytać:

— Kogo pani tak goni, pani Pietrowa?

— A! to pani, pani Kacprowa? Nie widziała pani Szwabki?

— Jakiej Szwabki?

— Ano, takiej, w spódnicy czarnej, wełnianej, w dużej chustce kraciastej.

— A widziałam!

— Gdzie?

— Ano tu niedaleko. Wyszła ze dworku państwa, a że przejeżdżała akuratnie derożka Wawrzeńca... pani Pietrowa zna przecie derożkarza Wawrzeńca, co w kamienicy starego Pawłowskiego mieszka i tyż ma tam stajnię.

— Znam, znam, ale cóż ta Szwabka?

— Niby ta co siadła do derożki?

— Więc do derożki siadła?

— Ano tak. Widziałam jak siadła, jak coś Wawrzeńcowi pedziała, on śmignął batem po koniach i polecieł. Ju teraz muszą być na Jerozolimskiej.

Pani Kunegunda plasnęła w ręce i szepnęła:

— A mój Boże! ju tera po wszystkim!

I nie odpowiadając na pytanie pani Kacprowej z dwójakami, ogromnie zaciekawionej tem wszystkim i nic nie rozumiejącej, o co właściwie idzie, pani Kunegunda zawróciła do domu z załamanemi rozpaczliwie rękami, pod-

niosła po drodze czepek, nadziała go na głowę a zobaczywszy dygoczące od zimna na podwórzu miłe swe dzieci, boso i w koszulinach tylko, wpadła w straszny gniew i wymierzywszy każdemu po kolei po kilka tęgich klapsów, wśród krzyku i płaczu, zapędziła je zpowrotem do izby. Sama na pół zemdlna od silnego wzruszenia i szybkiego biegu, siadła na ławie i tak siedziała z głową spuszczoną, szepcząc od czasu do czasu do siebie:

— Ju tera po wszystkim!

Zaraz też i mężczyźni wrócili z podwórza z minami bardzo rzadkimi. Władkowi przykro było, że tyle wysień, tyle narażeń się na groźne, prawie śmiertelne niebezpieczeństwo, pozostało bezpłodnem; wstyd mu było, że rozkazu jenerała Skrzyneckiego nie wykonał i że wróci z niczem do obozu. Wojtek zły był, że się nie wyspał, że go kości bolą od twardej ławy i że to jego poświęcenie było próżnem.

— Żeby teraz tego bezskurcję szwaba schwycić, tobym go udusił, jak „ament” w pacierzu. I wszyckiego winien pan sierżant.

Pan sierżant spojrział na Wojtkę pytająco.

— A tak — ciągnął tenże dalej — bo żeby nie pan, tobym był wtedy, tam na Saskiej Kępie, zara Szwaba na miejscu udusił, ale pan kazał mi go za łeb ciągnąć do łodzi. No, i pociągnąłem hycła za poszycie, a tera co?

Pan sierżant Rozwora nic nie odrzekł, tylko mrugnął:

— Głupi!

Szewc Rosolik zapiszczał:

— Panie oficerze, cóż tera będzie?

— A nic — odrzekł Władek — wracamy do obozu i zdamy pułkownikowi Wolskiemu raport o wszystkim.

— I o tem, że nawet Szwab i Szwabka uciekli? — spytał Wojtek.

— Oczywiście, że i o tem.

— A jabym paniczu nic o tem nie gadał. Na co? chyba na to, żeby nas pułkownik zwymyślał i na odwach posłał. Po co po próżnicy gadać o tem? Szpiegów bez to nie chycimy, a samym nam dostanie się galante mycie łba.

Rozwora znowu mruknął:

— Głupi!

I powstając z ławy rzekł głośno:

— Panie adjutancie wracamy do obozu?

— Wracamy.

Poczęto się więc wybierać i żegnać, a szewc Piotr Rosolik wołał głosem piskliwym machając zawzięcie swemi długimi rękami.

— Jedźcie sobie panowie wojacy do *obozu, brońcie ojczyzny, ale przysięgam wam, jak Kundzie kocham, i moje miłe dziateczki, że szpiegom tego despektu nie daruję; nie daruję jakem Piotr Rosolski, majster szewcki warszawski. Ho! ho! poznają oni, co to zadzierać z Pietrem Rosolskim. Zaleję ja im jeszcze sadła, skórę z nich zedrę i przyszwę z niej zrobię na trzewiczki dla mojej Kundzi. Prawda Kundziu?

— Prawda Pietruś! jęknęła żałośliwym basem pani Kunegunda, siedząca wciąż w omdlałej postawie na zydlu, z

czepcem na bakier przekręconym na rozczochranej głowie.

Pożegnano się na koniec, podziękowano za gościnność i ruszono na ulicę. Po drodze wziął Władek dorożkę, która ich zawiozła aż do Olszynki, gdzie stał ich pułk strzelców pieszych. Dzień był mroźny, przymrozek chwycił, ale niebo było czyste i słońce nawet ukazywać się zaczęło. W obozie wrzał ruch, palono ognie, gotowano śniadanie, śpiewano pieśni patryotyczne i nad całym tem zbiorowiskiem ludzi i koni unosił się jakiś duch wesela, swobody i ufności. Nieprzyjaciół, ukryty ciągle w gęstych lasach Wawerskich, nie myślał także o rozpoczęciu boju i robiło to wrażenie ciszy jaka zwykła poprzedzać wielką burzę.

Władek przedewszystkiem udał się do pułkownika Wolskiego i zdał mu szczegółowy raport o swej nocnej wyprawie, o kozakach na Saskiej Kępie, o krótkiej walce ze szpiegami, o wzięciu do niewoli Johana i Neldy i na koniec o ich ucieczce.

— Więc waćpan, mości adjutancie — zapytał pułkownik — wróciłeś z próżnemi rękami.

— Tak, panie pułkowniku.

— To dość głupio, do kroćset!

I zamyślił się na chwilę i spytał:

— Mówisz waćpan, że kozacy są na Saskiej Kępie?

— To jest, czy są teraz, nie wiem, ale w nocy byli.

— To ważne, bardzo ważne! Miljonset kartaczy, kozacy pod naszym nosem, a my o tem nic nie wiemy. I dużo ich było?

— Podobno kilkadziesiąt koni.

— Jakto podobno? czyś sam ich nie widział?

— Nie, panie pułkowniku, tylko wysłany na zwiady syn szewca Rosolika widział ich, a potem w czasie naszej utarczki ze szpiegami kozacy przylecieli i strzelali do nas.

— I nie wiesz ilu ich było?

— Nie wiem, ale strzały szły gęsto, przypuszczam więc, że musiało ich być ze trzydziestu, mniej więcej.

— Kiepski z waćpana, mości adjutancie żołnierz. Na-leżało samemu naocznie przekonać się o ilości kozaków.

— Miałem polecenie schwytać szpiegów i o tem tylko myślałem.

— Co mi tu waćpan do kroćset bataljonów pleciesz! Najważniuszem było zbadać zkąd, po co i w jakiej liczbie zjawili się kozacy na Saskiej Kępie. Waćpan o tem po-winieneś był myśleć, a nie o szpiegach! Nie, dość tego, idę do jenerała, a waćpan, mości adjutancie ruszaj odpocząć sobie i bądź gotowym na każde nasze zawołanie.

Odwrócił się mrucząc:

— Kozacy na Saskiej Kępie, pod naszym nosem! do licha, to bardzo ważne.

Władek wyszedł smutny i zniechęcony i powlókł się do namiotu znajomych oficerów, żeby w rzeczy samej odpocząć sobie po nocy spędzonej wśród tak wyczerpujących przygód. Powitano go w namiocie pytaniami, gdzie był, co robił, ale Władek zbywał ciekawych półsłówkami bo najprzód nie było się czem chwalić, a potem miał surowy nakaz jenerała Skrzyneckiego, aby całą sprawę o szpiegach zachował w najgłębszej tajemnicy. Nie odpowiadając więc

na pytania, rzucił się na posłanie ze słomy, nędznymi derkami przykryte, otulił płaszczem i niebawem zaśnął mocno.

Spał długo i obudzono go na obiad dość skromny, bo złożony z kaszy i baraniny gotowanej, wysłuchał opowiadanych sobie plotek obozowych i znowu zaśnął.

Szary mrok wieczorny już zapadał, gdy Wojtek obudził go z doniesieniem:

— Pan pułkownik panicza wołają.

Władek przybrał się w mundur, umył na prędcę, oczyścił i poszedł do pułkownika z pewną obawą, że znowu będzie skrzyczany surowo. Ale pułkownik powitał go dość grzecznie i rzekł:

— Mości panie adjutancie, z rozkazu generała dywizji Skrzyneckiego siądziesz na koń i ruszysz z dwoma szwadronami ułanów z pierwszego pułku, pod wodzą majora Kwiecińskiego na Saską Kępę. Major Kwieciński ma rozkaz przetrząśnięcia całej Kępy i przepłoszenia kozaków, a waćpan wskażesz mu miejsce, gdzie dziś w nocy stali. Sam zaś przepytasz się mieszkańców, kiedy i w jakiej ilości kozacy pojawili się na Saskiej Kępie i po powrocie zdasz mi raport. Żegnam waćpana i życzę lepszego jak nocy poprzedniej powodzenia.

XV.

Władek z niechęcią wybierał się na tę nową wyprawę. Pułkownik kazał mu poprowadzić ułanów do domu, w którym nocy wczorajszej stali kozacy, lecz on sam nie wiedział gdzie jest ten dom; pamiętał tylko, że właściciel jego nazywał się Malinowski. Ale wobec groźnej i surowej postawy pułkownika, nie dopuszczającej żadnej objeckji, nie śmiał się odezwać i wysłuchał w milczeniu rozkazu, który nie wiedział jak wykonać. Smutny, zły, przewidując, że może wrócić z niczem, siadł na koń, wziął ze sobą Wojtka i ruszył do ułanów.

Major Kwieciński, który miał dowodzić tą wyprawą, był to stary rubaszny żołnierz, krzykała i burczymucha. Służył kiedyś w wojsku austriackiem, z którego jeszcze za czasów Księstwa Warszawskiego poszedł do szeregów polskich. Od Austriaków nabył przysłowia: „sakramencka mózgownico”, które nieustannie powtarzał wpadłszy w gniew. Zresztą był to dobry człowiek, wyborny kawalerzysta i służbista wielki. W jego dywizjonie ład, porządek i karność była wyśmienita.

Kiedy mu się Władek przedstawił, zmierzył go od stóp do głów maleńkimi, siwymi i głęboko osadzonemi oczkami, i rzekł:

— To waćpan masz mi wskazać gdzie są kozacy?

— Kazano mi to uczynić panie majorze, ale wątpię czy zdołam to zrobić.

— Dlaczego?

- Bo nie wiem gdzie są kozacy.
- Jakto nie wiesz?
- Wiem tylko, że przeszłej nocy byli na Saskiej Kępie.
- Więc dlaczego sakramencka mózgownico, podjąłeś się tego?

Władek usłyszawszy po raz pierwszy takie osobliwe przekleństwo, zmieszał się i obraził trochę. Odrzekł więc tonem chłodnym:

— Nie jestem żadną sakramencką mózgownicą, tylko Władysławem Jasińskim, adjutantem pierwszego pułku strzelców pieszych.

Major popatrzył na niego i rzekł:

— To jest moje przysłowie i waćpan mości adjutancie pierwszego pułku strzelców pieszych, nie masz się czego obrażać. Kiedy ja już wojowałem i byłem oficerem, to waćpan jeszcze koszulinę nosił w zębach. Rozumiesz sakramencka... no! przepraszam. Ale po kiego licha waćpana dano mi za przewodnika, skoro nie wiesz gdzie się kozacy ukrywają?

— Wiem tylko tyle, że przeszłej nocy obozowali w domu jakiegoś Malinowskiego.

— A gdzież jest ten dom?

— Tego właśnie dobrze nie wiem. Gdzieś niedaleko od Wisły, wprost Solca.

— Hm! to niewiele waćpan wiesz. Po kiego licha mi waćpana przysłano? Teraz ta wszędzie młokosów pakuja a starymi żołnierzami pomiatają. Co mi po waćpanu, sakramencka mózgownico?... No! formuj się szóstkami od

prawego i za mną marsz! Waćpan przy mnie pojedziesz.
Aco to za dryblas?

Pytanie to było zwrócone do Wojtka, który stał tuż za Władkiem.

— To mój ordynans, panie majorze.

— Fiu! fiu! waćpan nawet na Saską Kępę bez ordynansa nie jeździsz? Zapaskudzili, z przeproszeniem, wojsko paniczykami! No! sakramencka mózgownico, ruszaj na tyły dywizjonu na oczy mi się nie pokazuj!

Wojtek, do którego się ten rozkaz stosował, jak niepyszny zawrócił i umieścić się musiał za kolumną, mrużąc:

— To ci bezskurcja ten major! jak spojrzysz na człeka, to jeno ciarki po skórze przechodzą.

Major w milczeniu poprowadził swoich ku Pradze, a ztąd brzegiem Wisły dostał się na Kępę. Tu wysłał przed siebie szpicę z dwu ułanów i komenderującego podoficera złożoną, po bokach roszytał dwa plutony we flankierów, i tak posuwał się wolno w szyku bojowym z wszelkimi ostrożnościami. Major jechał ciągle na czele szwadronów i milczał. Zalecił w szeregach największą cichość i palić tytoniu zabronił, pałasze kazał wiaść na haczyki u pendentów, żeby nie dzwoniły.

Przejechano wielkie, płaskie, bezdrzewne łąki od strony Pragi bez żadnej przygody i zbliżono się do zamieszkałej części Saskiej Kępy, pełnej ogrodów, sadów i drzew. Tu trzeba było bardzo ostrożnie posuwać się naprzód, żeby nie wpaść w jaką zasadzkę, nie zaplątać się w opłotki i parkany. Major zwrócił się do Władka i rozkazywał:

— Mości adjutancie pierwszego pułku strzelców pieszych. Pojedziesz waćpan z jednym plutonem ułanów i wyszukasz mi owego Malinowskiego, w którego domu, jak waćpan powiadasz, mieli stać wczorajszej nocy kozacy. Porucznik Piotrowski jest mi potrzebny! — zawołał zwracając się do stojących za nim szeregow.

Gdy nadjechał porucznik Piotrowski, major doń rzekł:

— Weźmiesz waćpan swój pluton i pojedziesz za tym oto adjutantem.

— Panie majorze! — zapytał Władek — czy mogę wziąć mojego ordynansa?

— A to po co?

— On był wczoraj ze mną i może mi dopomódz do odszukania domu Malinowskiego.

— Major pomyślał chwilę i rzekł:

— Dobrze, weź go sobie waćpan. Porucznikowi Piotrowskiemu zaleca się ostrożność i baczność. Gdyby go atakowano cofnąć się na mnie, ja tu będę czekał.

Wyruszono w milczeniu z plutonem naprzód. Władek kombinował sobie, że najlepiej będzie dotrzeć do Wisły i nad jej brzegiem posuwać się dopóty, dopóki nie zobaczy światła na Solcu i wtedy dopiero szukać owego domu Malinowskiego. Ale było to dość trudnem, bo nad samym brzegiem rosła gęsto wiklina, krzaki i drzewa. Mimo to dostano się szczęśliwie do rzeki, której fale z głuchym pluskiem o brzeg biły.

— Gdzie my właściwie jedziemy? — spytał się Władka porucznik Piotrowski.

Był to młody człowiek, bardzo sympatycznej powierzchowności, ale widocznie mało rozzagarnięty i zakłopotany odpowiedzialnością, która na nim ciążyła. Gdy mu Władek opowiedział o co idzie, przestraszył się jeszcze bardziej.

— Gdzie ja u kaduka tutaj pluton mogę rozwinąć? Same płoty i krzaki, tu trzeba piechoty a nie jazdy. Wyślano mię na straconą placówkę. Dalibóg, kolego, głowę tracę i chyba dalej nie pojadę.

— Piechota kozakom nie wieleby zrobiła — odrzekł Władek — i niechno kolega nie traci odwagi. Nim się posuniemy naprzód, trzeba zbadać okolicę. Zdaje mi się, że niedaleko ztąd muszą być już domy kolonistów. Zejdę z konia i z moim ordynansem zapuścimy się pieszo w tę gęstwinę i przejrzymy ją dokładnie.

Rada ta podobała się bardzo Piotrowskiemu. Wezwany Wojtek skrzywił się nieco, ale bał się niezadowolenie swoje okazać. Mruknął więc:

— Ha! raz kozie śmierć. Kiej panicz idą, to cóż robić? pójde i ja.

Zeszli więc z koni i puścili się w czerniejącą przed nimi gęstwinę, posuwając się z wszelką ostrożnością; nie byli jednak tak wprawni w to, jak Stasiak, syn Rosolika i kilkakrotnie nastąpili na suchą gałąź, która pod ich nogami zatrzeszczała złowieszczo. Zatrzymywali się wtedy, bo zdawało im się, że trzask ten rozlega się nadzwyczajnie donośnie, że wszędzie go słyszą, i przez chwilę stojąc nie śmieli oddychać. Ale w około nich leżała poprzednia cisza, tylko Wisła szumiała po dawnemu. Uszli w ten

spósób może ze dwadzieścia kroków, przyczem obaj spocili się jak myszy i Władkowi, idącemu przodem, zdawało się, że gęstwina rzednieje i że muszą być niedaleko tej polany, na której wczoraj stoczyli walkę ze szpiegami. Udzielił tej uwagi Wojtkowi i spytał:

— Jak ci się zdaje, czy ja się nie mylę?

— Czy ja ta wiem, paniczu? Nic przecie nie widać, ja po prawdzie, swojej własnej, z przeproszeniem, łapy nie widzę.

Mówili szeptem i zdawało się że nikt ich nie może usłyszeć, że zresztą w tych krzakach nikt się nie znajduje. Ledwie atoli Wojtek skończył swą odpowiedź, gdy nagle tuż prawie przy nich, gdzieś z pod nóg, rozległo się stłumione syknięcie:

— Tssy!

Obaj, Władek i Wojtek skamienieli: ale jakież było ich przerażenie, gdy z ziemi, prawie pod ich nogami, podniosła się wolno jakaś postać niewyraźna i szepnęła:

— Czy to kmostr Wojciech?

— Rosolik! — zawołał Wojtek dość głośno, nie mogąc pohamować ogarniającej go radości i ulgi niewypowiedzianej.

— Cicho do paralusza! — syknął Rosolik — tak, to ja. Ale co tu pan oficer robi?

— Zkąd waćpan się tu wziąłeś — pytał nawzajem Władek.

— Poluję na szpiegów.

— Sam?

— Nie, z synkiem moim Staśkiem. Ale nie gadajmy, bo o kilkanaście kroków stoi pikietą kozacka, może usłyszeć.

— Więc kozacy są na Kępie?

— A jakże, są.

— I dużo ich?

— Cała setka. Stasiak policzył ich dobrze.

— I gdzież stoją?

— Na kolonji pana Malinowskiego, jak zawsze.

— Daleko to ztąd?

— Co ma być daleko, zara za drogą.

Władek pomyślał chwilę i rzekł:

— Wracajmy. Chodź waćpan z nami.

— Gdzie?

— Do naszych. Niedaleko ztąd są dwa szwadrony ułanów. Musisz waćpan poprowadzić ich na kozunów.

— Z duszy serca, ale szpiegi?

— Teraz o szpiegów nie idzie, tylko o kozuniów.

Szewc zatarł ręce i mruknął:

— Wyprawimy tym hyclom skórę na kordyban. Ale wie pan oficer co?

— Cóż takiego?

— Trza panie oficerze tę pikietę, co tam stoi nad wodą sprzątnąć.

— A to jakim sposobem?

— Podpełzniemy na brzuchach na polanę. Kozuń głupi stoi tuż przy krach i gapi się na wodę, wypatruje pewnikiem szpiegów. Otóż, pedam, podpełzniemy tuż pod niego, wyskoczmy nagle i cap durnia za kark. Żywcem

hyla weźmiemy i zaprowadzimy do naszych.

— Podobą mi się ten projekt, ale jest on bardzo ryzykowny.

— Niema żadnego ryzyka. Zobaczysz pan oficer, że chłopca weźmiemy żywcem, jak borsuka.

— A nuż nie weźmiemy? nuż nas spostrzeże i zaalarmuje swoich? Nasi nie wiedzą, na pewno, czy kozacy są na Kępie i gdzie, i usłyszawszy strzały, nie będą wiedzieli co robić i gdzie się obrócić.

— Przysięgam na żonę moją Kundzię i tyż miłe dzieci moje, że nijakiego alarmu nie będzie. Ju, majster szewcki Rosolski, wie co robi. No, jazda za mną na czworakach panie oficerze i wy kmotrze Wojciechu.

To mówiąc rzucił się na ziemię i mimo garbu pełzał zręcznie i cicho jak małpa. Wojtek, któremu widocznie nadzwyczajnie spodobał się projekt Rosolika, zrobił to samo szepcząc:

— Dalej paniczku, chycimy kozunia!

Nie było co robić, niepodobna było samych ich puszczać, przytem Włdkowi uśmiechała się myśl, przyprowadzenia przed „sakramenckiego” majora Kwiecińskiego żywego jeńca i przekonania go tym sposobem, że młodzież niekoniecznie „zapaskudziła” wojsko, że i ona coś warta i coś zrobić potrafi. Nie namysławiając się wiele, poszedł za przykładem Rosolika i Wojtka. Koło niego pełzał Stasiak i cichaczem wskazywał Włdkowi drogę, którędy łatwiej i lepiej prześliznąć się może.

W ten sposób dostali się szczęśliwie i niespostrzeżenie

na sam skraj gęstwiny. Przed nimi, w rzeczy samej, tuż przy krzakach, stał na koniu kozak, w ogromnej baraniej czapce, z długą piką; stał spokojnie, zapatrzony na Wisłę, nucąc sobie półgłosem jakąś melancholijną piosnkę, zapewne o swych stepach nad Donem. Wojtek popatrzywszy na kozaka, podniósł się wolno i cicho, to samo zrobił Rosolik i obaj, nim Władek mógł się opatrzyć, za umówionym zapewne między sobą znakiem, jak dwa rysie lub tygrysy, jednym skokiem znaleźli się przy niespodziewającym się niczego kozaku. Wojtek schwycił go wpół swemi potężnemi ramionami i ściągnął z konia na ziemię; Rosolik zaś z nadzwyczajną zręcznością, zadziwiającą w tak połamanej istocie, uczeplił się za cugle konia i trzymał przestraszone i szarpiące się mocno zwierzę. Kozak oszołomiony nagłym upadkiem na ziemię, przy czym złamała mu się z głośnym trzaskiem pika, zrazu leżał nieruchomy, ale powoli zaczął się szarpać i rzucać, tak, że Wojtek ledwie go mógł utrzymać, ale nadbiegł nakoniec Władek i dopomógł do ostatecznego pokonania jeńca. Rozbrojono go, związano mu ręce w tyle mocno i postawiono na nogi. Kozak spojrzał przed siebie i widząc połamaną, garbatą figurkę Rosolika, wiszącego u cugli konia, stojącego co chwila dęba, przeżegnał się głośno, szepcząc:

— Czort! czort! Jej Bohu czort!

Od tej chwili przekonany, że schwyciła go siła nieczysta, nie stawiał żadnego oporu i dał się prowadzić spokojnie.

Porucznik Piotrowski uradował się niezmiernie z rezultatu wyprawy Władka i Wojtka i odesłał ich wraz z

Rosolikiem i wziętym kozakiem do majora Kwiecińskiego, sam zaś, za radą szewca, cofnął się nieco w bok, na dość szeroką drogę.

— Ta droga — mówił majster — idzie tuż koło kolonji mego kmotra, pana Malinowskiego, gdzie se teraz spijają gorzalinę kozunie. Tu będzie panu oficerowi i tyż ułanom dobrze, bo droga jest piaszczysta i kuźdego na niej obaczy. No! damy my zelówkę kozuniom, niech Pan Jezus broni!

Major Kwieciński, który stał ciągle na jednym miejscu, nie mając dość długo od wysłanego plutonu żadnej wiadomości, niecierpliwił się i niepokoił mocno, to też obaczywszy Władka z kozakiem wziętym do niewoli, ucieszył się mocno.

— Kto go wziął i gdzie?

Władek opowiedział mu wszystko, jak było i podniósł zasługi szewca Rosolika, bez którego pomocy czegoś podobnego nie można było wykonać.

— A gdzie jest ten szewc? — spytał major.

Gdy mu się majster przedstawił, major widząc w ciemności jakąś niekształtną figurkę, zawołał:

— Do licha! to ten pokraka tego dokonał?

— Przepraszam pana majora — zapiszczał obrażony trochę Rosolik — ja nie jestem nijaka pokraka, jeno majster szewcki warsiawski, Piotr Rosolski ze Szulca.

— Mniejsza z tem co ty jesteś, sakramencka mózgownico, dość, żeś dobrze zrobił. Dać mi tu tego kozaka. Czy kto mówi po rosyjsku?

Znalazł się w szwadronie jakiś podchorąży, rodem z

Białorusi, który jako tako władał językiem rosyjskim i zaczął badać kozaka, który nie przestawał spoglądać z boku na Rosolika, odsuwać się od niego i szeptać do siebie:

— Czort! Jej Bohu czort!

Badany przez podchorążego powiedział, że jest ich cała setka, że dowodzi nimi esaul Żółtobriuchów, że codzień z wieczora udają się na Saską Kępe i czekają tu na jakichś ludzi, którzy na łodziach przyplływają z Warszawy, i że potem ludzi tych odprowadzają do Miłosny, do „głównokomandujuszczawo” feldmarszałka Dybicza Zabałkańskiego. Major nadzwyczajnie się temi wiadomościami zaniepokoił.

— Co za ludzi odprowadzają? Pytaj waćpan co to za ludzie?

Wmieszał się w to Władek.

— Muszę uprzedzić pana majora, że w naszej kwaterze głównej o ludziach tych wiedzą. Sa to szpiegi, na których właśnie wczoraj ja z mym ordynansem i tu obecnym panem majstrem polowaliśmy, ale nam się nie udało.

Major pomyślał chwilę i rzekł:

— No, skoro tak, to co innego. Co mi tam zresztą do tego! Ja tu jestem od tego, żeby kozaków przepłoszyć. Pytaj teraz waćpan, gdzie oni stoją?

— Ja wiem, panie majorze, gdzie stoją kozacy! — zapiszczał majster szewcki.

— A! wiesz waćpan.

— Wiem.

Major znów myślał jakiś czas, wreszcie rzekł:

— Chodźno waćpan ze mną!

Oddalił się kilka kroków, tak, żeby jego rozmowy nikt nie słyszał, a za nim pokuśtykał Rosolik. Szeptali ze sobą dość długo. Rosolik coś przekładał, rękami machał i rezultatem tej narady było to, że major wezwał do siebie rotmistrza Gruszeckiego.

— Mości rotmistrzu — rozkazywał — ruszysz ze swym szwadronem na drogę, którą ci wskaże adjutant Jasiński. Połączysz się tam z plutonem porucznika Piotrowskiego i będziesz bystro patrzył przed siebie. Jak usłyszysz strzały i obaczysz wysuwających się na drogę kozaków, rzucisz się naprzód i stratujesz wszystko co napotkasz. Czy rozumiesz?

Rozumiem, panie majorze.

— A więc ruszaj waćpan i spraw się dobrze.

Władek stosownie do rozkazu, poprowadził szwadron na drogę, na której stał ze swym plutonem porucznik Piotrowski. Ustawiono się tutaj szóstkami, bo dość wąski gościniec nie pozwalał na rozwinięcie szerszego frontu i czekano. Noc była chłodna, przymrozek brał ostry, ale stosunkowo widna i piaszczysta droga bieląła na dość długiej przestrzeni, jak jasna wstęga, wijąca się wśród czarnych drzew i zarośli. Nakazana była wielka cichość, fajek nie można było palić i cała kolumna, złożona ze stukilkudziesięciu koni, stała nieruchoma, w grobowym milczeniu, oczekując z pewnym niepokojem na zapowiedziane ukazanie się kozaków, nadsluchując pilnie, czy nie rozlegną się strzały. Cisza w naturze była niczem nie zakłócona, najmniejszy wietrzyk nie poruszał bezlistnymi gałęziami

drzew, tylko niedaleka Wisła pluskała falami o brzegi, tylko od strony Warszawy dochodził jakiś głuchy rozgwar, znamionując, że w tem wielkiem mieście życie wre i kipi. Władek stał tuż przy rotmistrzu Gruszeckim, który wysunął się naprzód, przed front swego szwadronu na kilka kroków, za Władkiem zaś tulił się i dygotał z zimna, a może ze strachu, Wojtek.

— Paniczu! — szepnął, zbliżając się do Władka — czy my będziemy się bili?

— Oczywiście, potośmy tu przyszli!

— O! laboga! laboga! że też to człowiekowi na tej wojaczce nie dadzą się nigdy wywczasować. Ju dwie nocki nie śpię. Niech to wciurności! niedopij, niedojedz, jeno ciągiem haruj, jak nie przymierzając koń, albo jenszy zwier. Brr! zimno!

— Kto tam gada? — zawołał rotmistrz — milczeć mi w szeregach!

Umilkł więc Wojtek i znowu cisza zaległa i oczekiwanie pełne dręczącego niepokoju. Trwało to może ćwierć godziny, które rotmistrzowi, Władkowi, a może i wielu innym, wydało się wiekiem, gdy nagle, gdzieś po lewej stronie rozległ się strzał, który w ciszy nocnej zagrzmiął z takim hukiem, jakby z dziesięciu armat naraz dano ognia. Na odgłos tego strzału, jakby na hasło, zakotłowało się w szeregach ułanów, dało się słyszeć jedno głośnie odetchnienie, ze stukilkudziesięciu piersi wydobyte, bo wszystkim to oczekiwanie i niepewność dokuczyła mocno. Ledwie rotmistrz zdołał zawołać:

— Baczość! słuchaj mej komendy!

Gdy nagle zagrzały inne strzały tak gęste, że już pojedynczych nie można było rozróżnić tylko złały się wszystkie w jeden straszny huk. Podniosła się szalona wrzawa, krzyki, rozkazy rosyjskie i polskie, rżenie i tętent koni, chaos jakiś straszliwy. Wrzawa ta zbliżała się coraz bardziej, rosła, wzmagala się i między gałęziami drzew co chwila ukazywały się nagle, czerwone błyski wystrzałów, a nad tem wszystkim wyraźnie słyhać było donośny głos majora:

— Naprzód ułani! rąb, kłuj! naprzód sakramencka mózgownico!

Zatrzeszczały gałęzie i na jasną i spokojną dotąd drogę wypadła gromada czarnych jeźdźców z długimi pikami, i z wyciem i piskiem nieludzkim, co koń wyskoczy pędzić poczęła. W popłochu, widocznie sprawy sobie zdać z położenia nie byli w stanie, bo część rzuciła się ku szwadronowi rotmistrza Gruszeckiego, część zaś gnała drogą w stronę przeciwną.

Ledwie rotmistrz miał czas krzyknąć:

— Naprzód, do ataku broń!

Gdy już kozacy wpadli na niego i na ułanów. Ale ci ostatni dzielnie ich przyjęli i przez chwilę trwała zacięta, ręczna walka, wśród której słyhać tylko było szcęk szabli, trzask łamanych lanc, ciężkie, dyszące oddechy, rżenie, kwik i tupot koni. Na Władka najechał z gołą „szaszka” w rękę, jakiś olbrzymi oficer kozacki i zmierzwszy się do cięcia, wrzasnął strasznym głosem:

— Nie ujdiesz Lach!

Ale Władek zręcznie się uchylił i na odlew ciął szablą kozaka tak jednak niefortunnie, że brzeszczot przeszył tylko ze świstem powietrze, a kozak znowu podniósł szaszkę i ryczał swoje: „nie ujdiesz Lach!” Wtedy Władek przypomniał sobie młynca polskiego, którego nauczył się w uniwersytecie na sali fechtunkowej od starego ułana, jeszcze z regimentu Konopki. Puścił więc w ruch swoją szablę, która ze zgrzytem i iskrami zetknęła się z szablą kozacką i ta ostatnia ze świstem wyleciała w powietrze. Jeszcze się Władek nie opamiętał, gdy nagle jakieś dwie potężne łapy spadły na kozaka, chwyciły go za bujną czuprynę i rozległ się głos Wojtka:

— A mam cię bezskurcjo!

Tymczasem ułani przeparli kozaków i rozpoczęła się gonitwa za nimi. Zjawił się i drugi szwadron z majorem, który ciągle krzyczał: „rąb, siecz, sakramencka mózgownico!” Ścigano kozaków długo po całej Saskiej Kępie, zakłuto i zarąbano wielu i świt się już robił gdy наконец major kazał na zbór trąbić. Pokazało się że wzięto do niewoli trzydziestu kilku, a między nimi znalazł się esaul Żółtobruchow, schwytany przez Władka i Wojtka. Ułanów nie doliczono się ośmiu.

Odpocząwszy sobie nieco, ruszono już za widnego dnia z powrotem wolnym krokiem, prowadząc za sobą jeńców, gdy nagle od strony Wawra zagrzmiały działa raz i drugi, a potem już huk nieustanny zwiastował, że wielka, oczekiwana od kilku dni bitwa, się rozpoczęła.

XVI.

Był to dzień 25 lutego, na zawsze pamiętny w dziejach naszego nieszczęśliwego kraju. Mogła to być godzina 9-ta rano, gdy powracające z wyprawy na Saską Kępę dwa szwadrony ułanów, usłyszały wzmagający się z każdą chwilą huk dział i ujrzały kłęby czarnego dymu, wybuchające w górę w okolicach Olszynki grochowskiej. Major Kwieciński zaniepokoił się tem mocno.

— Do licha — krzyknął — nasi się biją, a nas tam niema. Sakramencka mózgownico dalej, kłusem naprzód marsz!

Ruszono kłusem wyciągniętym, a Władowi niezmiernie przykro się zrobiło, że znowu w chwili rozpoczęcia boju nie znajduje się przy swoim pułku. Pod tym względem jakiś fatalny los go prześladował, choć ani poprzednim razem, ani teraz nie było to jego winą. Był przytem znużony długą, bezsennie spędzoną nocą, koń pod nim także był zmęczony, a tu wielka, decydująca o losach ojczyzny, bitwa się rozpoczęła. Wydawało mu się, że ułani zbyt wolno jadą, każdy wystrzał działa przeszywał mu serce, że jego, adjutanta, niema przy pułku, który zapewne się bije, bo wczoraj zostawił go biwakującego w samej Olszynie. Nie mogąc dłużej wytrzymać, rozgorączkowany i podrażniony, zbliżył się do majora Kwiecińskiego i zażądał, żeby go uwolnił, bo należy mu śpieszyć do pułku.

— A gdzie waćpana pułk stoi? — spytał major.

— W Olszynie.

— Zdaje mi się, że się tam biją i napewno tam się biją, bo Dybicz nie może wyjść na szosę, dopóki Olszynki nie weźmie. Ano, jedź waćpan kiedy ci tak pilno, a ja w raporcie napiszę, żeś wziął do niewoli esaulę kozackiego Żółto brzucha. Co za śmieszne nazwisko! Do widzenia młodzieńcze, jeżeli po dzisiejszej bitwie, jeszcze się kiedy zobaczymy.

Władek pokłonił się po wojskowemu, spał zmęczonego konia ostrogami i w towarzystwie Wojtka pognął na plac boju. Dostał się na szosę i koło kolumny żelaznej, postawionej na pamiątkę wybudowania tej szosy, ujrzał wodza naczelnego, księcia Michała Radziwiłła, otoczonego licznym sztabem. Księżę siedział na wielkim koniu, skarogniadej maści i przez lunetę przypatrywał się bitwie. Przed nim w oddali, około Olszynki wybuchały nieustannie kłęby czarnego dymu, rozwłóczyły się po całym polu Grochowskim i wszystko sobą zakrywały.

— Paniczu — rzekł Wojtek — na co tak patrzy ten generał przez rurę?

— Na bitwę. To nie jest generał, ale wódz naczelny, ośle!

— A zaraz ośle! Wódz naczelny, to nie jest generał?

— Starszy od generała.

— Hm! ale on przecie przez tę rurę nic nie widzi, jeno dym. Czegój więc patrzy?

— Idź go się spytaj!

— Nie głupim, jeszczeby mnie do ciupy wpakował. O laboga! laboga! jaki też to huk! I my tam jedziemy?

— Oczywiście.
— A jak nas zabiją?
— To trudno. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.
— Bodaj to wciurności. Strasznie mi się cknij ta wojenka. Lepiej było w Brzozówce gnój wozić, bo człek się i wywczasował i najadł i strachu nie miał i śmierć nad nim nie wisiała. A tu co? haruj jak pies ostatni i dniem i nocą, dobrego słowa nie dadzą i jeszcze ubić mogą. Paniczku!

— Co?

— Możebyśmy tam nie jechali do tych krzów olszowych? Władek umilkł, mruknąwszy:

— Głupiś!

— Panicz, to jeno ciągle wyzywa i kóniec. Żeby to...

Nie dokończył, bo już tak daleko na szosę naprzód się posunęli, że kule gwizdać poczęły, a nawet w pobliżu ze świstem granat zarył się w ziemię i pękł ze strasznym hukiem. Wojtek skulił się na koniu jak mógł najbardziej, oblał go pot gorący, choć przymrozek był ostry i począł drżącymi ustami szeptać:

„Kto się w opiekę poda Panu swemu”.

Przejeżdżali właśnie koło dywizji ułanów pod wodzą generała Kickiego, który zobaczywszy Wojtkę uchylającego co chwila głowę, gdy jaka kula gwizdnęła, zawołał:

— A co to za dureń tak się kulom kłania?

Władek usłyszawszy to, spojrzał groźnie na Wojtkę i zawołał:

— Wstyd mi tylko, gamoniu jeden, robisz. Trzymaj się prosto, bo jak mię widzisz, tak cię wyplazuję.

Wojtek na pół nieprzytomny, z oczami od trwogi wytrzeszczonemi, wyprostował się, ale ciągle szeptał:

„Na lwa srogiego bez obrazy siędziesz
I na ogromnym smoku jeździć będziesz”.

Przejechali koło dywizji generała Szembeka, która z prawej strony szosy zajmowała niewielki lasek sosnowy i dobrze utrzymanym ogniem odpowiadała na ogień nieprzyjacielski z lasu Wawerskiego, i znaleźli się nagle przy ciężkiej baterji pułkownika Piętki, która nieustannym gradem kul i kartaczy zionęła na wroga. Obok tej baterji, jak zawsze na białym koniu, stał generał Chłopicki, ubrany po cywilnemu, w swój piaskowego koloru surdut długi, zapięty na wszystkie guziki, w jasnym wysokim kapeluszu, bez broni, tylko ze szpicrutą w rękę, dumny, groźny, spokojny, niby sztandar wyniosły, powiewający nad temi tłumami wojowników, heroicznie ginących za ojczyznę. Obok niego uwijało się mnóstwo adjutantów i generałów, jedni przyjeżdżali, drudzy odjeżdżali, a on wszystkim, głosem donośnym, górującym nad hukiem dział, nad wrzawą wojenną, dawał rozkazy. Tuż przy nim stał generał Ignacy Prądzyński, w płaszczu i kapeluszu stosowanym, mały, niski, z twarzą brzydką, ziemistej barwy, ale z okiem błyszczącym blaskami genjuszu. Dokoła padały kule, ryły się granaty i pękały z łoskotem, wyrzucały w górę całe snopy piasku, zabijały ludzi i konie, krew

strumieniami bryzgała, a Chłopicki stał niewzruszony, spokojny, dumny i bohaterski, okiem sokolim obejmując całe to krwawe pobojuwisko. Było coś wielkiego w tej pysznej postaci wojownika polskiego, broniącego z uporem, z heroizmem, ostatniej piędzi, ostatniej drzazgi ojczyzny, i Władek tak jak wczoraj serdeczną miał ochotę zostać tutaj i jak wczoraj własną piersią zasłonić drogie życie starego wodza. Ale przypomniał sobie, że jego stanowisko jest przy pułkowniku Wolskim i z żalem zawrócił konia na lewo i popędził ku Olszynie, coraz czarniejszymi chmurami dymu się pokrywającej.

W chwili kiedy Władek dopadał do Olszynki, dywizja generała Żymirskiego, dotąd zdziesiątkowana, ociekła krwią, osaczona dwakroć silniejszym nieprzyjacielem, cofała się wolno i w takiej groźnej postawie, że wróg jak stado psów gończych, ścigających dziką, ujadał tylko z boków, ale nie śmiał się zbliżyć, nie chcąc narazić się na ciosy śmiertelne. Parokrotnie dywizja ta, zbyt mocno naciskana, zatrzymywała się i z głośnem „jeszcze Polska nie zginęła”, rzucała się na najbliższe bataljony wroga, miażdżąc bagnetem i kolbą wszystko, co przed sobą napotkała.

Ze swoją dywizją, prawie na samym jej końcu, jechał jej komendant generał Żymirski, otoczony garstką oficerów i adjutantów. Na twarzy tego starego żołnierza Napoleońskiego, widać było znużenie i zniechęcenie, mimo to co chwila wołał:

— Wolno wiara, wolno! jak nam dadzą posiłki, jeszcze

raz tu wrócimy i Olszynkę odbierzemy. Wolno! wolno się cofać!

Znajdował się już między ostatnimi drzewami tego lasu, zrytego kulami, zawalonego trupami, gdy nagle zachwiał się na koniu i padł na jego łeb twarzą. Władek widział to i poskoczył ku generałowi, poskoczyli i inni i podtrzymując go, wywiedli z pobojuwiska. Ale generał był raniony śmiertelnie. Kula armatnia urwała mu rękę prawą i zlany krwią, nieprzytomny, został uwieziony przez swych adjutantów do Warszawy, gdzie wkrótce walecznego ducha wyzionął.

Ale teraz dla odebrania Olszynki biegła nienaruszona dotąd dywizja generała Skrzyneckiego, szerokim rozwiniętym frontem. Dobosze bili w bębny do ataku, muzyki pułkowe grały, grzmiała rozgłośnie świeżo skomponowana pieśń:

„Hej! kto Polak na bagnety!
Żyj swobodo, Polsko żyj!
Takim hasłem cnej podniety,
Trąbo nasza wrogom grzmij!”

A pułki szły naprzód z pochylonym bagnetem, a gdy kule wraz z krwawymi szczytami w nich czyniły, ścieśniały szeregi i pędziły naprzód. Wszyscy dowódcy z generałem Skrzyneckim wybiegli na czoło, giestem i okrzykiem zachęcali swych wiarusów i cała ta masa darła się naprzód, roztrącała wszystko przed sobą.

Władek patrzył na to i szukał oczami swego pułku, żeby się do niego przyłączyć. Kule świszczwały mu koło

uszków jak grad, ale on na to nie zważał, rzucił tylko okiem na Wojtkę, by się przekonać, jak się sprawuje. Na wielką swoją radość spostrzegł, że walka, dym, zapach prochu, rozgrzał pocziwą krew kmieci i Wojtek, siedząc na koniu, spał się na strzemionach i patrzył na wir walki i w oczach miał taki błysk, a postawa jego była taka, jak jastrzębia, kiedy gotuje się rzucić na zdobycz. Władek właśnie spostrzegł swój pułk, biegnący w kolumnie ściśniętej, z pułkownikiem Wolskim na czele, który na myszatej kobyle, z gołą szablą w rękę, z wąsem najeżonym i groźnym wejrzeniem w oczach, kłusem poprzedzał swych wiarusów, a dojrzaawszy swego adjutanta, wołał gromkim głosem:

— Hej! mości adjutancie, jesteś przecie! A chodźże tu, do kroćset bataljonów!

Poskoczył więc Władek i w tejże chwili usłyszał za sobą krzyk Wojtki:

— A żeby cię wciurności bezskurcjo jakaś. Ubili mi hycle śkapę!

W rzeczy samej koń Wojtki uderzony kartaczem w same piersi z głośnem rzeniem runął na ziemię, przygniatając jeźdźca sobą. Jak się tam ten ostatni wydobył z pod konia i co się dalej z nim działo, Władek nie wiedział, bo pułk i on z nim wpadł do Olszynki i rozpoczęła się straszna, krwawa, dopiersna walka z nieprzyjacielem. Strzały ucichły, tylko rozlegał się zgrzyt bagnietów, potężne uderzenia kolbami, głuche jęki, okrzyki i ciężkie, dyszące oddechy. Walczono z taką zaciętością, że gdy bagniet się

złamał, a kolba potrzaskała, duszono się wzajemnie rękami, szarpano zębami. Trup padał gęsto, we krwi brodzono po kostki.

Władek tuż obok swego dowódcy, parł konia naprzód i szablą rąbał na prawo i lewo. Zbudziła się w nim straszna żądza krwi, jakaś czerwona płachta zakryła mu oczy, nie myślał o niczem, zapomniał o świecie całym, tylko rąbał i rąbał, a co swój wielki kirasjerski miecz, zdobyty pod Cyganką spuścił, to czuł, jak pada w miękkie ciało, jak krew tryska i zalewa mu twarz i oczy. Nie zważał na to, że i z niego krew ciekła, że gdzieś był raniony, że koń się chwieje pod nim, tylko wbił mu w boki ostrogi i wielkimi szczupakami sadził naprzód wydając jakieś dzikie, nieludzkie okrzyki.

Nakoniec i jego ten sam los co i Wojtka spotkał, runął z koniem na ziemię, ale dość wcześniej się spostrzegł i zręcznie zeskoczył. Uwolniony się od konia, wydobył pistolety z olster i przez chwilę patrzył z żalem na swego dzielnego rumaka, który w przedśmiertnej agonji rżał, rzucał się, usiłował powstać i łzawem okiem spoglądał na swego pana, nim wreszcie skonał. Tymczasem za ustępującym nieprzyjacielem przeleciał cały pułk koło Władka, tak że przez chwilę został on sam, otoczony dokoła trupami i rannymi, którzy żałośnie jęczeli, wołając o pomoc. Nie wiele myśląc, zatknął pistolety za pendent od pałasza, sam pałasz schował do pochwy, a natomiast schwycił pierwszy lepszy karabin, których mnóstwo leżało około niego na ziemi. Zobaczywszy, że nie jest nabity,

zdjął z najbliższego trupa ładownicę, starannie karabinabił, świeżego prochu podsypał na panewkę i obejrzał się dokoła. Po jego prawej stronie właśnie w tej chwili podniosła się straszna wrzawa i wyraźnie usłyszał grzmiący głos Wojtki:

— Czekajcie sufragany! nim mnie weźmieta, nie jeden z was gryźć będzie świętą ziemię!

Widok jaki ujrzał Władek miał w sobie coś okropnego i wspaniałego zarazem. Wojtek otoczony przez pięciu moskali, którzy doń z bagnetami jak osy doskakiwali, rozparł się na szeroko rozstawionych nogach i trzymając karabin za lufę, kolbą zataczał koło, a gdzie trafił, tam czaszka moskala jak stara skorupa pękała, trup z jękiem walił się na ziemię. Było coś heroicznego w tej walce kmiecia polskiego. Czapki nie miał na głowie, czupryna mu się rozwichrzyła, oddychał ciężko, oczy ciskały błyskawice, zęby zaciśnięte zgrzytały, ale nieustępował ani kroku, choć krew broczyła mu obficie z jakiejs rany. Władek widząc to, przedewszystkiem przyłożył karabin do oka, zmierzył, wypalił i powaliwszy trupem jednego z wrogów, rzucił się z bagnetem na pomoc swemu ordynansowi. Obok niego znalazło się paru naszych strzelców, tak, że Wojtek został oswobodzony od wrogów, z których trzech padło pod cio-sami bagnetów, a reszta uciekła.

Wojtek oparł się o karabin, odetchnął ciężko, obtarł rękawem zroszone potem czoło i rzekł:

— Uf! o mało mię szelmy nie zadźgały.

Zachwiał się i upadł na ziemię, śmiertelnie blady, obficie

brocząc krwią. Władek natychmiast kazał go żołnierzom zabrać i wynieść do ambulansu na Pragę, smutny i rozgoryczony bardzo, bo przywiązał się do chłopaka, który o ile z początku każdej walki był tchórzem, o tyle później, gdy stara krew Piastowska w nim się rozgrzała, był prawdziwym bohaterem. Gdy widział Wojtka nieruchomie leżącego na skrzyżowanych bagnietach, z oczami zamkniętymi, bladego śmiertelnie i broczącego obficie krwią, żał mu serce ścisnął i mimowoli łzy do oczów napłynęły. Szedł zdala za unoszącymi ordynansa żołnierzami, zapominając o bitwie, o swym pułku, o tem, że kule i granaty koło niego świszczały i jak grad leciały, jedynie zajęty myślą, czy Wojtka dowiozą żywego do ambulansu. Wyszedł już z Olszynki i widzi jak oficerowie przyprowadzają do porządku zmieszaną dywizję Żymirskiego, i usiłują ją rzucić jeszcze raz do Olszynki na pomoc walczącej tam uparcie dywizji generała Skrzyneckiego. Ale żołnierze byli zmęczeni kilkugodzinnyim bojem, ociekli krwią, zniechęceni utratą swego komendanta i z trudnością dawali się w ład wprowadzić. Władek patrzył na to i nagle przypomniał sobie, że jego miejsce nie jest tutaj, że nie powinien włączyć się po polu bitwy, ani też iść za Wojtkiem, któremu żadnej pomocy dać nie może, ale winien znajdować się tam, w Olszynie, gdzie straszny krwawy, śmiertelny bój trwał dalej, przy swym pułku. Zrobiwszy więc znak krzyża świętego, za niesionym na karabinach Wojtkiem, obejrzał się dokoła i ujrzał o kilkanaście kroków jakiegoś okulbaczonego konia, który wśród całej ulewy pocisków, ryjących dokoła niego ziemię,

stał spokojnie i ogryzał łakomie korę z młodej brzeziny. Władek nie wiele myśląc, pobiegł do tego konia, skoczył na niego i pędem puścił się za swym pułkiem do Olszyny.

Ale tutaj zaszła nowa zmiana. Nieprzyjacielowi nadbiegły nowe posiłki, tak że odparty za drugi rów, bo cała Olszynka przecięta była dwoma głębokimi rowami, wróg się zatrzymał i dalej się odrzucić nie dał. Napróżno pułk ósmy, liniowy, zwany pospolicie ósmakami, ciskał się heroicznie naprzód, napróżno parokrotnie przedzierał się za drugi rów, za każdym razem po krwawem starciu musiał ustępować przed przemagającą liczbą. Owszem, nieprzyjaciel wzmocniony świeżemi batalionami przekraczał znowu ten rów i groził ostatecznem wyrzuceniem dywizji z krwią ociekłej Olszyny.

Władek właśnie nadbiegł w tej chwili, gdy pułki nieprzyjacielskie jak mrowie pokryły drugi rów i przekraczać przezeń zaczęły. Ujrzał zdala pułkownika Wolskiego, zawsze jeszcze na swej myszatej kobyle siedzącego, jak przebiegał szeregi swych wiarusów i wołał:

— Milionset batalionów! naprzód wiara! kolbą i bagnetem zrzucić mi tych śmiałków do rowu! Naprzód! naprzód!

I zdejmując czapkę z głowy, powiewał nią jak sztandarem i krzyczał, powtarzając wiersz z „Warszawianki”:

„Hej! kto Polak na bagnety!”

I wiara rzucała się naprzód z nieporównanym heroizmem, spychała jednych do rowu, biła kolbami, kłuła bagnetami, ale na ich miejsce pojawiali się nowi, cały rów

zaczerniał, pokrył się tysiącem głów i bagnetów, okryty niemi został, jak trup świeży robactwem. Władek przedarł się do pułkownika, który cały czarny od prochu, czerwony od uniesienia, z okiem skrzącym, obryzany błotem i krwią, powtarzał ochrypłym głosem, jakby na pół nieprzytomny, ów wiersz z „Warszawianki”:

„Hej! kto Polak na bagnety!”

Obaczywszy Władka, zmierzył go krwią zaszłem okiem i zawołał:

— Leć waćpan do generała bo moje zuchy nie wytrzymają dłużej. Proś o pomoc choć o jeden batalion, choć o parę kompanij. Powiedz mu, że lada posiłek a zrzucimy tych zuchwalców do rowu.

I znowu potrząsać poczał czapkę i krzyczał:

— Naprzód wiara! Hej! kto Polak na bagnety! Niech żyje Polska!

I spiąwszy ostrogami swą myszatą kobyłę, rzucił się naprzód w sam wir walczących nad rowem. Władek zaś zawrócił konia i rozejrzał się po pobojuwisku, żeby odszukać oczami generał Skrzyneckiego, ale nie wiele mógł dostrzec, gdyż chmury dymu prochowego rozwlekły się po całym lasku, zasłaniając widok zupełnie. Na chybił trafił puścił się na skraj Olszynki, postanawiając ją objechać do kola, w tem przypuszczeniu, że generał komenderujący musi się znajdować gdzieś na tyłach. Ale zaledwie dopadł do skraju lasku, gdy zatrzymany został wspianiałym widokiem, jaki się przed nim roztoczył.

Jenerał Chłopicki zawsze ubrany w swój długi, piaskowego koloru surdut, w kapelusz jasny, wysoki, zawsze bez broni, tylko ze szpicrutą w rękę, jechał już nie na białym, bo go pod nim ubito, ale na roslým, kasztanowatym koniu, otoczony mnóstwem oficerów, a za nim krokiem gimnastycznym, w ściśniętej, groźnej kolumnie posuwał się z najeżonymi bagnetami pułk grenadjerów gwardji polskiej. Po bokach bohaterskiej postaci wodza, biegło po sześciu doboşów i biło werbel do ataku. Na wielkich kiwerach grenadjerów, kładło swe złociste blaski słońce, które właśnie w tej chwili przedarło się przez chmury i dym, i swe nikłe, blade promienie zimowe rzucało obojętnie na to pobożowisko przepełnione krwią ludzką, zapalało nagle ognie na ostrzach bagnetach, na szarfach, szlifach i szablach oficerów sztabowych. Grenadjerzy, lud dobrany, roslý, postacie groźne i marsowe, szli krokiem szturmowym, nie zważając na tysiące wszelkiego rodzaju pocisków, które ich obsypywały, które ryły krwawe bruzdy, obalały całe szeregi. Oni na to nie zważali, tylko biegli naprzód i wkraczając w zawałoną trupami Olszynkę z tysiąca piersi zagrzmieli starą pieśnią o nieginącej Polsce, która zapanowała nad hukim killkuset dział, nad grzechotem ognia karabinowego, nad jękiem rannych, nad wrzawą bojową:

Choć sąsiady nas zniszczyły
I broń nam zabrały,
Sparte murem, piersi były
I te nam zostały”.

Władek patrzył i patrzył, a pierś dumą mu rosła, wzbie-

rała, ogarnął go zapal na widok tego wodza, tej wspaniałej heroicznej postaci i tych szeregów, które szły w bój, jak na weselisko, które jak rzymscy gladjatorowie na złotym piasku areny, konały nie z okrzykiem witającym imperatora rzymskiego, ale ze słowami miłości dla świętej, wielkiej ojczyzny polskiej. Wkroczyli do Olszynki, przebiegli ją całą i znaleźli się nad drugim rowem, gdzie jeszcze strzelcy Wolskiego i ósmaki rozpaczliwy opór stawiali ogromnej przemocy wroga. W jednej chwili niby klin żelazny wszyli się w rojowisko wrażego żołdactwa, zdeptali wszystko co napotkali na drodze, krwią i trupami nieprzyjacielskimi zasłali swą drogę, przekroczyli rów, pędząc przed sobą uciekających i znaleźli się na drugim skraju Olszyny, wprost wzgórzy piaskowych pod łaskiem Wawerskim, gdzie błyszczało pod słońce kilkadziesiąt armat, gdzie pękaty, gruby, o obwisłym cielsku i krótkich nóżkach, Dybicz Zabałkański, feldmarszałek rosyjski, napróżno ze szpadą w ręku usiłował zwrócić uciekających przed szeregami grenadjerów, żołnierzy swoich.

W tej chwili generał Prądyński, pieszo, z nagim pałaszem w ręku, wypadł przed grenadjerów i wołał donośnie, wskazując na armaty nieprzyjacielskie:

— Żołnierze! te działa są wasze!

Władek, który biegł obok grenadjerów, usłyszawszy ten okrzyk, widząc ruch generała, nie wiele myśląc, rozgrzany nieopisanym zapalem, spiął konia i dobywszy swego wielkiego miecza kirasjerskiego, rzucił się naprzód wprost na owe armaty, zionące straszliwym ogniem. Kule świszczały

mu koło uszów, wiatr chłodził mu rozpalone czoło, on nic nie czuł, o niczem nie myślał, tylko biegł, wbiwszy obie ostrogi w boki konia, palony żądzą jedyną zdobycia owych armat. Nakoniec dopadł do nich, jednym cięciem powalił na ziemię kanoniera, który się nań wyciorem zamierzył, drugiego już chciał uderzyć, gdy nagle koń pod nim spał się dęba i runął na wznak, przygniatając sobą jeźdźca. Ale już przy nim byli grenadjerzy, kłując dokoła bagnetami, a inni poczęli go dobywać z pod konia. Znalazł się przy nim i generał Prądyński i podniesionego z ziemi klepał po ramieniu, mówiąc:

— Chłopcze, jesteś bohaterem!

XVII.

Władek upadkiem konia potłuczony został mocno, nie uważał jednak na to, bo słowa wypowiedziane przez generała Prądyńskiego sprawiły mu żywą radość. Odrzekł jednak skromnie:

— To dla ojczyzny, panie generale.

A na to generał, oglądając się dokoła:

— Młodzieńcze, radzę ci, cofnij się w tył. Widzisz na co się zanosi?

I wskazał ręką wzgórza Wawerskie, skąd gęste, czarne, kolumny piechoty nieprzyjacielskiej wysuwać się poczęły, by odeprzeć grenadjerów polskich i jeszcze raz pokusić się o zdobycie Olszynki. Mogło ich być około dwudziestu ty-

sięcy bagnetów. Czyż takiej sile zdoła się oprzeć kilka tysięcy polskiego żołnierza, walczącego od kilku godzin, znużonego, broczącego krwią?

W tejże chwili rozległy się krzyki.

— Chłopicki ranny!

— A inni wołali:

— Chłopicki poległ!

Wieść ta, tak przeraziła Władka, takim bólem przeszła jego serce, że począł głośno płakać, i jakkolwiek pierwotnie nie miał zamiaru usłuchać rady Prądyńskiego, aby cofać się dopiero wtedy, gdyby grenadjerzy ustępować poczęli, teraz jednak powodowany jakąś nieokreśloną chęcią niesienia pomocy generałowi Chłopickiemu, obaczenia go, przekonania się czy istotnie poległ, czy też został ranny, co żywo zawrócił i biegł do Olszynki. Czas zresztą był wielki, bo i grenadjerzy już się cofali, obsypywani gradem wszelkiego rodzaju pocisków, znacząc każdy swój krok krwią i trupami. Ze zdobytej baterji zdołali tylko jedno działo uprowadzić, bo już za nimi pędziła olbrzymia przemoc nieprzyjacielska, gęsto zbite, czarne masy piechoty wroga, rycząc zwykle swe dzikie: „urra! urra!”

Władek biegł dalej, potykając się co chwila o trupy poległych, ale niebawem czuł w całem ciele taki ból, wszystkie kości zdawało się, miał w sobie połamane, że nogi wprost odmówiły mu posłuszeństwa. Musiał na chwilę usiąść i patrzył, jak grenadjerzy wolno, w groźnej postawie eszelonami w szachownicę się cofali, ogniem nieustannym i dobrze utrzymanym powstrzymując nacisk wroga, który

toczył się długo, nieskończoną czarniawą, jak lawina. Nagle usłyszał głos za sobą:

— Panie adjutancie! panie adjutancie!

Obejrzał się i ujrzał Rozworę. Stał on obok myszatej kobyły pułkownika Wolskiego, który leżał na wznak na ziemi, nieruchomy, z krwawą raną na piersiach.

Władek, ujrawszy trupa pułkownika, załamał ręce i z rozpaczny łzy miał w oczach.

— A! mój Boże — wołał — więc i on poległ?

— Tak! — mruknął Rozwora — i chciałem zwłoki ułożyć na kobyłę, żeby się nad nim wrogi nie pastwiły, ale sam nie poradzę? Cóż widzę, że i pan jest ranny i ledwie idzie.

— Nie! ranny nie jestem, tylko potłuczony mocno. W rzeczy samej iść nie mogę.

— Ano, ostać tu pań nie może, bo by pana zadźgali. Nasi się cofają. No! niech pan siada na kobyłę i w nogi. Trudno, pułkownika ostawimy; jemu ju nic nie pomożemy, a pańskiego życia szkoda. Dalej żywo panie, bo już nas te kapuśniaki dopadają.

W istocie ostatni eszelon grenadjerów przemaszerował już koło Władka, a czarniawa nieprzyjacielska ze swem nieznośnem, wrzaskliwem: „urra” coraz bliżej podchodziła. Na szczęście działobitnia nieprzyjacielska ucichła, nie chcąc razić swoich i kule z rzadka tylko świszczały. Władek przy pomocy Rozwory wdrapał się na myszatą kobyłę pułkownika Wolskiego i pognął do Olszynki, pragnąc się przekonać, czy wieść o ranie czy też zabiciu jenerała Chłopickiego jest



Grenadjery już się cofali, obsypywami gradem pocisków...

prawdziwa. Przekłusował więc przez lasek, potykając się co chwila o trupy, których tu mnóstwo leżało, ze wstrętem patrząc na rowy pełne krwi ludzkiej i wypadł na pole, gdzie w pobliżu Olszynki, ujrzał bolesny, ale zarazem heroiczny widok.

Wśród gromady oficerów wszelkiej broni, na kilku lancach, na krzyż złożonych i trzymanyh przez żołnierzy, siedział generał Chłopicki, zbaczony krwią, ale wyprostowany i jak zawsze groźny i wspaniały. Obok niego na koniu, pochylony tak, żeby mógł słyszeć, stał generał Skrzynecki i pilnie uważał, co mu ranny wódz mówił. Właśnie w chwili, gdy Władek do tej grupy się zbliżył, Chłopicki wyciągnął rękę w kierunku nieprzyjaciela i coś nią wskazywał. Wszystkich oczy się tam zwróciły, więc i Władek spojrział i skamieniał. Wprost lewego skrzydła polskiego, tuż pod lasem, niedaleko wioski Ząbki, na szerokiej i nagiej płaszczynie, widać było jak na dłoni, gromadzące się ogromne masy jazdy nieprzyjacielskiej. Słońce zachodzące krwawo, przysłonięte dymem pobojowiska, rzucało rdzawe blaski na złociste kirysy i hełmy ze zrywającemi się do lotu orłami, ciężkiej jazdy, na bermyce strzelców konnych, na czapki i chorągiewki ułańskie. Jazda ta, ogromną masą kilkunastu tysięcy koni, formowała się powoli, a przed jej frontem przebiegali oficerowie z gołemi pałaszami i co chwila wskazywali niemi na płaszczyznę Grochowską. Widoczną było rzeczą, że nieprzyjaciel zamierza całą tę masę ludzi i koni, cisnąć taranowym rzutem, by zmęczone, okrwawione, przetrzebione szeregi polskie

dość ostatecznie. Niebezpieczeństwo było straszne i groźne, gdyż niestety! jazda polska ustawiona w błotach Saskiej Kępy na prawem skrzydle polskiem, pod jenerałem Tomaszem Łubieńskim, ani mogła, ani czasu nie miałaby nadbiec na lewe i w rycerskiej, ofiarnej walce piersią swą zasłonić piechotę. Władek słyszał jeszcze jak Chłopicki mówił:

— Zwracam twoją uwagę, jenerale na to, sformuj czworoboki i broń się do ostatka.

Poczem skinieniem ręki pożegnał obecnych i niesiony przez kosynierów, zniknął w chmurach dymu prochowego i w mrokach szybko zapadającego wieczoru.

Tymczasem w Olszynie straszna, uparta, krwawa walka wrzała dalej. Dywizja Skrzyneckiego i pułk grenadierów gwardji polskiej stawiał opór, walącej się nań ze wszystkich stron, ogromnej przemocy nieprzyjacielskiej. Prażony z czoła i boku przez liczną artylerję, napierany silnie, krwią znaczył każdy krok swój, ale niestety! powoli ustępować musiał, a nie było już nikogo, nie było ani jednego pułku w odwodzie, któryby mógł walczącym w Olszynie rękę pomocną podać. Wyparci za pierwszy rów, niebawem i drugiego obronić już nie mogli i Olszynka, klucz pozycji, tak bohatercko broniona przez dzień cały, zryta kulami, bo ani jednego drzewa w niej nie było całego, złana krwią, zapelniona ośmiu tysiącami trupów polskich i wraży, dostała się w ręce nieprzyjacielskie i odtąd cała armja polska cofać się pod okopy Pragi musiała. Szczęściem mrok wieczorny szybko zapadał i pod jego osłoną znużone,

okrwawione szeregi wojowników polskich, mogły dokonać tego odwrotu dość spokojnie.

Wśród tego wszystkiego, Władek zrozpaczony, smutny i zniechęcony zupełnie, potłuczony i zbolały fizycznie i moralnie, puścił się także wyciągniętym stępem na pułkownikowskiej myszatej kobyle ku Pradze. Kule nie przestawały koło niego świstać, granaty pękać, a on nie uważał na nic, jedynie trapiiony tą myślą, że jeżeli teraz jazda rosyjska ogromną masą zwali się na wycieńczone szeregi polskie, to klęska będzie zupełną i nie wynagrodzoną niczem.

— Boże! — szeptał do siebie — czyż tyle męstwa, tyle wysień, tyle krwi przelanej ma pójść na marne a Ojczyzna zginąć? Czyż jeszcze raz Polska ma się w grób położyć i wielko jej trumny na chwilę uchylone, znowu na nią z łoskotem ma runąć? Boże, czy pozwolisz na to, czy niema miłosierdzia i zbawienia dla mego narodu?

Ale z nieba, zasnutego posępными chmurami płowemi, milczenie tylko obojętne odpowiadało na gorące modły chłopca. Jechał on dalej smutny i ponury i wydostał się na szosę, dokąd już kule rzadziej dochodziły i widząc jak po obu jej stronach pułki polskie powoli się cofały, sam postanowił udać się do Warszawy, by znaleźć tam chwilowy spoczynek dla swego ciała potłuczonego mocno i dla swego serca ciężko zbolełego. Opuszczał krwawe pobojo-wisko z żalem głębokim, co chwila się zatrzymywał, patrzył i słuchał, ale prócz dymu i nocy nic nie widział, prócz wrzawy boju i nieustannego huku wystrzałów nic więcej

nie słyszał. Włókł się więc noga za nogą, a myszata kobyła jakby odczuwała usposobienie swego jeźdźcy, łeb spuściła melancholijnie i ospale postępowała naprzód. Walka jednak widocznie powoli ustawała, bo i strzały z każdą chwilą były rzadsze i wrzawa towarzysząca bojowi powoli cichła. Na to ponure, krwią ludzką nasiąknięte pobożewisko, noc i senna cisza kładła się leniwie i jakby niechętnie.

Wobec tego otucha wstąpiła w serce Władka. Widocznie, myślał sobie, nieprzyjaciel zaniechał wielkiego ataku kawaleryjskiego, a może generałowie polscy stawili mu taką z bohaterskich piersi żołnierzy zapórę, że nie pokusił się o ich stratowanie. Dziękował więc Władek z głębi duszy Bogu i mówił sobie:

— Zapewne generałowie nieprzyjacielscy rozmyślili się, że taki atak jest bardzo ryzykowny. Wojsko polskie przecie nie jest pokonane, tylko osłabione i może jeszcze w razie niebezpieczeństwa nieprzełamany opór stawić a wiadomo, że cofającemu się nieprzyjacielowi złoty most się buduje. Przytem w nocy, na gruncie nieznanym, taki masowy atak jest zawsze niebezpieczny. Bądź co bądź, dzięki Bogu, że się tak stało. Bo choćby atak jazdy nieprzyjacielskiej nie udał się w zupełności, zawsze by nam mógł wielkie szkody przynieść, wiele pułków rozbić. Żołnierz jest znużony, zniechęcony i widziałem, że pod wieczór nie miał już tej dumnej i groźnej postawy, co rano. Przytem niema Chłopickiego i naprawdę nie wiem czy kto w tej chwili dowodzi naczelnie. Bo przecież mówiono mi,

że książę Radziwiłł jest do niczego. A przytem rejterada przez jedyny most na Wiśle z jazdą nieprzyjacielską na karku, może wywołać zamęt, nieład i katastrofę ostateczną. No, chwała niech będzie Bogu, że atak jazdy, którego się widocznie generał Chłopicki bardzo obawiał, nie przyszedł do skutku.

Spokojniejszy więc już znacznie, z uczuciem niewypowiedzianej ulgi, jechał Władek samotnie szosą, nikogo prawie nie spotykając, gdyż wszystko jeszcze za nim w tyle stało, co było najlepszym dowodem, że nieprzyjaciel nie śmiał się pokusić o dobicie wojska polskiego i jazdy swojej nie rzucił. Powoli strzały coraz rzadsze, ustały zupełnie i wielka cisza zaległa, która po niedawnej wrzawie straszliwej, dziwne wrażenie robiła. Od Wisły zawiął wiatr i chłodził rozpalone czoło i zgorączkowane wargi młodzieńca, rozpędził dym i duszący zapach prochu. Władek z rozkoszą wciągał w płuca świeży ożywczy prąd powietrza, nabierał otuchy i nadziei, i mówił sobie, że jeszcze nie wszystko stracone. Weselszy i spokojniejszy, choć cierpiał bardzo fizycznie, bo wszystkie kości go bolały, pojechał pułkownikowską kobyłkę i lekkim truchcikiem jechał dalej.

Nagle, gdzieś za nim, jakgdyby koło Olszynki, podniosła się olbrzymia wrzawa, która wpadając w dotychczasową ciszę, niesiona przez wiatr i mroki nocne, przybierała jakieś straszne przerażające rozmiary. Drżały w niej krzyki rozpacz i triumfu, a nad niemi górowało dzikie: „ura! ura!” wyrzucone naraz z kilkuset co naj-

mniej piersi. Po pobojowisku przeleciało jakieś tchnienie ciężkie, jakby oddech piersi ludzkich, chwytających gwałtownie powietrze. Rozległy się strzały i grzmoty już teraz ciągle to salwami, to pojedynczo jeden za drugim, jak gdyby piechota paliła t. zw. rotowym ogniem. Wrzawa ta rosła, zbliżała się do Władka i ucho jego najwyraźniej różniało w niej tętent kilkuset koni, pędzących po szosie z chrzęstem, brzękiem, hukiem głuchym i towarzyszyło mu nieustannie „ura!”

Nie uległo wątpliwości, że to, czego się lękał generał Chłopicki, na myśl o czem Władek w rozpacz wpadał, stało się faktem rzeczywistym. Ogromne, czarne masy jazdy nieprzyjacielskiej, od godziny skupiające się pod lasem Ząbkowskim, ruszyły nakoniec do szarży, okrążyły widocznie Olszynkę i pędziły szosą, by armję polską przeciąć na dwoje i potem stratować! Władek zatrzymał się jak skamieniały i wsłuchując się w zbliżający się tętent, uczuł że mu włosy ze zgrozy i przerażenia powstają na głowie. Myśl jego usilnie pracowała, co zrobić, by temu strasznemu atakowi zapobiec. I nagle przypomniał sobie, że dziś rano, wracając z Saskiej Kępy, napotkał niedaleko słupa żelaznego, wzniesionego na pamiątkę ukończenia szosy Siedleckiej, kilka szwadronów drugiego i piątego pułku ułanów pod pułkownikami Kickim i Skarżyńskim. Oni, jeżeli jeszcze tam stoją, powinni uderzyć na jazdę nieprzyjacielską, lancami i ciałami swemi zagrozić im drogę.

Tą myślą przejęty, spał ostrogami myszată, pułkowni-

kowską kobyłkę, która jakby odczuwała niebezpieczeństwo, puściła się lotem strzały naprzód i rwała ze wszystkich sił, a za nią biegła wrzawa i tętent jazdy nieprzyjacielskiej i owe nieznośne dzikie „ura!” powtarzane nieustannie. Zdawało się jednak Władkowi, że kobyłka znużona całodziennym bojem, coraz wolniej biegnie i że jeźdźcy nieprzyjacielscy coraz bardziej się zbliżają, więc dobył swój wielki miecz kirasjerski z niezłomnem postanowieniem sprzedania drogo swego życia. Tak biegnąc, już niedaleko słupa żelaznego ujrzał z boku szosy stojącą spokojnie baterję kozłów raketniczych pod wodzą kapitana Skalskiego, brata czy stryja adjutanta, stąd znajomego Władkowi. Sam kapitan chudy, cienki, wysoki jak tyczka, o długiej szyi i wielkich jak wiechcie wąsiskach, wysunął się na kościstej jak i on, jak on wysokiej i chudej szkapie, przed baterję, wyciągnął żórawią szyję i pilnie wsłuchiwał się w rosnącą ciągle i zbliżającą się wrzawę.

Władek zatrzymał się i zawołał:

— Kapitanie! jazda nieprzyjacielska szarżuje po szosie i lada chwila tu będzie!

— Wiem o tem i przywitam ją jak należy — odrzekł kapitan spokojnie i zaraz zapytał:

— A kto waćpan jesteś? Widzi mi się adjutant pułkowy?

— Tak.

— No to lećże waćpan, tam pod słupem stoi pułkownik Kicki i proś go by mi przysłał parę szwadronów ułanów

na asekuracją, a już ja tym tam rycerzom dobrze tebinki poparzę.

I zaraz się obrócił do swoich i głosem grzmiącym począł wydawać rozkazy. Władek popędził dalej. Ale to chwilowe zatrzymanie się przy baterji raketniczej, rozmowa aczkolwiek krótka i urywana, przy widocznem osłabieniu kobyły pułkownikowskiej, sprawiła, że gdy Władek ponownie ruszył, jazda moskiewska siedziała mu prawie na karku. Dudniły ostro kute kopyta końskie po twardej szosie tuż, tuż za Władkiem, czuł niemal za sobą zziajany, dyszący oddech koni i ludzi, i grzmiało mu nad samym uchem ryczące: „ura! ura!”

— Jeśli mię dopędzą nim dobiegnę do ułanów, zginę i wszystko przepadnie — myślał sobie Władek i wołał:

— Boże! ratuj mnie!

Na szczęście w tejże chwili błyskawica światła zajaśniała i rój rakiet, wijących się jak węże z sykiem i szumem, z głośnem pękaniem i trzaskiem, wszył się w szeregi jazdy nieprzyjacielskiej. To dzielny kapitan Skalski, nie czekając na asekurację, widząc grożące niebezpieczeństwo, dotrzymał słowa i począł parzyć „tebinki rycerzy”, jak się wyrażał w swym języku rycerskim. Noc była ciemna i ogniste rakiety, syczące jak stado rozżartych żmij, sypiąc iskrami, padając na ludzi i konie i parząc je niemiłosiernie spowodowały wśród nich straszne zamieszanie. Tu i ówdzie unosząc się wężykowatym, ognistą smugą znaczo-
nym ruchem w górę, pękały z rozgłośnym trzaskiem i tysiącami iskier zasypywały pędzącą jazdę. Konie poczęły

się spinać, zawracać, skakać w bok, zrzucać ze siebie jeźdźców, którzy ubrani w ciężkie pancerze, bo był to pułk kirasjerów księcia Alberta, zwany „lwami warneńskimi” (za to, że przed kilku laty w wojnie tureckiej, w bitwie pod Warną wykonali kilka świetnych szarży), padali na ziemię jak kłody ciężkie, z chrzęstem i brzękiem, nie mogąc się już podnieść. Ale rwący na ich czele, pułkownik Meyendorf, ciągle krzyczał głosem donośnym:

— *W pierod! w pierod!*

Władek kłuł bez litości boki kobyły, która ostatnich sił dobywała, ale chrapliwy oddech jej nozdrzy świadczył, że lada chwila padnie wyczerpana, a nawet już parokrotnie potknęła się fatalnie i tylko przytomności jeźdźca zawdzięczała, że nie zwała się na ziemię. Gdy Władek obejmował się, ujrzał tuż, tuż za sobą ogromną postać Meyendorfa, galopującego na wielkim koniu, krzyczącego wciąż swoje: „*w pierod! w pierod!*”, a w podniesionym do góry mieczu, w hełmie złocistym ze zrywającym się do lotu orłem dwugłowym, w lśniącym pancerzu na piersiach, rakiety kapitana Skalskiego zapalały nagle, jaskrawe, olśniewające błyski. Za nim waliła się niby chmura ciężka, czarna, skotłowana w sobie, rozświecana piorunowemi błyskami ракет, masa jeźdźców i koni. Władek pędził ciągle, ale był pewny, że lada chwila spadnie mu na głowę ciężki miecz Meyendorfa i szeptał sobie:

— Ha! dla ojczyzny zginąć miło!

Ale żał mu było umierać tak młodo i ból dotkliwy ścisnął mu serce. Przed oczami jego duszy, niby w wizji ja-

kiejś, przemknęła mu cała młodość, całe dzieciństwo, pochylony dworek w Brzozówce, ocieniony lipami, widmo bladolicyj matki i jej słodkie uściśnienia, groźna postać babki Wilhelminy, stary Rozwora, opowiadający mu w lesie, na zwalonej kłodzie sośniny, o bohaterskich czynach ojca w Hiszpanji. Wszystko to, w całym szeregu obrazów, widnych i niknących jak senne marzenie, przesunęło się w tej śmiertelnej chwili przed jego oczami.

— Zginąłem! — szeptał do siebie.

Mimo to przekonanie, uspokoił się jednak zupełnie. Ciężki miecz ścisnął w dłoni, na chwilę przytomności nie stracił, oglądał się ciągle za siebie i kobyłkę kłuł ostrogami, zmuszając do nadzwyczajnych wysiłen. Nagle otucha w niego wstąpiła. Przed nim zamajaczyło coś czarnego i ruchliwego, zdawało mu się, że słyszy tętent koni, a niebawem zabłąkana rakietą, padając na kilka kroków przed nim rozświeciła kłusujący szereg białych rabatów.

— To ułani! to nasi! drugi pułk — zawołał uradowany.

Zaraz też dobiegł go, znany mu doskonale, męski, donośny głos pułkownika Kickiego, jak rozkazywał:

— Skróć cugle, do ataku broń!

I wyraźnie usłyszał jak furknęły chorągiewki, jak z piersi ułanów zagrzmiało rozgłośne, dzielne, wieczne prawdziwe i święte:

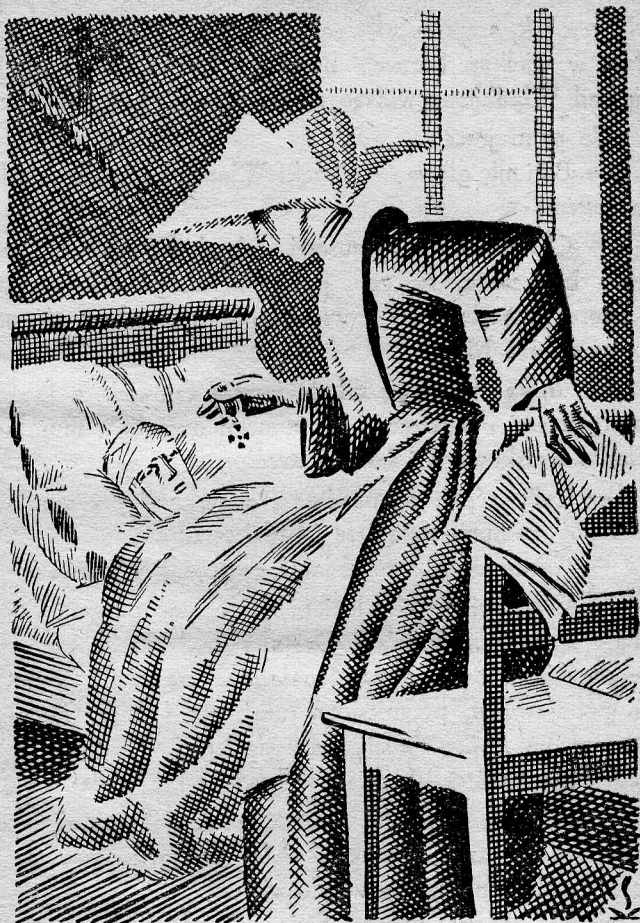
— Niech żyje Polska!

Ogarnęła go wielka radość, uczuł się ocalony, jeszcze kilka kroków, jeszcze jedno wyteżenie chwiejącej się pod nim nieszczęśliwej kobyłki, a będzie między swemi, mię-

dzy dzielnymi szwadronami, co pod Stoczkiem brały armaty, lancami roztrącały karabinierów nieprzyjacielskich, roztrąca zapewne i tych „lwów warneńskich”, którzy lecieli naprzód jak szaleni, nie oglądając się na nic.

Ale w tejże chwili uczuł tuż nad sobą ciężki, dyszący, gorący oddech i gdy się odwrócił, dostrzegł łeb ogromnego konia i wielką postać Meyendorfa. Przy blasku nieustannie padających rakiet, których kapitan Skalski nie szczędził, ujrzał czerwoną twarz pułkownika nieprzyjacielskiego, duże, czarne iskrzące oczy i wąsy zakręcone do góry, ale co najważniejsza, ujrzał jak ten podniósł swój prosty miecz do góry i zamierzył się do strasznego cięcia. A ułani już dobiegają, słyszy furkanie ich chorągiewek, w oczach migoczą mu ich lanc groty, jeszcze chwila, jedno mgnienie a będzie ocalony. Ale miecz Meyendorfa ze świstem przerzyna powietrze, Władek usiłuje się zasłonić i w tejże chwili kobyłka, nie trzymana cugłami, potyka się fatalnie. Miecz spada na głowę Władkowi, czuje straszny ból i wali się na ziemię nieprzytomny...

Kiedy Władek odzyskał przytomność, otworzył oczy i rozejrzał się dokoła spostrzegł, że leży na łóżku, w dużej sali, w której stało kilka innych łóżek. Przez szerokie okna przedostawał się wesoły, złocisty blask słońca i kładł się jasnymi plamami na pomalowanej na czerwono podłodze. Panowała tu wielka cisza, tylko skądś, z tyłu dochodził stłumiony szept, jakby kilka osób z sobą rozmawiało. Władek chcąc się przekonać kto to rozmawia, podniósł się nieco i usiłował głowę odwrócić, ale uczuł w niej zaraz



Przeczytawszy to, Siostra Aniela rozwinęła papier i wydobyła zeń krzyż polski...

taki ból, że mimowoli jęk głośny wyrwał mu się z piersi. Na ten jęk, szept ustał i zaraz nadbiegła siostra miłosierdzia, w wielkim kornecie na głowie i troskliwie nachyliła się nad Władkiem i widząc, że ma oczy otwarte, spytała:

Co panu jest?

— Boli mię głowa — odrzekł Władek i spytał: — gdzie ja jestem?

— Chwała Panu Jezusowi, odzyskałeś pan przytomność. Nie ruszaj się pan, jesteś w lazarecie wojskowym, a skoro gorączka ustała, wszystko będzie dobrze. A, otóż i pan doktor Malcz.

Do łóżka zbliżył się młody jeszcze człowiek, z faworytami jasnymi i błękitnymi, rozumnymi oczami, w mundurze lekarza wojskowego, i zawołał wesoło:

— Co? waćpan rozmawiasz i odzyskałeś przytomność? No! no! niedługo wstaniesz i będziesz zdrow.

— Ale co się ze mną działo? — spytał Władek.

— Właściwie byłoby lepiej, byś waćpan milczał. Co się miało z waćpanem dziać? Dostałeś pod Grochowem porządne cięcie przez głowę, znaleziono cię nieprzytomnego no pobojuwisku, przyniesiono tutaj, no, i dzięki młodości i staraniom siostry Anieli, masz się lepiej. Niedługo, mam nadzieję, wstaniesz i będziesz walczył za kraj dalej.

— A cóż z wojskiem naszym się dzieje? jak się skończyła szarża jazdy rosyjskiej? Mój doktorze, powiedz mi to bo inaczej nigdy nie wyzdrowieję.

— No, dobrze, dobrze. Siostra Aniela waćpanu to po-

wie, bo ja nie mam czasu, muszę iść do innych. Wolno waćpanu słuchać, ale samemu gadać nie wolno. No, dowiedzenia.

I odszedł, a Władek począł błagać siostrę Anielę, by mu powiedziała, jak się zakończyła bitwa grochowska, że go nieświadomość dręczy i niepokoi i może źle oddziaływać na jego zdrowie. Więc siostra Aniela z dobrocią, pełną słodyczy, usiadła przy łóżku młodzieńca i głosem łagodnym, miękkim, pieściwym, opowiedziała mu, że szalona szarża kirasjerów, których inne pułki jazdy nieprzyjacielskiej wcale nie poparły, chybiła zupełnie; że wprowadzie kirasjerzy dotarli do słupa żelaznego, ale tu obskoczeni przez naszych, musieli zawrócić i w ucieczce szukać ratunku i że zaledwie połowa z całego pułku zdołała przedrzeć się do swoich: że armja polska przeszła szczęśliwie i w całości przez most, nie utraciwszy ani jednego działą, ani jednego jaszczyka, ani jednego wozu i że oto wczoraj, pod kierownictwem nowego wodza naczelnego, jenerała Skrzyneckiego, odniosła dwa zwycięstwa pod Wawrem i Dębem Wielkim, i że dziś ściga i zapewne do reszty dobije korpus Rozena.

Władek słuchając tego, śmiał się i płakał, załamywał tylko ręce, że musi leżeć bezczynnie, kiedy jego bracia walczą i zwycięstwa odnoszą. Więc siostra Aniela mówiła:

— Dla tego też trzeba leżeć spokojnie, żeby rana prędzej się zagoiła. Byłeś pan bardzo ciężko porąbany i potłuczony, ale młodość zwyciężyła. Doktor Malcz wątpił o życiu pańskiem. Powinieneś pan Bogu dziękować za to i starać się jak najprędzej wyzdrowieć.

— Ach siostró, napoiłaś duszę moją taką radością, że czuję jak mi siły wracają.

Wtem siostra Aniela plasnęła w ręce, jakby sobie coś przypomniwała i wstając z krzesła, zawołała:

— Czekajno pan... dobrze, zem sobie przypomniwała... zaraz panu jeszcze większą radość sprawię.

I wybiegła krokiem drobnym i cichym z pokoju, ale niebawem wróciła niosąc jakąś gazetę i coś starannie owiniętego w papier. Gazetę rozwinęła i zaczęła czytać rozkaz dzienny wodza naczelnego, generała Skrzyneckiego. W rozkazie tym, między innymi, którzy się odznaczyli w bitwie pod Grochowem, nowy naczelnik polski wspominał także podporucznika pierwszego pułku strzelców, Władysława Jasińskiego, który walecznie pod Olszynką uderzył na działa i wogóle bohatersko się sprawiał. Za ten czyn wódz mianuje tegoż Jasińskiego kapitanem i wynagradza go krzyżem polskim zasługi wojskowej (Virtuti militari).

Przeczytawszy to, siostra Aniela rozwinęła papier i wydobyla zeń krzyż polski i ze słodkim uśmiechem położyła go na kołdrze oniemiałego ze zdziwienia i radości Władka. Ale wzruszenie było tak silne, że osłabiony organizm nie mógł znieść nadmiaru szczęścia, i biedny chłopiec zemdłał. Otrzeźwiono go wprawdzie, ale stan jego pogorszył się znacznie i choroba tak się przeciągnęła, że miesiące miały, jak zaszła krwawa bitwa Ostrołęcka. Umarł Dybicz, Paskiewicz przeszedł Wisłę, a Władek jeszcze kwękał w lazarecie i choć już się podnosił, ale był mocno jeszcze osłabiony.

W czasie tej długiej i ciężkiej choroby, do której upartego trwania przyczynił się wiele stan duszy Władka, który gniewał się i dręczył, że musi leżeć bezczynnie, kiedy toczy się walka o byt i los ojczyzny, odwiedził go parokrotnie Wojtek, który ze swej rany szybko się wyleczył i brał czynny udział w dalszych bojach. Od niego to Władek dowiedział się, że Brzozówka w czasie owego napadu kozaków, przed którym obaj chłopcy uciekać musieli, została doszczętnie spalona i zrabowana, że babkę jego ohydnie wtedy zamordowano. Był to nowy cios dla chłopca, bo choć babka była dlań bardzo surowa, choć była Niemką zacieklą, jednakże wychowała go, i kochał i szanował ją, choć nieraz oburzać się na nią musiał.

Wszystko to gryzło go straszliwie i przyczyniało się do tego, że wyzdrowieć nie mógł. Ale gdy trzysta dział Paskiewicza zagrzmiało pod okopami Warszawy, nie mógł już wytrzymać, zerwał się i w szanclu Wolskim heroiczną śmiercią poległ obok beznogiego bohatera, generała Sowińskiego. Szczęśliwy, że nie doczekał długiej, ponurej nocy, jaka zaległa potem nad jego nieszczęśliwą ojczyzną!

KONIEC.



212268